ATENEUM

321/68/38

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIV.

ROK XIV.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Kwietnia 1889 r.



BAWMY SIĘ.

Nim słowa poniższe dojdą oczu atenejskich czytelników, już nie tylko zapust, lecz i kusaki miną, a post w całéj pełni zapanuje. Będzie to pora najstosowniejsza do poważnych rozmyślań o naszych tryumfach karnawałowych, jeżeli przypadkiem tradycyjna wynalazczość nasza i na te popielcowe czasy nie obmyśli jakich niewinnych rozrywek, które na poważne medytacye nie pozwolą. Bo zresztą cóż komu najpoważniejsze myślenie kiedy pomogło? Alboż zdołał ktokolwiek przez nie dodać choćby linią do swojego wzrostu? Więc niech mizantropy, odludki, móle książkowe i cały ten świat zapleśniały śpiéwa gorzkie żale, a nasza młodzież niechaj się bawi, niechaj swobodną nogą wybija hołubce: *nunc pede libero pulsanda tellus*. Tak, swobodną nogą! Przecież dwa razy się nie żyje, a tu chyże lata, prędsze od błyskawicy zbiegają w przepaść i młodość nie wraca. Przy młodych i starsi odżyją, a potém jakoś to będzie: więc się bawmy.

Nie wyjeżdżając na Zachód, ażeby stamtąd zgnilizny nie sprowadzić i dobrych naszych obyczajów nie zarazić, nie umiem powiedzieć, czy też w stolicach Europy zachodniéj bawią się ludzie tyle, co w Warszawie. Gdyby kto z licznych rodaków i rodaczek, wyjeżdżających zagranicę, chciał tym błahym przedmiotem zająć swój talent obserwacyjny i zobrazował nam obyczaje Anglików, Holendrów, Niemców, Francuzów, bylibyśmy mu bardzo, lub przynajmniéj umiarkowanie wdzięczni; dałoby nam to bowiem punkt do porównania naszych zabaw z obcemi. Tak zaś siedząc jakto mówią „za piecem“, nie śmiemy czynić żadnych pod tym względem wniosków; zdaje nam się tylko, że ponieważ ci Zachodowcy są od nas bogatsi, musieli albo ich przodkowie, albo oni sami mniéj od nas balować, a więcéj pracować. W przeciwnym razie trzebaby przypuścić, że

wszystko, co mają i co umieją, spadło im z nieba wtenczas, kiedy w najlepsze „fikali“. Na takie znów przypuszczenie, chyba się żaden z naszych filozofów nie zgodzi; więc raczéj mniemamy, iż narody bogatsze i rozumniejsze od nas mniéj się bawiły i bawią, aniżeli my północni Francuzi“. Są-to jednakże postne refleksye i wnioski bardzo kruche, które może jaki rodak turysta zechce uzupełnić i wywieść nas z błędu. Nim to nastąpi, rozważmy, czyli zabawy są czémś tak grzeszném, żeby im wytaczać proces i prowadzić go przed forum opinii publicznéj.

Gdybym chciał postępować metodycznie zacząłbym od pojęcia zabawy, i rozważałbym, jak ono się psychologicznie tworzy w naszym umyśle, ażeby następnie uogólnione i uosobione wystąpiło na zewnątrz w postaci wesołéj Afrodyty. Potém zastanawiałbym się nad celem zabaw w szczególności i w ogólności. Nareszcie wziąłbym pod krytykę np. Sanchoniatona, Berozosa lub Mojżesza z Choreny, ażeby okazać jak chaldejscy i babilońscy uczeni pojmowali znaczenie zabaw. Z tego wszystkiego urosłaby wszakże książka, na którą pismo miesięczne nie ma dość miejsca. Dlatego, zrzekając się naukowego procederu, zaczynam od twiedzenia, że uczciwa zabawa jest uprawnionym w życiu towarzyskiém objawem, zwłaszcza gdy po sumiennéj pracy następuje. Za taką mieli ją wszyscy mędrcy starego i nowego świata. Czy tylko wszyscy? Były wprawdzie wyjątki, ale tak nieliczne i nienasze, że uogólnieniu zjawiska nie czynią szkody, a naszéj niezamąconéj niczém przyjaźni z Momusem dają świadectwo strawności.

Tak były wyjątki w Genewie np. nieboszczyk Kalwin zaprowadził trybunał inkwizycyjny przeciw tak zwanym *libertynom*, który zaglądał w garnki, co się gotuje, i karał wcale niekościelnemi pokutami Belialowe plemię. Korzystając z dyktatorskiéj niemal władzy, Kalwin, którego pożerała „gorliwość o dom Pański“, dał przyzwolenie na 57 wyroków śmierci i 76 wygnania, a to w ciągu lat 4. Libertyni przestali się bawić, bo i jakże się bawić po śmierci?

Poszukawszy wśród purytanów, możeby znalazł inne jeszcze wyjątki od ogólnego prawidła, które orzeka, iż ludzie poszukują przyjemności, a unikają przykrości; ponieważ zabawy są pewnego rodzaju przyjemnością, więc możemy być z góry pewni, iż ochota do zabawy znajdzie się na całéj kuli ziemskiéj. Jak znów będą się ludzie bawili, to już zawisło od wielu okoliczności i warunków tak zewnętrznych jak i w nich samych leżących. Nic tedy przeciw zabawie nie można powiedzieć i tylko chyba to jedno dodać, ażeby była uczciwą, wedle środków i po sumiennéj pracy odbywaną.

Ale w tém właśnie sęk. Bo kiedy zabawa jest uczciwą? Pojęcie uczciwości jest tak elastyczne, nietylko co się tyczy zabaw, lecz i wielu innych spraw ludzkich, że chyba żaden moralista nie zdołałby wskazać jego kryteryum dodatniego; ujemne zaś możnaby tak sformułować: Zabawa jest uczciwą, gdy nie szkodzi zdrowiu, kieszeni i dobrym obyczajom. Czy takie episyerskie zabawy, gdzie istnieją, nie wiemy; ale uczynić im zadość, zdrowia nie nadszarpnąć, kieszeni nie wypróżnić i dobrego obyczaju na szwank nie wystawić, prawie niepodobna. Chyba żeby ludzie przybywali na bale o 8-éj a szli spać przed 12-ą, jadali mannę i popijali wodą źródlaną. Otóż takich balów wyrzekliby się wszyscy szanujący się obywatele, obywatelki i obywatelątka płci obojéj. Bądź-co-bądź, chcemy wierzyć, iż bywają zabawy niewiele szkodzące i zdrowiu i kieszeni, a tém samém najzupełniéj uprawnione, przeciw którym purytanie nie mają nic do nadmienienia.

Zadość uczynić drugiemu warunkowi uczciwéj zabawy, mianowicie, ażeby się urządzała wedle środków, bardzo trudno. Stoją temu na przeszkodzie: fałszywy wstyd i niedorzeczna opinia. Ludzie, urządzając zabawy, myślą nie o tém, żeby się szczerze, bez przymusu rozerwać i wytchnąć, lecz żeby innym sąsiadom, znajomym w wystawności dorównać, a gdyby można—nawet ich zaćmić. Sprawdza się pod tym względem przysłowie, że gdzie konia kują, tam i żaba nogę nadstawia. Jest-to fałszywy wstyd i oglądanie się na głupią opinią: a co ludzie powiedzą, jeżeli ich nie tak przyjmiemy, jak przyjmował bankier X., lub przemysłowiec Z? Jak w wielu sprawach, tak i w téj, brak nam rozumnéj odwagi, szlachetnéj ambicyi. Nie wstyd jest fantować się, a wstyd przyjąć według maksymy: czém chata bogata, tém rada. Gdyby ktoś obszedł lombardy i pokątnych lichwiarzy przed, lub zaraz po balu, dowiedziałby się ciekawych rzeczy. Prowincyonalista, a témbardziéj jaki cudzoziemiec, czytając nasze biuletyny z placu balowego, dziwi się i z zazdrością spogląda na to bogactwo Warszawy i na ten zapał w sercach jéj synów i córek do turniejów tanecznych. Tymczasem znający bliżéj nasze stosunki ekonomiczne wiedzą, jakim blichtrem świecimy, jak często nie stać ludzi na porządny obiad, na książkę dla dziecka, na grosz dla żebraka, a musi być na suknią i kapelusz, na teatr i bal. Nie jest-to chyba dla nikogo nowiną, żeśmy ubodzy, iże lordowskich fortun bardzo mało liczymy. Zdaje nam się przeto, że ilość zabaw, nie mówiąc o kosztach, wcale nie odpowiada naszym materyalnym zasobom. Dwa, trzy bale publiczne na tydzień i z kopa balików prywatnych, toż-to zawiele nawet dla tak wytrwałych rycerzy jak potomkowie tatarskich pogromców. Holender, lub

Anglik pewnieby zwaryował podczas naszego karnawału; szczęściem, że ci bezduszni i flegmatyczni kramarze przyjeżdżają do nas tylko na niedźwiedzie łowy... w okolice Warszawy.

Wypoczynek i zabawa po sumiennéj tygodniowéj pracy są balsamem na uznojone ręce i serca troską przegryzione. Najsurowszy asceta, byle znał pracę i wiedział, jak ona wyczerpuje i mózg i mięśnie, nic przeciw zabawie nie mógłby powiedzieć. Ale w jakimże stosunku zostaje u nas praca do zabawy—a jeżeli nie do zabawy, to do próżnowania? Ile na prawdę w roku dni pracujemy? Albo ilu jest między nami ludzi, którzyby rozumieli, że odpoczynek i zabawa słusznie należą się tylko tym, którzy pracują? Przeciwnie, dużo jest takich, osobliwie wśród klasy niby oświeconéj, którzy zabawę uważają za stan normalny całego życia i otwierają szeroko oczy, gdy im moraliści prawią o obowiązkach obywatelskich, lub chociażby ogólnie ludzkich, gdy im powtarzają, iż najniemoralniejszym człowiekiem jest ten, kto na siebie nie umié i nie chce pracować. Albo my to jacy tacy, żebyśmy pracowali? niech pracują chłopy, mieszczuchy i cała ta czerń milionowa, która powinna być, jak przystało, podłożem dla kwiatów cywilizacyi, dobrych manier, dystyngowanego obejścia i podniosłych sentymentów. Tak się to myśli i mówi wśród swoich, cechowych, i według tego się żyje. Dla tych szczęśliwych dzieci życie powinno być ciągłym balem, marzeniem i śpiączką.

Jaki cel, a może cele mają zabawy? Nie jeden w prostocie ducha odpowiedziałby prawdopodobnie, że odpoczynek umysłu i ciała po wytężonéj pracy. Otóż ten prostoduszny bardzoby się mylił. Myliłby się najprzód dlatego, że ci, co z natężeniem sił pracują, nie mają się za co bawić. Zarobek ich tygodniowy rzadko wystarcza na zwyczajne potrzeby życia i okrycia. Bawią się i oni czasem, po swojemu, bez wielu zachodów, w szynku, lub tancbudzie i także im to najczęściéj na zdrowie nie wychodzi. Gospody chrześciańskie jakoś się nie udały i szynk po dawnemu został jedyną resursą ludu. Ci w zabawie nie zakładają sobie innego celu, jedno by się zabawić; chociaż zwykle wynoszą guzy i sińce, niezdolność do pracy w dniu następnym i zwiększony dług u szynkarza. Nie mogąc się bawić szlachetniéj, bawią się jak mogą i jak umieją: kamieniem na nich nie będziemy rzucali, bo i tak życie ich kamieniste, monotonne, pozbawione wszelkiego uroku.

Pracujący lekko, lub wcale próżnujący, upudrowani, ufryzowani, nie mają po czém odpoczywać, bo się nie sprawowali, i tacyto najgoręcéj pożądają zabaw. Ciało wypoczęte, dobrze odkarmione, ztąd zapas sił fizycznych, które potrzeba gdzieś i na coś

zużytkować; umysł nie mający nic w sobie, lub conajwyżéj gałganki i ztąd zgałganiały, musi po za sobą szukać zajęcia. Właściciele tych dwojga cennych aparatów bawią się też wyśmienicie od późnéj nocy do dnia białego, a im się zabawa dłużéj w dzień przeciągnie, tém większy honor domowi, tém więcéj materyału dla sprawozdawców i reporterów dziennikarskich. Biuletyny idą po biuletynach, telegramy po telegramach. „Godzina 3 w nocy: do kontredansa stanęło par dwieście. Godzina 4: do mazura osób trzysta. wodzirejami byli pp. N i Q. Bawią się pysznie na złość domorosłym moralistom-gderaczom". Biały mazur! biały mazur!

Cel główny osiągnięty. Kilkaset osób znużonych, wyglądających jak nieboszczyki, poszło spać i marzyć o nowych zabawach; przecież ktoś musi na nich pracować. Cele poboczne także czasami bywają osiągane, a mam na myśli, jak w tym razie, zbogacenie języka. Bo proszę zauważyć niedawny balowy nabytek: „karneciki" i „wodzireje". Akademia krakowska ustalająca naszę pisownię i przygotowująca nowy słownik języka polskiego, powinnaby przysłać autorom za te wynalazki dyplomy zasługi.....

Trzeba być cudzoziemcem we własném mieście i kraju, żeby powstawać na zabawy, żeby nie wiedziéć, iż prawie wszystkie mają cel dobroczynny; że zabawy są tylko środkiem przynęcenia publiczności dla zebrania kilku złotówek w imię cierpiących. Przecież miłosierdzie jest najpiękniejszą z cnót chrześciańskich, nieznaną światu pogańskiemu, a tak gorąco zaleconą przez Ewangelią. Inną drogą ani tyle, ani tak prędko niktby nie zebrał, a tu nędzy bez miary; trzebaż jéj radzić sposobami, jakie są w naszéj mocy i nie gorszyć się, że w téj pogoni za niewinną uciechą to lub owo jest śmieszne, że najczęściéj kosztują one kilka razy więcéj niż ubogim przynoszą.

Tak przemawiała pewna litościwa matka, a miała córki na wydaniu. Momus, znający sekreta wiadome tylko wójtowi i gromadzie, chciał odpowiedziéć, ale się ugryzł w język.

W istocie, miłosierdzie jest jedną z najpiękniejszych cnót chrześciańskich; kształcić je, rozwijać, kierować na rozsądne drogi, rzecz chwalebna. Mylą się wszakże ci, którzy sądzą, że samo miłosierdzie wystarczyłoby na zatkanie wszystkich głodnych żołądków chociażby kartoflami. Sprawa ubogich rozrosła się obecnie we wszystkich krajach cywilizowanych do niebywałych dawniéj rozmiarów. Teraźniejszy system produkcyi ekonomicznéj i podziału dóbr ekonomicznych fatalnie prowadzi społeczeństwo do krańcowego pauperyzmu z jednéj strony, a z drugiéj do plutokracyi coraz nieliczniejszéj. Można przewidywać, że liczba nędzarzy pro-

dukowanych przez kapitalistyczną produkcyą, nie mówiąc o nędzarzach z własnéj winy, będzie wzrastała proporcyonalnie do większego rozwoju ekonomicznego, do naturalnego przyrostu ludności i do kolosalnych sił ludzkich, marnowanych w dzisiejszym systemie obronnym. Zaradzić powstającéj stąd nędzy nie zdoła żadne miłosierdzie, nawet gdyby było szczersze, niż w inicyatorach i uczestnikach balowych. Zrozumiały to już niektóre społeczeństwa i obłożyły się przymusowym podatkiem na rzecz ubogich, zostawiając prywatnemu miłosierdziu otwarte drzwi do nędzy ludzkiéj. Niech popęd do ulżenia cierpiącym ma sposobność do otwarcia dłoni i kieszeni, niech miłosierdzie w sercach ludzkich nie wysycha. Jest-to najrozumniejszy, jak się zdaje, sposób radzenia nędzy, która jak cień za ludzkością i teraźniejszą cywilizacyą będzie się posuwała w nieskończoność. Sprawa-to nielada, mogąca, jak wróżą prorocy komunizmu, zatopić całą dotychczasową kulturę; zażegnać jéj nie można białym mazurem, ani odstraszyć hołubcami. Zapewne, szeląg zdobyty przez balik na szpitalik i znów szpitalik nakarmiony przez balik, nie powinien być lekceważony; ale ten szeląg zdobyty kosztem zdrowia, bezsenności i tysiącznych co najmniéj wydatków, jest kroplą w morzu nędzy i świadczyłby o bardzo lichéj rachubie, gdyby rzeczywiście celem zabaw było niesienie ulgi cierpiącym.

— My tam bynajmniéj, urządzając wieczorek tańcujący (?) nie mamy na celu filantropii; niech się w nią bawią damy z dystynkcyą i panowie z gracyą; my chcemy młodzieży dać sposobność do gimnastyki, żeby nie ztetryczała i nie skwaśniała. Nudzi się i marnieje ta biedna młodzież, a przecież to wiek po temu, żeby świat poznała. Gdy młodość minie, nogi zesztywnieją, plecy się wygną, pora do szlafroka i pantofli. Niech więc młodzi użyją zabawy, bo to ich prawo i na zdrowie im wyjdzie.

Mamy tedy, chwała Bogu, nowy cel i nowe prawo. Na zdrowie im wyjdzie? Jeżeli to nie obłudna, to z gruntu fałszywa pobudka. W dusznéj, przejętéj wyziewami spalonego światła, atmosferze; w spiętym i ściętym ubiorze; w dzikim, i barbarzyńskim kołowrocie na kilkunastu łokciach kwadratowych przestrzeni — zdrowia się nie podtrzymuje, ani nabywa. Kręcące się lalki i ich matki znają się na hygienie tyleż, co i na ekonomii, bo i ekonomia służy tu za argument. Zarobią modniarki, fryzyerzy, bo przecież i oni żyć potrzebują, i oni przecież stworzenia boże; tym sposobem połączy się *utile dulci*, a zgryźliwi mentorowie niech pękają ze złości.

Rozumiem, że dla młodzieży, która sił swoich na gimnastykę pracowitą w warsztacie, w polu, nie zużyła, potrzebne są ruch

i ćwiczenia ciała. Gimnastyka grecka i taniec tatarski, już nie wrócą; trzebaż się jednak ruszać, ażeby trawienie podtrzymać,—i na to zgoda, byle się nie łudzono, że taniec w zamkniętym, zaduszonym pokoju, inaczéj salonie, służy zdrowiu. Nie o zdrowie tu jednak chodzi; są cele wyższe: odurzenie i zadurzenie się wzajemne. Czas ucieka, młodość za nim, starszy towar nie popłaca. Ale ludzie wolą hygieny używać na świadka, niż nazywać rzeczy po imieniu. Idziemy na komedyą, lub wracamy z komedyi.

Co się tyczy p r a w a młodzieży do zabawy, sądzimy, że nie jest ono ani lepsze, ani gorsze od prawa starszych do wypoczynku i jakiejś rozrywki, po zmudnéj i ciężkiéj pracy. U nas wszakże to prawo młodzieży do zabawy rozumié się jako specyalne jéj prawo, jako należność zwyczajem uświęcona i nieodwołalna. Otóż, przeciwko temu stanowczo trzeba zaprotestować..... Być może, iż to sami starsi rozejrzawszy się w warunkach materyalnych i moralnych naszego bytu, przestaliby powtarzać młodzieży, iż to jéj prawo, by się bawiła i szalała. Godziłoby się przypomniéć młodym, że materyalnie jesteśmy bardzo ubodzy, że umysłowo jesteśmy wielce zacofani mimo francuskiéj paplaniny, że moralnie wcale nie należymy do wybranego ludu, żyjącego w sielskiéj, bajecznéj niewinności..... Przecież niepodobna przypuścić, ażeby w tém pokoleniu, które w świat wchodzi, wygasł wszelki zapał do sławy, a czy téj sławy szukać będziemy w kierunku pracy ekonomicznéj, czy w kierunku nauki i sztuki, zawsze to coś więcéj warte, lepiéj świadczyć będzie o naszéj zbiorowéj wartości, niż tryumfy odnoszone na końskich wyścigach i w salach balowych.

Tymczasem niezmiernie rzadko zdarza się słyszéć rozmowę w tym duchu; przeciwnie, starszyzna, osobliwie mamy, powtarzają do znudzenia, jako aksyomat, że młodzi muszą się bawić, że się powinni bawić, a to dla tuzina pobudek i tyluż najrozmaitszych celów. Nic, tylko się bawić.....

Więc się nie bawić? I owszem, tylko nietyle, co się bawimy..... Bawmy się, ale po pracy; kto nie pracuje, ani jeść, ani bawić się nie ma prawa, czy młody, czy stary. Głosić jakiegoś dzikiego purytanizmu nie myślimy; daru proroctwa nie mamy..... Rozumiemy, że gdy młodzież nie pójdzie czasem na zabawę w towarzystwie starszych, będzie szukała rozrywek niecnych po rozmaitych jaskiniach, lub szulerniach, gdzie i zdrowie straci i moralnie zdziczeje. Wszystko to przychodziło nam do głowy, gdyśmy te słowa pisali; a jednak niepodobna przed sobą ukryć, że zadużo się bawimy.....

K.



BYRONA „DON JUAN“ i SŁOWACKIEGO „BENIOWSKI“.

STUDYUM PORÓWNAWCZE.

Burza, która łamie konary drzew, wyrywa dęby z korzeniem, nie jest tylko zwiastunką zniszczenia; ona oczyszcza duszną atmosferę i w swém wnętrzu niesie ziarna nasienne. Do takiéj burzy, można porównać, ogromny, wyjątkowy niemal, w dziejach poezyi wpływ Byrona, który w pierwszéj ćwierci naszego wieku sam jeden starczył za całą rewolucyą. Druzgotał on spróchniałe, a jednak pozornie odświeżone reakcyjnemi liśćmi dęby tyranii politycznéj i umysłowéj, rzucał na cały świat nasiona poezyi, swobody i protestu.

Na naszéj niwie poetycznéj z tych ziarn wyrosły kwiaty, pełne przedziwnych barw i woni. Pierwszym z nich była tęskna i bolesna, jak echo dumki na stepie, powieść o losach nieszczęśliwéj Maryi — a jednym z ostatnich pełen rycerskiéj fantazyi, barw tęczowych, gryzącéj satyry, „Beniowski“, ten przepyszny fajerwerk smętno-ironicznéj romantyki. „Beniowski“ jest jedném z ostatnich ogniw całego łańcucha, którego spójnie stanowi prawo dziedziczności, panujące zarówno w innych objawach życia jak i w dziedzinie poezyi. Pierwszych ogniw tego łańcucha szukać należy jeszcze w dobie odrodzenia poezyi włoskiéj, w drugiéj połowie XV wieku. W satyrach i pieśniach Wawrzyńca Medici, w poematach Anioła Poliziano znajdujemy tę mieszaninę malowniczéj fantazyi, skojarzonéj z ironią i humorem, która występuje na szeroką skalę w romansach rycerskich Pulciego „Morgant Olbrzym“, Bojarda „Orland Zakochany“, a zwłaszcza w arcydziele Ariosta: „Orland Szalony“,— gdzie najpiękniéj wcielił się lotny duch włoskiéj romantyki. Rodzaj ten dochodzi do swego *absurdum*, w pierwszéj połowie XVI wieku, za sprawą Franciszka Berni, w jego dziwacznéj parodyi

„Orlanda Zakochanego“ i ustępuje potém miejsca renesansowéj i chrześciańskiéj epopei Tassa.

Na niwę angielską przeszczepił go w drugiéj połowie XVI wieku Spencer, autor epopei „Królowa wróżek“ (*The Fairy Queen*), który opiewając przygody rycerskie naśladował Ariosta, głównie ze strony fantastycznéj, zmienił formę włoskiéj *stanzy*, ośmiowierszowéj, na zwrotkę dziewięciowierszową własnego pomysłu i wywołał licznych naśladowców. Dopiéro jednak, za sprawą Byrona, odżyła wspaniale ariostyczna tradycya w nowszéj poezyi angielskiéj. W wędrówkach „Childe-Harolda“, użył on formy Spencera, rzucił tu i ówdzie ironiczne błyski na posępne i patetyczne tło poematu, który w drugiéj swéj połowie, był pierwszym energicznym porywem poetycznego radykalizmu w Anglii. W „Don-Juanie“, do którego przegrywką był wdzięczny poemacik „Beppo“, ten rodzaj poezyi najpotężniéj się wcielił i stworzył jedno z arcydzieł literatury świata.

W stosunku do „Don Juana“, płodem pochodnym, — przynajmniéj w znacznéj części—jest „Beniowski“, błyszczący tak odmiennem światłem wśród klejnotów poetycznego skarbca, jaki nam przekazał w spuściźnie nieśmiertelny twórca „Balladyny“.

Dla krytyki porównawczo dziejowéj, ciekawym tematem byłoby wykazanie kolejnych przemian tego poetycznego gatunku, który przyjął się także w innych literaturach, zaznaczenie jego cech stałych i modyfikacyi, jakim ulegał pod wpływem właściwości twórczych umysłów, oraz warunków moralnych danéj epoki i społeczeństw. Ciekawém zjawiskiem w dziejach poezyi jest trwałość wielu form i tradycyi literackich, które chociaż są wytworem typowym literatury danego ludu i danéj epoki, zachowują jednakże swą moc w dalszych odmiennych dobach rozwoju literackiego. Oddziaływanie dawnych kształtów i form na późniejsze płody poezyi, zanikanie jednych gatunków a trwałość drugich, powstawanie podobnych rodzajów w literaturach, które nie miały między sobą bliższego związku, sposób w jaki idee, pomysły lub formy literackie, przenikają z jednéj literatury do drugiéj i krążą w ogólnym ruchu umysłowości, wreszcie stosunek teoryi i tradycyi estetycznéj do twórczości w praktyce — wszystko to są kwestye, których naukowém opracowaniem zająć się powinna, niemowlęca dziś jeszcze estetyka rozwojowa.

Nie podejmując tak szerokich zadań, zauważę tylko odnośnie do ariostycznego rodzaju poezyi, że od chwili narodzin swoich, aż do powtórnego rozkwitu w nowszéj literaturze, był on wielostronnym wyjawem duchowéj swobody człowieka. Znajdowała w nim

ujście fantazya, nieokiełznana rygorem logiki i prawdopodobieństwa, rozpryskująca się w tęcze obrazowania, lotna, kapryśna, skacząca dowolnie przez całą skalę uczuć i charakterów ludzkich, począwszy od wybuchów tragizmu, idealnych uniesień, od porywów namiętnego szału do najdziwaczniejszych kaprysów ironii i zmysłowego rozbrykania humoru. Twórczość wyzwalała się tu zawsze ze ścisłych karbów formalnych, pegaz poetyczny nie stąpał po utartym gościńcu, przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, zbaczał na prawo i na lewo w ścieżki i manowce, przesmyki i wąwozy, puszczał się na satyryczne wyskoki, galopował w zapędach tendencyjnych, albo zwalniał kroku w chwilach dumania poety nad ponętami i nędzami życia.

Chociaż ten rodzaj poetyczny był odblaskiem średniowiecznéj tradycyi, odziedziczył spuściznę po rycerskim romansie, chociaż grasowała w nim cudowność legendy, jednakże jako owoc epoki odrodzenia miał w swém wnętrzu jądro sceptycyzmu i protestu wobec powag, doktryn i dogmatów, które cieszyły się w średnich wiekach przywilejem nietykalności. Pulci w „Morgancie Olbrzymie", śmiało, a nawet zuchwale jak na owe czasy, szydził z pojęć idealnych o duszy ludzkiéj, swawolnie odzywał się w sprawach religijnych. W nadmiarze rycerskiéj krewkości, jego bohaterowie niewiele sobie robili ze świętych i aniołów, za co autor musiał potém kajać się dla przebłagania inkwizycyi i obmywać kacerskie grzechy wodą pokuty. W tym poemacie, oraz w „Orlandzie Zakochanym" Bojarda, brzmi swoboda, a niekiedy swawolna nuta hymnu na cześć rozkoszy i powabów życia, który tak żywo odskakuje od ascetyzmu średnich wieków, Ariost w „Orlandzie Szalonym" nie jest tak swawolnym, ale pozwala sobie na ostrą krytykę duchowieństwa i życia klasztornego, zresztą pomimo fantastyczności legendowéj nie ma on prawdziwéj wiary i ducha religijnego a za to sporo gorzkiéj ironii w poglądach na marność natury człowieczéj.

Duch ironii oraz krytyki, połączonéj z ideami wielkiéj rewolucyi francuskiéj, spotężniał w Byronowskim „Don-Juanie", któremu nie wiele płodów poetycznych sprostać może niepodległością myśli i swobodą artyzmu, pojętą w duchu nowożytnym. Poeta angielski, czerpał swą siłę z momentu dziejowego, w którym posiew epoki odrodzenia wydał plony stokrotne, w którym wiedza i myśl ludzka walczyła o prawo swobodnego użycia przywilejów, jakie się jéj słusznie należały po przebytych walkach i męczeństwach dziejowych. A jednak, sam Byron przyznaje, że pod względem artystycznym, idzie śladami Pulciego, twierdzi niezupełnie słusznie, że ten poeta wynalazł istniejący już przed nim wiersz „smętno-drwią-

cy", że pokazał w nim „drzemiącemu światu rycerswo, damy, oraz berła despotyczne (Don-Juan. Pieśń IV, strofa 6). Dla nabycia mistrzowstwa formy, Byron przetłómaczył 1-szą pieśń „Morganta Olbrzyma" Pulci'ego, a w listach zaznacza wyraźnie, że wpływ nań wywarł także Berni, najjaskrawszy przedstawiciel ariostycznego rodzaju, oraz Whislecraft, jego angielski naśladowca.

Krytyka angielska i niemiecka przyznała jednomyślnie, że geniusz Byrona, potrącony siłą humoru i ironii w „Don-Juanie" wypowiedział się w całém bogactwie i głębi swojéj, tak samo, jak nasza krytyka orzekła, że „Beniowski" jest najzdrowszym i najżywotniejszym płodem twórczości Słowackiego. Warto więc zestawić oba te poematy i składając hołd pamięci obu wielkich twórców, pokusić się o próbkę tak mało uprawianéj u nas krytyki porównawczéj, o ile można ją przeprowadzić w rozmiarach szkicu literackiego. Praca taka nie będzie zresztą szperaniem w kramie literackiéj starzyzny, bo oba dzieła do dziś dnia, zachowały rumieńce piękności, a utwór Byrona, teraz nawet wstępuje na tron poezyi, jak twierdzi nie bez pewnéj słuszności p. Edward Porębowicz, który w pięknym przekładzie przyswoił „Don-Juana" naszéj literaturze, zyskawszy od razu złote ostrogi w tém trudném mocowaniu się z duchem i formą wielkiego poety (1). Byron chociaż radykalny demokrata, szermierz greckiéj swobody, gorliwy uczestnik w robotach włoskich „carbonarów" nie obraziłby się pewno, na polskiego tłómacza — za tak monarchiczną pochwałę, oddaną poematowi, który był istotnie królewskiém uwieńczeniem jego twórczéj działalności.

I.

Tworzył Byron „Don-Juana" od r. 1818 do r. 1824, współrzędnie z całym szeregiem powieści poetycznych i dramatów, należących do jego patetycznéj maniery, która dzisiaj straciła urok, powlekła się pleśnią, chociaż w swoim czasie zawracała głowy w całéj Europie i budziła szalony entuzyazm. Poeta przebywał w latach wyżéj wymienionych, we Włoszech, najprzód w Wenecyi, potém w Rawennie i Pizie, a życie jego wypełniała po brzegi praca twórcza, miłość dla hr. Guiccioli, oraz polityczna agitacya, jaką prowadził wspólnie z rodziną Gamba, z któréj pochodziła kobieta, będąca wtedy jego aniołem opiekuńczym. Pokłócony z ojczyzną,

(1) Godzi się także wspomnieć przy téj sposobności o przekładzie Wiktora hr. Baworowskiego, posiadającym dużo artystycznych zalet. Dziesięć pieśni Don-Juana w tym przekładzie wyszło w Tarnopolu w latach 1863 i 1881 — całość posiada w rękopiśmie autor, który także ma w swéj tece mnóstwo innych przekładów Byrona.

a raczéj z panującym w niéj, wówczas duchem stęchłéj reakcyi, pietyzmu i obłudy obyczajowéj, wytrącony z rodzinnego życia przez własne błędy i zaciętą niechęć żony, Byron żył jednak szeroko. Używając świeżo spadłych sukcesyi, oraz bajecznych honoraryów za swe prace, mógł dogadzać najszaleńszym wybrykom fantazyi. Natura jego, nieposkromiona, kipiąca nadmiarem energii, trawiąca się w wewnętrznych szamotaniach, szukała przedtém ujścia w upojeniach i orgiach rozpusty. Słodki, łagodny, głęboko uczuciowy charakter hr. Guicciolli, oddziałał kojąco na ten wicher, zamknięty w ciele człowieczém. Nic w tém dziwnego, bo wszystko, co wiemy o téj ostatniéj towarzyszce poety, każe wnosić, że była ona jedném z uroczych wcieleń powabu, uczucia i słodyczy, jedną z tych odmian „wiecznéj kobiecości", które są najwyższém szczęściem, jakiém los może obdarować w wędrówce życia mężczyznę, który ma prawo kochać i być kochanym. Anielska Teresa chciała wprawdzie stłumić płynący z duszy poety potok ironii i gryzącéj satyry, ale nie zmogła naturalnego przypływu natchnienia, więc po krótkim oporze pozwoliła tworzyć Byronowi „Don-Juana", który zrazu działał szorstko jak zgrzyt żelaza po szkle, na jéj miękką poetyczną naturę. Byron wyśpiewawszy swe „idealne i chmurne" poematy, uczuł potrzebę wypowiedzenia całego bogactwa swéj potężnéj inteligencyi. W „Manfredzie" i „Kainie" wcielił swe najwyższe pomysły w stylu „metafizycznym", jak go sam nazywa, postawił ideał niepodległości człowieka, który we własném wnętrzu nosi trybunał moralny, nieuległy narzuconym potęgom przesądu a nawet przeznaczenia, wypowiedział wiekuisty protest rozumu ludzkiego, przeciw krępującym go dogmatom. W „Don-Juanie" ujawnił nie metafizyczną, ale realną stronę swego umysłu, zamknął cały obszar gorzkiéj filozofii życia, jaką przyniosła mu męska dojrzałość geniuszu. Nie był on wtedy posępnym, patetycznym Haroldem, który w samotności lubił przestawać z naturą, pogrążać się w nią z rodzajem czci panteistycznéj i zdala tylko jak zwiastun swobody grzmiéć światu potężną pobudką. Porzucił posępną pozę, koturn tragiczny. Geniusz ponury, duch protestu, chodzący w posępnym majestacie strąconego anioła, przeobraził się nagle, odrzucił płaszcz fantastyczny i stanął żywy, dziarski, buńczuczny jako szermierz prawdy z nielitościwym uśmiechem sarkazmu na twarzy, z biczem satyry w ręku, którym wywijał na wszystkie strony, podcinając głupotę, egoizm, próżność, płaskość i stęchliznę obyczajową, a chłoszcząc do krwi obłudę, podłość, obskurantyzm, tyranię, jedném słowem wszystkie potęgi, stojące w poprzek osobistéj i zbiorowéj swobodzie człowieka.

W wyborze przedmiotu i formy, Byron okazał swe przywiązanie do dawnych tradycyi literackich, które u niego chodziło w parze z politycznêm nowatorstwem. Wziął formę, która miała ustaloną renomę w dawnym estetycznym kodeksie, a głównym bohaterem zrobił postać wielokrotnie już odtwarzaną przez dramaturgów. Jestto niby ten sam „Don-Juan" „co go na operze, może zawcześnie czart do piekła bierze" (pieśń I, str. 1), ale przerobiony na odmienną, w wielu razach osobistość poetyczną. Don Juan Tenorio, według starych kronik hiszpańskich, był potomkiem rodziny magnackiéj w Sewilli, słynnym z awantur i rospusty. Zabił on komandora z Ufloa, porwawszy uprzednio jego córkę. Padł on następnie ofiarą mnichów franciszkanów, którzy chcąc ukrócić rozpustę szaleńca, wybrali środek radykalny, albowiem zwabiwszy go w mury klasztorne, zgładzili ze świata. Dla zatarcia krwawego czynu, pomysłowi ojcowie rozgłosili, że posąg komandora, znajdujący się w klasztorze, mszcząc się za hańbę córki i urągowisko, jakiém go obrzucał rospustnik, pociągnął go w czeluści piekielne. Tak utworzyła się legenda, która tę postać przekazała wiekom potomnym, otoczoną urokiem tajemniczego demonizmu. Z téj legendy przeniósł „Don-Juana" na scenę w początku XVII wieku Gabryel Tellez, piszący pod nazwą Tirso di Molina, w swym dramacie „*Burlador de Sevilla y convidadoo de piedra*" (Rospustnik sewilski i gość kamienny). Potém zawędrował uwodziciel hiszpański na scenę włoską, gdzie był ulubioną postacią i złotodajną kurą dla przedsiębiorców teatralnych. We Francyi wyzyskiwali ten przedmiot dwaj podrzędni dramaturgowie Villiers i Darimon, w sztukach pod tytułem „*Festin de pierre*", za którymi poszedł w ślady wielki Molière. Ze zlepku zaś jego komiczno-fantastycznéj sztuki z ponurym dramatem hiszpańskim, powstało libretto da Ponte'a do opery Mozarta, która spopularyzowała tę postać w całéj Europie... Byron z dramatu przeniósł ją w dziedzinę epiki, z wieku XVI przeniósł w koniec wieku XVIII, z legendy fantastycznéj wysnuł poemat drgający prawdą, nawskroś nowożytny. Pociągał go prawdopodobnie w tym hiszpańskim uwodzicielu rys potężnéj energii, czynnéj, przedsiębiorczéj, napastniczéj, nieprzebierającéj w środkach dla zaspokojenia demonizmu wiecznie głodnéj żądzy. W poemacie Byrona rys ten został, ale zmieniony odpowiednio do charakteru całéj postaci i do naczelnego zadania utworu.

„Don-Juan" u Byrona jest potomkiem rodziny magnackiéj, któréj splendor rodowy przybladł mocno — dzieckiem Sevilli, rasy południowéj, żywém, ruchliwém i namiętném. Wychowany pod okiem matki donny Inezy, pedantki i obłudnicy, która kryła dawne

grzeszki pod maską przyzwoitości, wcześnie zaczyna szkołę życia i ciągnie nektar z puharu zakazanych rozkoszy. Powoli, niepostrzeżenie plącze się w romans z przyjaciółką Inezy, młodą, uroczą, trawioną głodem uczucia Julią, która nie mogła się zmusić do gorącéj miłości dla pięćdziesięcioletniego męża. Po skandalu, jaki wybuchł z téj miłostki, po burzliwéj scenie, w któréj mąż zazdrosny fatalnie Julią kompromituje, mama dla uciszenia wrzawy i uspokojenia języka kumoszek, zwyczajem arystokratycznym wysyła synka w świat, aby się przetarł między ludźmi i nabrał ogłady. Miał zwiedzić wszystkie kraje Europy, a głównie Włochy i Francyą, ale na morzu zaskoczyła go burza, miotając statkiem jak łupiną orzecha. Po długiéj tułaczce i męczarniach, po strasznych dniach głodu i rozpacznéj walki z falami, Juan wyrzucony na brzeg jednéj z Cyklad greckich, dostaje się do siedziby Lambra, korsarza, handlującego łupami i ludźmi. Tam jego duchem opiekuńczym staje się córka Lambra, Haida, jeden z tych aniołów kobiecych, które rzadziéj zjawiają się w życiu, aniżeli w poezyi, zwłaszcza romantycznéj. W czasie nieobecności korsarza, snuje się na téj ustronnéj wyspie, wśród zielonych gajów, pod lazurowém niebem Grecyi rozkoszna sielanka miłosna, którą przerywa przybycie Lambra, łamiącego szczęście córki z nielitościwém okrucieństwem. „Don-Juan“ oderwany od kochanki, rzucony na dno statku, płynie z transportem niewolników do Stambułu. Haida wije sie z bólu i umiera jak ptaszek trzepocący się bezsilnie między drutami klatki. Wprost z targu dostaje się Juan do sułtańskiego seraju w Stambule. Z musu udaje kobiétę, przebrany w szaty niewieście, za sprawą Baby, służącego sułtanki Gulbyezy, któréj się chciał chytry rzezaniec przypodobać. Szczęście jednak sprzyja pięknemu chłopcu, bo zamiast być przedmiotem kaprysów Gulbyezy, dostaje się do rozkosznego przybytku, w którym mieszkają hurysy padyszacha. Chwile upojenia podobne do wizyi z raju Mahometa ma opłacić życiem, bo mściwa Gulbyeza, za obrazę zranionéj dumy, każe go zaszyć w worek i rzucić do Bosforu razem z Dudu, uroczą, jednodniową kochanką. Ocalony szczęśliwie sprytem kobiecym, ucieka ze Stambułu, rzuca się w wir wojenny, bierze udział w szturmie Izmaiłu, zdobytego w r. 1790 przez wojska rosyjskie, pod dowództwem Suworowa. Po dokonanym pogromie, jedzie z depeszami do Petersburga, gdzie go spotykają podzięki, zaszczyty i względy energicznéj carowéj Katarzyny, lubiącéj często zmieniać faworytów. Brzemię łask, niebyło jednak lekkiém. Klimat północny okazał się dla Hiszpana złowrogim, więc po przebytéj chorobie, wyprawiono go dla odzyskania sił w krainy nadmorskie, z jakąś misyą dyplomatyczną.

Udaje się tedy do Anglii, zawiązuje stosunki ze światem arystokratycznym, wyjeżdża latem do rezydencyi lorda Henryka, z którym się zaprzyjaźnił. Wśród grona dam, prowadzi życie próżniacze i szare. Adelina, uprzejma gospodyni domu, zamyśla go swatać z posażną panną, ale zręczna księżna Fitz Fulke, rzuca nań siatkę kokieteryi.

Juan zaczyna się już wikłać, ale poemat nagle się przerywa w chwili dosyć drastycznéj.

Byron marzył, że jego „muza przycichnie dopiero w setnéj pieśni", ale po szesnastéj przerwał dzieło „aby zacząć poemat czynu, aby swą religią swobody stwierdzić krwawym chrztem i zostać świetnym promieniem w błyskającéj jutrzence wyzwolenia Grecyi. Wedle domysłów krytyki, bohater poematu miał swoję karyerę skończyć w piekle, ale nie tém, jakie widzimy na scenie z papierowymi dyabłami i swędem fajerwerków. Urzeczywistnieniem tego królestwa ciemności miało być... nieszczęśliwe małżeństwo, którego katusze dokuczyły boleśnie samemu poecie. Według innych wersyi, na gładką, okoloną kędziorami kruczych włosów szyję Juana—miał spaść nóż gilotyny za to, że bohater rzucił się w wir rewolucyi francuskiéj.

Brak zakończenia nie szkodzi jednak wartości dzieła, które jest odbiciem ruchliwéj fali życia, co się nigdy nie kończy. Don Juan nie jest stężałym całokształtem artystycznym, ale rodzajem gienialnéj improwizacyi. To nie posąg klasyczny, ani świątynia, okaleczone brakiem rąk lub części kolumnady, ale ruchliwa panorama, w któréj widz nasycony bogactwem wrażeń nie czuje braku obrazów końcowych.

Znaczenie poematu przerasta znakomicie jego epickie ramy. Wątek streszczony tu w głównych zarysach i jego artystyczne rozwinięcie wypełniają zaledwie połowę opowiadania. Bohater usunięty prawie na drugi plan, jego losy splątane misternie z biegiem ogólnym wypadków. Byron nie poetyzował tu, jak w dziełach dawniejszych jednostkowéj energii, nie wysuwał jednéj osobistości popisowo na pole działania, nie skupiał rembrantowskich kontrastów, aby ją zolbrzymiéć w oczach czytelników. Mimo to, bohater jest postacią rysowaną subtelnie, wypełnioną szeregiem dobrze zharmonizowanych rysów. Nie ma on, jak w legendzie, dramacie hiszpańskim, oraz w librecie opery Mozart'a, cech wytrawnego mistrza w sztuce uwodzenia, energicznego złoczyńcy, który nie zna wyrzutów sumienia, nie boi się Boga ani szatana i pogrobowéj marze śmiało w twarz spogląda. To arystokratyczny młodzieniaszek, czarujący, szalony, pełen świetnych zalet zewnętrznych. Energia jego

jest raczéj bierną niż czynną, a losami kieruje jakaś fatalistyczna siła, która jest właściwie niedostrzegalném z pozoru działaniem praw przyrodzonych. Don-Juan Byrona nie jest świadomym swych celów czartem kusicielem, ale idzie za głosem „sennych popędów“ (Pieśń VII strofa 24), porywów młodzieńczéj krewkości i wyobraźni nieokiełznanéj przez moralne wędzidła. Ten rys biernego poddania się instynktom, nie dość dobrze uwydatniony przez krytykę, ma jednak ważne znaczenie, jak to późniéj wykażę przy ocenie etycznéj strony utworu, oraz poglądów poety na ludzką naturę. Byron uważał charakter Don-Juana za zły, pozbawiony zasad: jak sam powiada, przeprowadził go przez takie warstwy społeczne, w „których wysokie powierzchowne przymioty pokrywają wewnętrzne i tajemne błędy“ i przedstawił naturalny skutek zetknięcia się takiéj osobistości z takiém otoczeniem. Nie zdaje mi się, żeby poeta zupełnie trafnie określał swego bohatera, który nie jest charakterem złym, nie ma instynktów przewrotnych, nigdy z umysłu ludziom nie szkodzi, okazuje nawet szlachetne porywy w obronie uciśnionych, odwagę i energią w chwilach niebezpieczeństwa. Jest on tylko charakterem średnim, jakie często można napotkać w powszedniéj komedyi życia, charakterem pozbawionym wyższéj samowiedzy moralnéj, wyższych pragnień i polotów umysłu i wyobraźni, i szlachetnie wyrobionéj woli. Rzuca się w fale życia bez kompasu przewodnich idei, których nie może zastąpić zwykłe pojęcie honoru światowego z przymieszką rodowéj buty. W dzieciństwie dyablik z czarnemi oczyma, młody wilczek, potém ugłaskany w szkole pietyzmu i obłudy, wytworny, gładki, dojrzewał szybko w praktyce życia. Podbijał urodą—pomimo chłopięcéj postaci miał energią męża w niebezpieczeństwie. Wychowany na światowca tańczył doskonale, bił się mężnie, pływał jak delfin, umiał być w potrzebie zajmującym, rozmownym i układnym.

W młodości miał chwile melancholicznéj zadumy, w których mu po głowie chodziły wątpliwości i zagadki zaczerpnięte ze szkolnéj wiedzy. Potém w wirze życia, płytki jego umysł nie silił się na robotę wewnętrzną. Metafizykę uważał za brednię, o literaturze miał słabe pojęcie, a nie lubił o niéj blagować, zresztą był dobrym, chociaż niegorliwym i trochę przesądnym katolikiem. Miał w ważnych chwilach energią bierną, umiał bronić swéj godności, ale żadne uczucie ani żądza nie zawichrzyły nim do głębi. Po stracie kochanek płakał gorąco, ale łzy osychały prędko na oczach, a zmysły i wyobraźnia poddawały się szybko nowym wrażeniom. Był młodym aż do szpiku kości, rzucał się śmiało w wir wypadków, z przygody w przygodę, szedł bić się pod murami Izmaiłu, nie dla jakichś idei,

przekonań lub sympatyi, ale tak sobie, za porywem młodzieńczéj fantazyi, trochę dla tego, że mu się uśmiechała marna nadzieja orderu. Giętki, bez moralnego hartu, zamienił się szybko z dzielnego żołnierza, na pieszczonego faworyta, korzystał na dworze carowéj z wygodnéj, chociaż poniżającéj sytuacyi, ciągnąc z niéj nawet materyalne korzyści. Stworzony na uwodziciela, chociaż nie starał się uwodzić, jednał serca kobiece naturalnością i wdziękiem.

Niektórzy krytycy twierdzą, że Byron, który był zawołanym lowelasem i sam wywierał szalony urok na kobiéty, skupił w téj postaci pewną niższą stronę własnéj swéj natury. Zdaje mi się jednak, że wziął kilka rysów z wewnętrznéj obserwacyi a wogóle stworzył figurę czysto przedmiotową.

Cały zresztą poemat zaludniony jest szeregiem postaci, kreślonych w sposób epicki, bez szerokiéj analizy charakterów, przedstawionych zewnętrznie, ale pełno i wyraziście. Byron mało mówić każe swym ludziom, ale w ważnych chwilach umié z ich ust wyrzucić słowa lapidarne, tętniące energią i życiem. Gdy Gulbyeza sułtanka rzuca pytanie Juanowi „czy umie kochać?“ młody bezwąsy chłopiec, przebrany wtedy w suknie kobiece, dumnie jéj odpowiada:

„Orzeł więziony nie szuka kochanki;
Nie umie być sługą kaprysów sułtanki.“
Czy umiem kochać? Ha, dowiesz się pono
Jak miłość cenię, gdy nie żądam twojéj.
W tym podłym stroju kądziel i wrzeciono
Dla mnie, nie miłość; miłość wolnych stroi....
Nie olśniłaś mnie blaskiem i mamoną
O jesteś wielka! pod tronem się roi
Sług tłum i zgina karki i kolana
To twoi! ale serce nie zna pana! (Pieśń V strofy 126 i 127).

Ta duma i niepodległość nie zgadza się pozornie z potulnością, jaką okazywał potém Juan w Petersburgu, ale nic w tém dziwnego, bo nie jest on człowiekiem zasad, ani wzorem stałości charakteru. Rozdrażniony niewolą i przebraniem kobiecém, stawia się hardo możnéj sułtance, ale za chwilkę gotów już zmięknąć widząc łzy na jéj śliczném obliczu. Potém na dworze północnym głaskany i pieszczony poczyna sobie tak samo jak nie jeden rączy konik, który przy dobrym żłobie, gdy go pani nakarmi cukrem, zapomina o niepodległych... przepraszam, chciałem powiedzieć źrebięcych wybrykach. Szczegóły te są próbką jak poeta dobierał różnorodne rysy dla swych postaci, kreśląc je żywo i realnie. Czasami kilkoma pociągnięciami pióra modeluje w oczach czytelnika figury wydatne i pełne, chwytając znamiona ich rasy i położenia społecznego. Z jakąż intuicyą i właściwém „zacięciem“ przedstawia rubaszną,

postać Suworowa, robiąc go typowym przedstawicielem znanego rodzaju pachnących dziegciem wodzów, którzy zastępują sztukę wojenną przez dziką brawurę, upór i marnowanie krwi ludzkiéj. Inaczéj energicznym, zuchwałym i nieugiętym jest Lambro, grecki korsarz, z goryczą tułacza na czole, z pychą morskiego królika, który woli patrzéć na śmierć córki aniżeli płazem puścić jéj miłostkę z przybłędą. Prawdziwie chytrym i szczwanym jest Baba, rzezaniec, sługa sułtanki, jeden z tych płazów człowieczych, które czołgają się w pałacach despotów azyatyckich, mistrz wyćwiczony w serajowych intrygach. Po trafnéj charakterystyce rosyanina, greka i turka mamy potém pyszny portret angielskiego lorda, świecącéj reakcyjném próchnem, nicości—oraz tuzinkowego męża stanu, który z wielkim frazesem na ustach, pracuje dla małych celów i ciasnych zasad.

W lordzie Henryku spokojnie z subtelną ironią przedstawiał Byron zadowoloną z siebie miernotę przeciętnego wstecznika, który trzyma się jak pijany płotu spróchniałych doktryn i myśli, że jest karyatydą dźwigającą wiązania społecznego gmachu.

Mamy tu zresztą całą czeredę postaci drugo i trzecio planowych a nawet figur, które poeta wysuwa odrazu szeregiem, i prezentuje w zbiorowym tłumie, dla oddania danéj sfery towarzyskiéj, szczególniéj w ostatnich pieśniach malując czcze życie arystokracyi angielskiéj. Mąż Julii, zazdrośnik, komicznie zapérzony i robiący w Sewilli skandale; poczciwy Pedrillo, famulus bohatera, który ginie ze spokojem jako ofiara kanibalizmu podczas tułania się na morzu; poeta grecki, co żyje na cudzym chlebie a układa pieśni na cześć swobody; zabrana do niewoli przez Lambra grupa wędrownych śpiewaków, z całą komedyancką płaskością drobnych zawiści i swarów zakulisowych, o których nie mogą zapomniéć nawet podczas wspólnéj niedoli,—grono haremowych rusałek, pełne figlarności i wdzięku, z komiczną ochmistrzynią na czele,—zastęp żołnierzy zdobywców i obrońców Izmaiłu, turków, którzy giną za sprawę proroka z fatalizmem rozpaczy; tłum pochlebców w komnatach północnego dworu, grono dystyngowanych i parafiańskich gości, w rezydencyi angielskiego lorda a w niém: zalotne damy, panny posażne, łowcy posagowi, sportsmani, dziennikarze, mówcy, dyplomaci, słudzy, oficyaliści, wreszcie w różnych częściach poematu subretki dueny, żeglarze, piraci, majtkowie, handlarze niewolników, a nawet łotrzykowie angielscy, brojący po drogach:—oto jest cały ten różnobarwny tłum, który się przesuwa wężowym łańcuchem przed oczyma czytelnika.

W dawniejszych swych powieściach i dramatach fantastycznych Byron ograniczał liczbę figur działających i dodatkowych, wyprowadzał osobistości, mające bliższy związek z akcyą; tutaj rozszerzył sceneryą poematu tak, żeby była odbiciem wielkiéj areny życia i świata.

Ze szczególném jednak zamiłowaniem, barwnością i nakładem subtelnych rysów, kreśli postaci niewieście. Uczucia i namiętności kobiece są głównym składnikiem poematu. Miłość była dla Byrona wielką sprawą życia. Siła męzkości grała potężnie w jego energicznéj naturze i szukała naturalnego dla siebie dopełnienia w uczuciu i wdzięku niewieścim. Nie ma poety, w którego by losach wpływ kobiecy ważniejszą grał rolę. Gdzie się tylko zwrócił, zbierał królewską serc daninę. Przez kobiétę-żonę, która go porzuciła, stał się pastwą oburzenia opinii publicznéj, ulegającéj podszeptom obłudy i zawiści. Jedna kobiéta, Karolina Lamb, po zerwaniu serdecznych nici zemściła się na poecie paszkwilem; druga, hr. Guiccioli, uczciła jego pamięć książką, która jest jednym hymnem miłości, śpiewanym przez pięćset stronic. Z powodu jakiejś tajemniczéj istoty i jéj tragicznych a dotąd niewyświetlonych losów, cierpiał Byron przez parę lat straszne katusze sumienia, dręczył się jak Makbet nawiedzony marami. Miał więc dużo sposobności aby wcielić się w tajniki natur niewieścich, miał i dużo materyałów z obserwacyi aby je w sztuce odtworzyć wielostronnie, a jednak wyznawał że były dla niego często skryte, niepojęte.

Doprawdy dziwna kobieca natura
Kryjąca zawsze głąb duszy, jak chmura, (Pieśń I, str. 68)

Pierwsze jego postaci niewieście w powieściach i poematach były pięknemi symbolami, romantycznemi ogólnikami bez krwi i kości. Byron zanadto ulegał wpływom czaru kobiet, aby mógł być wobec nich ściśle przedmiotowym. Zanadto był lirykiem, entuzyastą a w „Don-Juanie“ pesymistą, aby mógł zdobyć się na pełną żeńską postać i szeroką jéj analizę, zresztą w kreśleniu charakterów nie był nigdy mistrzem pierwszéj ręki. Miał on swój ideał dobroci kobiecéj, łagodnego wdzięku, ożenionego z prostotą, do którego w życiu nie znalazł modelu aż do poznania hr. Guiccioli, dla tego tworzył z początku swe Gulnary i Zulejki z głowy, poetyzując idealnie wdzięk kobiet prostych, jakie poznał podczas pierwszéj podróży do Grecyi, potém dopiero parę prześlicznych postaci jak Adę w Kainie i Mirrę w Sardanapalu ucieleśnił na podstawie żywego wzoru.

W Don-Juanie jest wogóle dla płci nadobnéj niełaskawy, szorstki, kwaśny, często niesprawiedliwy, zwłaszcza w poglądach ogól-

nych i satyrycznych wyskokach. Widać, że do puharu życia nalewały mu wróżki obficie nietylko boskiéj ambrozyi ale i prozaicznego piołunu.

Już to przyznać należy, że niektórzy pisarze i poeci, obdarzeni mocnym i krytycznym umysłem, oddawna częstowali gorzkimi pigułkami nasze towarzyszki doli. Jeszcze stary Hezyod twierdził, że bogowie ze złości na utrapienie rodu ludzkiego stworzyli niewiastę. Szekspir powiedział, że tylko do pasa są one podobne aniołom a zresztą są stekiem dyabelskości. Nawet poczciwy Rej gdérał na „pletliwe białegłowy, Larochefoucault z nielitościwém okrucieństwem odsłonił w aforyzmach tajemnice ich egoizmów i namiętnostek, a Byron w Don-Juanie wtórował francuskiemu sceptykowi w sposób daleki od galanteryi, tak że żaden chyba uwodziciel nie znajdzie w tym poemacie materyału do frazesów łapiących na lep muchy... bez skrzydełek.

Lube istoty i kłamstwo dla nich tanie
I nic nie zdobi ich tak, jak uda nie. (Pieśń I, str. 178)

powiada Byron z powodu kłopotów Donny Julii, która się wykręcała przed zazdrosnym mężem w bardzo kompromitującéj chwili. W innem miejscu twierdzi poeta, że słodycz wszystkich kobiet jest słodyczą węża, który kusił Ewę do grzechu. Gdzieindziéj złość kobiecą porównywa do burzy morskiéj w cieśninie Kaletatańskiéj (Pieśń II, str. 53), mówiąc że więcéj żal mu kochanka, na którego spadnie ta nawałnica, aniżeli majtka walczącego z rozhukaną falą. Jeszcze jaskrawiéj maluje niestałość kobiety, gdy jéj małą główkę porównywa do... trąby powietrznéj:

. . . . a zresztą to głęboka wirowa
Otchłań zdradliwa, wabna, niebezpieczna.
Dziewka, mężatka, matka albo wdowa,
Zawsze ta sama, jak wiatr niestateczna,
Inaczéj pragnie, a inaczéj działa
Rzecz zawsze nowa a tak przestarzała! (Pieśń 9 str. 64)

Kobiety, według Byrona, oszukują i nas wszystkich, są mściwe, szkalują się nawzajem a jeżeli piękne to broją zapamiętale tak, że poeta ironicznie błaga śmierci, aby je oszczędzała. Lubią one zmieniać miłość jak rękawiczki (pieśń IV str. 9). W pokątnych miłostkach pokojówki są podobne do królowych (Pieśń IX str. 77), panie wielkiego świata wypełniają życie intryżkami i małostkami. Nie cierpi poeta kokietek, których liche manewry zna doskonale. Drwi niemiłosiernie z sawantek, z pretensyonalnych i afektowanych literatek „z niebieskich pończoszek“, które tak się rozpanowały w ów-

czesnéj literaturze. Najgłówniejszą zasługą płci nadobnéj, podług poety, jest powiększenie rodu ludzkiego, bo:

„Kobieta piękna, uczona, szlachetna,
Z tém wszystkiém dobra tylko—kiedy dzietna“ (Pieśń XIV str. 23)

Widocznie namiętny i skłonny do uprzedzeń umysł Byrona zanadto zostawał pod wrażeniem osobistych krzywd i upokorzeń. Nie stosował poeta do kobiet swéj religii swobody i po staremu uważał je za matki i niańki, za bawidełka i dostarczycielki rozkoszy, anioły albo ladacznice—a nie za współtowarzyszki w szlachetnym trudzie żywota.

Pomimo tych zrządzeń i docinków szczerze lubi poeta płeć piękną i w sposób epikurejski przerabia znany wykrzyk Kaliguli, pragnąc „by jedne usta miały wszystkie panie, by razem wszystkim dał pocałowanie“ (Pieśń VI str. 27). Czasami co prawda mówi o nich łagodniéj ale nigdy nie rozpływa się w pochwałach. Dawniéj musiał się rozczulić do głębi potęgą „łzy czarodziejskiéj w oku kobiety“ (Korsarz pieśń II), teraz mniéj czuły, a więcéj ironiczny, rzuca refleksye dosyć obojętne, że kobiéty nie lubią pół uczuć, pół środków, że mają pasyą swatania małżeństw, a raz tylko jeden sprawiedliwie ocenia ich ofiarną siłę uczucia:

Miłości kobiet!—o poznania warte
Piękne a groźne, pełne tajemnicy.
   Kobieta wszystko stawia na tę kartę,
Gdy przegra, to jéj nic oprócz tęschnicy
   I żalu życie nie odda rozdarte.
Za to ich zemsta jak skok tygrysicy
   Krwawa... lecz i ta zwiększa serca rany,
Bo czują same, cios drugim zadany (pieśń II str. 199).

Rzecz dziwna jednak, że z tą przewagą pesymizmu w poglądach niezupełnie licuje charakterystyka postaci kobiecych, prowadzona przeważnie w sposób epicki, wolna od jednostronności, pod wieloma względami prawdziwa i mistrzowska. Jakżeż trafnie i delikatnie maluje poeta stopniowy proces budzenia się namiętności lub uczucia w duszy kobiecéj, walki jéj z obowiązkiem, powolne ogłuszenia moralnéj samowiedzy przez żądzę, nareszcie to przepojenie całéj istoty miłością, która staje się duszą kochanków a nie ich zmysłem (IV, 27). Jak miękki, wabny jest portret Julii, pierwszéj kochanki Don-Juana, która ulega powoli nieprzepartéj sile uczucia. Marząc zrazu tylko o idealnéj dusz harmonii, plącze się w matnię i okupuje błędy przymuszoną pokutą w klasztorze. Miłość kusi ją do grzechu, uczy w potrzebie fałszu. Wobec męża, który robi głośny skandal i sprowadza całą gromadę świadków swéj

hańby, wybucha Julia całym potokiem skarg, złorzeczeń, lamentów udanych, gra z krzykliwą przesadą rolę niewinnie posądzonéj ofiary, dając koncert kłamstwa i obłudy. Przewrotna z konieczności, odzyskuje potém naszę sympatyą pisząc przecudowny list do Juana, jeden z najgorętszych i najprawdziwszych wybuchów uczucia, jakie istnieją w poezyi. Z listu tego przegląda cierpiąca, głęboko uczuciowa dusza kobiety, która się skarży z przejmującą tęsknotą, obwinia tylko siebie, chociaż wina jéj jest w znacznéj części wynikiem pogwałcenia praw natury i fałszywéj sytuacyi w rodzinie.

Jeszcze bardziéj ponętną jest Haida, greczynka, swobodna córa przyrody, jedno z najcudniejszych wcieleń naturalnego wdzięku w poezyi. Byron opisując ją, zaklął w swe pióro całą malowniczość i powab plastyki zewnętrznéj, upajał się jak Grek cudownie pogodną wizyą rozkoszy i wdzięku. Haida swobodna jak ptak, lekka gazella, piękna jak leśna rusałka, z prostotą dziecka natury idzie za głosem uczucia, pogrąża się bez pamięci o jutrze w niewysłowionéj błogości. Miłość Haidy pojęta w duchu poetycznéj religii przyrody, naiwna, szczera, nieposkromniona w swych porywach, staje się dopiéro grzechem i klęską w zetknięciu z porządkiem moralnym i despotyzmem ducha rodziny. Jestto właściwie wyśnione, odziane w dotykalny kształt marzenie o miłości w duchu Rouss'a, prostéj swobodnéj, oczyszczonéj z fałszów i mętów cywilizacyi. Duch helleński unosi się nad cudną parą kochanków, którzy w chwilach rozmarzenia „grupę tworzyli klasyczną, miłosną, nagą, naturalną, śliczną" (Pieśń II str. 124). Piękno fizyczne i powab zmysłowy kojarzą się tutaj z wdziękiem młodzieńczym, miłość staje się boskim płomieniem żywota, w którym się trawi kwiat uczuć wiosennych. Kochankowie...

Chodzili sami, dłoń trzymając w dłoni,
   Po muszlach, piasku nadbrzeżnym i zwirze—
A potém zeszli do skalnéj ustroni,
   W któréj znać burze pracowały chyże,
Mistrzowską rękę przykładając do niéj
   I wykowały te sale w porfirze.
Tam siedli spocząć, a splótłszy ramiona,
   Patrzali, jak dzień na zachodzie kona.
Patrzali w niebios szafirowe pole
   Ubrane w chmury, jako w listki róży,
I poglądali znów na morze w dole
   Gdzie topił jasne oko księżyc duży,
Bawił ich plusk fal i wiatru swawole
   A potém oczy zatrzymali dłużéj
Na własnych twarzach; twarze się zbliżyły,
Usta się zeszły, przylgnęły, spoiły (Pieśń II, str. 184 i 5).

Miłość ta roztapia się w ciszy, którą Byron czci z tajemniczym zachwytem jako poetyczną chwilę przyrody. Harmonii uczuć wtórzył szum fali Jońskiego morza, szelest płynącego po mirtowych gajach wietrzyku. Serca porozumiewają się tajemnie, Haida nie mówi ani jednego słowa. Widocznie bał się poeta, aby nie rozbić czaru tego obrazu sztucznym albo trywialnym frazesem. Haida zresztą należy do kobiet, które czują głęboko i nie rozpraszają się w słowach. Gdy ojciec nielitościwy kazał uwięzić kochanka, zamyka się w bolesnym uporze, a cicha rozpacz trawi ją tajemnym ogniem na popiół.

Odmienną zupełnie figurą jest Gulbyeza sułtanka, piękność junońska, namalowana bogatym jakby makartowskim pędzlem, rozkwitła w pełni powabów. Nie zna ona porywów młodzieńczéj żądzy, ale ma kaprysy dojrzałéj kobiety, któréj nie może wystarczyć czczość haremowa przy boku wstrętnego padyszacha. Łączy się w niéj miałkość umysłu, lubieżność,—okrucieństwo zepsutéj pochlebstwem wschodniéj kobiéty, co zgubić gotowa bez litości człowieka, za którym przed chwilą szalała.

Z pomiędzy haremowych hurysek najwdzięczniejszą jest Dudu, ciekawa, żywa jak iskra gruzinka, przebiegła a zręczna w ukryciu niespodziewanego kochanka przed oczami haremowéj duenny.

W gronie figur angielskich, wprowadzonych przy końcu powieści, wyróżnia się żona lorda Henryka, lady Adela, przeciętny okaz kobiéty światowéj, dobrego tonu, miłéj, taktownéj, uprzejméj i średnio wykształconéj. Obok niéj wychyla się z tłumu zalotna, wyzywająca i pomysłowa księżna Fitz-Kulke, która kusi Juana i szukając miłosnych awantur, udaje pokutującego ducha, wreszcie mis Aurora, domniemana w zakończeniu małżonka bohatera poematu, ponętna w swéj powadze i smutku sierocym, dziewa z sercem spokojném jak liście brzozy, których w ciszy żaden wietrzyk nie trąca. Zdaje mi się, że ironicznym zamiarem Byrona było tę postać kreśloną bardzo wdzięcznie, potém wprowadzić w życie małżeńskie i oskubać z poetycznych piórek, ale to tylko mój domysł, którego słuszności dowieść mi oczywiście niepodobna.

Te wszystkie postaci kobiece, pomimo rysów odrębnych, mają wspólną cechę, podniesionego przez poezyą wdzięku, który unosi się w otaczającéj je atmosferze. W dziejach ich serc i namiętności poeta przeprowadza melodyą uczuć miłosnych, podobną do serenady z opery Mozarta, w któréj akompaniament harfy przedrzeźnia ironicznie dźwięki aryi barytonowéj.

O saméj miłości poeta wyraża się sprzecznie, stosownie do tego, z jakiéj strony ukaże mu się oblicze tego demona. W wędrów-

kach „Childe-Harolda“, nazywa miłość „niewidzialnym serafinem, którego prawdziwych kształtów nie dojrzy wzrok ciała. Było to cóś, w rodzaju pojęcia platonicznego, na które w „Don-Juanie“ poeta piorunuje z pogardliwém szyderstwem. Boskiemu Platonowi dostaje się brutalna połajanka; to jest nudziarz, mędrek snujący mamidła, które tylko torują drogę do rozpusty, rajfur, który kusi ludzkość do widocznego grzechu (Pieśń I, str. 116). Urąganie to niezupełnie słuszne. Plato w swéj „Biesiadzie“ postawił harmonią duchową serc, jako ideę, postulat niewcielony, któremu sam zadawał kłam w swéj rozprawie „O państwie“, głosząc zasadę kojarzenia się związków małżeńskich na tych podstawach, jakie praktykują się obecnie w rozpłodowych stajniach, oborach i owczarniach. Dopiéro wieki średnie spopularyzowały zasadę platońskiéj miłości, na tle ideałów chrześciańskich, stworzyły doktrynę braterstwa dusz w Chrystusie. Byron, wielokrotnie drwi z platońskiéj a raczéj platonicznéj formuły i pojmuje miłość przeważnie ze strony fizycznéj. Źródłem jéj bywa często słońce, które żar we krwi rozpala, a konieczną podnietą — krzepkość, podsycana dobrą strawą, oraz smaczne winko, przyczém poeta ironicznie głosuje za szczupakiem na biało, ostrygami, truflami i szampanem (Pieśń II, str. 169 i 170; Pieśń XIV, str. 86). Czasami znowu księżyc ze swém światłem przeklętém rozmiękcza serca (Pieśń II, str. 208), oddając je na łup miłości, którą poeta nazywa „bóstwem... niecnoty, bo dyablicą jéj zwać nie ma ochoty“ (Pieśń II, str. 132). W praktyce miłość uczy obłudy dusze młodociane, bywa próżnością i samolubstwem, pozorem namiętnym, co za sobą zniszczenie prowadzi, tu znowu buntem dusz zamkniętym w formie nędznéj gliny, a jeśli jest „miłą i praktyczną“, to często robi z małżeństwa parawan dla rozpusty (Pieśń IX, str. 72, 73, 75 i 76). Działanie jéj często wywiéra wpływ niszczący, burzy wdzięk, podobnie jak łzy (Pieśń V, str. 98), ale z drugiéj strony w spokoju jest źródłem rozkoszy i uciechy, umileniem doli człowieczéj. Pierwsza namiętna miłość jest najsłodszą ze wszystkich ziemskich słodyczy (Pieśń I, str. 127), które wylicza poeta, opisując ponęty życia, jako zwolennik „hedonizmu“. Dawniéj „gdy lica ziemi nie były zorane bruzdami krwawych łez“, miały podług Byrona znaczenie słowa pisma, że „Bóg jest miłością a miłość Bogiem“ (Pieśń VI, str. 6), ale teraz czasy są twardsze. W chwilach jednak upojenia zapomina o goryczy żywota; wielkim głosem woła: „O! kraju słoneczny miłości! nim cię zapomnę, niech raczéj zapomnę modlić się“.

Rozumié się, że o te sprzeczności nie można winić Byrona, którego celem było poetyczne oddanie ironii życia. Miłość zresztą

bywa tém wszystkiém, czém Byron powiada, bywa trucizną dla zdrowia i szczęścia ludzkiego, prowadzi do stanów duszy męczących i patologicznych. Gdy stroi się jednak harmonijnie z logiką życia, bywa nietylko źródłem romantycznych zachwytów, ale wielką dźwignią bytu rodziny, siłą znieczulającą bóle i męki powszedniego żywota.

Psychologia dzisiejsza wykazała zresztą, że miłość jest kojarzeniem się popędów uczuć i pragnień najrozmaitszéj natury i pochodzenia, które łączą się ze stosunkiem obu płci w wielkiéj sprawie utrzymania rodzaju. Przyroda dążąca do swych celów, osadziła w piersiach człowieczych tę tajemną siłę, któréj pierwsze nieświadome drgnienia, budzą się przy zachwycie nad śpiewem słowika, urokiem letniego wieczoru i księżycowéj nocy—a potém potężnieją w namiętnym uścisku kochanków. Uszlachetniona przez rozwój cywilizacyi natura ludzka, wnosi do téj sprawy żywioły psychiczne szlachetniejszego rzędu, o jakich nie może być mowy w świecie zwierzęcym, albo na najniższych stopniach uspołecznienia barbarzyńskiego. Postaram się tę prawdę wyrazić w kształcie poetycznego symbolu, nie ubliżając przez to teoryi rozwojowéj, która nie chce bynajmniéj wymiatać poezyi z duchowego życia, jak się to wydaje niektórym jéj potwarcom, albo suchym fanatykom trzeźwości. Zdaje mi się, że miłość można porównać do wielkiéj drabiny, co podobnie jak we śnie Jakubowym pierwsze ma szczeble przy ziemi, przy fizycznéj stronie człowieka, a ostatnie w niebie, to jest sferze najbardziéj wyszlachetnionych uczuć i pożądań. Na tych szczeblach od góry do dołu dadzą się pomieścić wszystkie jéj przemiany i objawy, począwszy od zmysłowych popędów, aż do eterycznych uniesień, od rubasznych zalotów wiejskiego parobczaka i rumianéj dziewuchy, aż do niezienskiéj miłości Danta i Beatryczy. Byron w „Don-Juanie" odrzuca, a raczéj lekceważy w miłości stronę idealną, która jednak jest realizmem wewnętrznego bytu człowieka, koniecznym wynikiem pewnych psychicznych organizacyi. Ale i on dochodzi do szlachetnego kultu miłości w religii natury, pojętéj panteistycznie. Ołtarze tego kultu ma poeta na górach, w morza szumie, w przestworach „we Wszystkiém co z Jedności płynie, z któréj się wzięła dusza, w któréj zginie" (Pieśń III str. 104). Hymnem téj religii jest w prześlicznéj sielance z pieśni III cisza wieczorna, pochylająca się anielsko nad ziemią, w chwili, gdy para młodych kochanków, pogrąża się w niemym zachwycie, ubarwiona purpurą zachodzącego słońca. Wtedy dzwonek z wieży wtóruje „mrącemu hymnowi dnia", i drzewa liście mrużą się przy szmerze pływającéj w powietrzu modlitwy:

Ave Maria! To jest czas pacierzy,
Ave Maria! To jest czas kochania,
Ave Maria! Ku tobie duch bieży
Tobie i twemu synowi się kłania.
Ave Maria! Ta twarz... któż się zmierzy!
To oko skromne, które się osłania
Skrzydłem gołąbka—choć to obraz... klęknę!
To nie bożyszcze—o nie! To za piękne (P. III, str. 103).

Miłość chociaż nieuświęcona żadnym obrzędem religijnym ani społecznym, wywołuje podniosły zachwyt, który poeta łączy z hymnem przyrody w chwili przedsennéj i z najpoetyczniejszym symbolem chrześciańskim. Pobożne skupienie panteisty, kojarzy się tu z uniesieniem poety, estetyka. Byron, wykrzykujący gdzieindziéj wiwaty na cześć Venus-alma—tutaj schylił dumne czoło przed symbolem wiary, z któréj powagi dawno się wyzwolił. Pomimo swego panteizmu, wedle słów genialnego Shelley'a, Byron nigdy nie wypruł ze swego wnętrza resztek chrześciaństwa, czuł zawsze sympatye do katolicyzmu, jako do religii w Anglii prześladowanéj.

W symbolu chrześciańskim uznał boski płód piękności duchowéj, spływającéj harmonijnie z pięknem przyrody. Gdzieindziéj znowu wyprowadza na widownię poematu symbole pogańskie, uosabiające płodne siły życia (Pieśń II, str. 170).

W tém pomieszaniu idzie za śladem tradycyi ariostycznéj i epopei odrodzenia, łączącéj świat rycerski z echem pojęć pogańskich. Jestto bardzo często cechą wszelkiéj poezyi, że w swych najpiękniejszych girlandach wije kwiaty wyrosłe z różnych grzęd cywilizacyi, „że tworzy z nitek dawnych i nowych, klasycznych i romantycznych, chrześciańskich i pogańskich, gminnych i rycerskich, nową piękną tkaninę, którą rozdzielają między siebie społeczeństwa, biorące udział w wymianie płodów cywilizacyi. Byron należy do misternych tkaczy poezyi, pracujących na użytek ludzkości i chyba tylko ciasny doktryner może mu robić zarzut z powodu tego bogactwa różnorodnych włókien.

Pomimo tylu złorzeczeń na miłość, poeta nie wyłączył jéj z akordu harmonii przyrody, tymczasem wynik miłości małżeństwo podstawia, jako dysharmonią pełną gorzkiego i bolesnego komizmu. W małżeństwie zamienia się ambrozya miłości w polewkę jakąś, kwaśną i zepsutą, jest ono kajdanami, „związkiem“, a wiadomo, że wyraz ten pochodzi od „więzić“ wedle etymologicznéj igraszki dobrze oddanéj przez polskiego tłómacza (Pieśń V, str. 158). Jedno z małżeństw, przedstawionych w „Don-Juanie“ jest farsą w stylu molierowskim, drugie rozpaczliwe banalnym przybytkiem nudy i konwenansów. Dla poetów, podług Byrona, małżeństwo bywą piekłem;

czego najlepszym dowodem są Dante i Milton, którzy opisując męki potępieńca, sami doświadczali podobnego losu pod pantoflami swych połowic (Pieśń III, str. 10).

Oddawna już dumali ludzie na świecie, czém się to dzieje, że w społeczeństwach wyrosłych na kulturze chrześciańskiéj małżeństw wywołuje tyle zboczeń, tyle anomalii obyczajowych, że daje materyał do satyry daleko większy, aniżeli za czasów pogańskich. Ariost w „Orlandzie szalonym“ na początku piątéj pieśni, skarży się naiwnie w naszym przekładzie Piotra Kochanowskiego, na swary małżeńskie:

Wszystkie zwierzęta, co się na ziemi chowają,
Albo z sobą spokojnie i zgodnie mieszkają,
Albo jeśli im z sobą przychodzi do boju,
Zawżdy samiec z samicą są z sobą w pokoju.
Z niedźwiedzicą swą niedźwiedź nie ma nigdy wojny,
Podle lwice swéj leży zawżdy lew spokojny,
Bezpieczno z wilkiem chodzi po lesie wilczyca,
I nie boi się swego byka jałowica.—
Co za jędza piekielna ludzi zaraziła,
Co za Megiera jad swój w serca im puściła,
Że małżeńskiemi więzy powiązane pary
Częste zwady i częste z sobą czynią swary?
Bywa i tu, że sobie dla lekkiéj obrazy
Twarze drapią i wzajem ciężkie czynią razy,
Widziém łoża małżeńskie łzami omoczone,
A czasem i krwią z głupich gniewów splugawione (Początek pieśni V).

W tém ironiczném zestawieniu człowieka i zwierząt, zapomniał Ariosto, że niektóre gatunki wyżéj wymienione, mają poligamiczne obyczaje, nie dające powodu do swarów między jednostkami różnych płci, zapomniał, a może nie wiedział, że w państwie zwierzęcém obok pięknych przykładów zgody i wierności małżeńskiéj, zdarzają się także stosunki wrogie i potworne.

Byron niewiele sobie robił z małżeństwa i drwił z niego mimochodem. Poligamią z cicha potępiał, ale w sposób bardzo wątpliwy, bo zresztą sam praktykował swobodę obyczajową ze szczerością cokolwiek cyniczną, za co go srodze potępiali przejęci purytanizmem ziomkowie. Na związki nie uświęcone powagą państwa lub kościoła, na swywolne wybryki żądz, zapatruje się dosyć pobłażliwie. Chociaż „Juan“ z Haidą nie byli połączeni stułą, a jednak ślub ich uświęcony poezyą natury, dzięki której „sami sobie zdali się aniołami, a świat cały był ich rajem“ (Pieśń II, str. 204). Nie podziela Byron bynajmniéj przesądów społecznych, które obrzucają pogardą dzieci nieprawe (Pieśń V, str. 94). Jego oburzenie na miłość wolną, zakazaną, jest komiczną parodyą obłudy. Naumyślnie

wypowiada je w formie przezroczystéj drwiny, na dnie któréj spoczywa co najmniéj obojętność wobec zakazów etyki, „z których ciągle igraszkę robi praktyka obyczajowa". Żałuje, że w porządku moralnym świata „rozkosz jest grzechem, a grzech rozkoszą" (Pieśń I, str. 133), że to, co my zwiemy umizgiem — bogi zowią nierządem". Dla grzeszników téj kategoryi nie ma słów potępienia, chyba bardzo dwuznaczne. Za to głęboko smuci go fatalizm miłości, co rzuca na serca urok nieprzeparty, prowadzi do czynów, które opłacać trzeba łzami i cierpieniem (Pieśń II, str. 192). Bardzo naturalnie, że całą jego sympatyą posiada rozwód „tak stary, jako wieżyce Troi", od któréj upadku datuje się utworzenie sądu dla spraw małżeńskich. W tych opiniach jest dużo ironicznego kaprysu, albowiem Byron raz poetyzuje miłość swobodną, a drugi raz jéj złorzeczy. Nie doszedł w téj kwestyi poeta do jednolitych poglądów, ale zdobył się na oderwane wyskoki negacyi, wobec wyobrażeń istniejących. Obyczajowość przedstawiła mu się jako dziwaczna burleska, w któréj namiętności i ślepe popędy igrają dowolnie z zakazami etycznemi. Namiętność zawsze, wedle słów Szekspira, „przeskakuje, jak zając sieci szanownego morału", a ludzie brojący rozkoszne grzeszki, boją się nie tyle winy ile jéj odkrycia.

W sprawie miłości Byron jest zwolennikiem swobodnych praw do szczęścia, wrogiem poglądów ascetycznych i teoryi Malthusa, którą kilkakrotnie obrzuca drwinami. Zaleca natomiast swobodne mnożenie się rodzaju ludzkiego, to jest filogenitywność, zwalczaną dzisiaj przez nowo powstałe w Anglii doktryny sekciarskie, które na téj drodze szukają rozwiązania wielu kwestyi socyalnych.

W jego panteistyczno-materyalném pojmowaniu miłości, widzimy ślady wpływu Shelley'a, do którego wysokiéj syntezy filozoficznéj nie wzniósł się nigdy autor „Don-Juana". Shelley pojmował idealnie małżeństwo, oparte na swobodnéj harmonii dwu istot. W swym poemacie „Królowa Mab" protestował przeciwko wszelkim przymusom w małżeństwie, przeciw klątwom spadającym na kobietę, która uległa poszeptom uczucia. Dla niego jedyne znaczenie miał „nieomylny głos przyrody" a teraźniejsze małżeństwo było systemem, „który walczył z wyrafinowaną nienawiścią przeciwko szczęściu człowieka". Broniąc praw osobistéj swobody genialny panteista żąda od państwa, aby w tym duchu przeprowadziło radykalną reformę stosunków rodzinnych (1). W praktyce niesto-

(1) Patrz Brandesa: Główne prądy literatury XIX stulecia. Warszawa, 1882, tom I, str. 91 i nastepne.

sował Shelley swego liberalnego poglądu, czując, że takie pojęcie małżeństwa, niemające zresztą nic wspólnego ze zwykłą swobodą użycia i rozkoszy, byłoby jednak opacznie zrozumianém przez opinią, spadając brzemieniem hańby na jego dzieci. Oczywiście doktryna takiéj swobody, nawet filozoficznie pojętéj, nie może ostać się wobec naturalnych potrzeb bytu rodzinnego i podtrzymania rodzaju.

Byron głosował i wychwalał wprawdzie życie urządzone przez prawa naturalne, poetyzował na wzór Rouss'a byt patryarchalny na tle dziewiczéj przyrody, ale nie stawiał wyraźnéj doktryny sprzecznéj z istniejącym ładem moralnym. To pewna jednak, że czuł instynktownie rozdźwięk, jaki istnieje w życiu pomiędzy prawidłami moralności a praktyką obyczajową i że przedstawił go widomie w faktach poematu. Jego bohater we wszystkich miłosnych przygodach idzie za głosem „sennych popędów", które nieustannie łamią szranki etyczne. W różnych okolicznościach, w najsprzeczniejszych warunkach społecznych, w komnatach hiszpańskiego hidalga, w ustroniach greckiéj wyspy, w buduarach sułtańskich, wreszcie w salach starego angielskiego opactwa, wszędzie jednakowo broi natura ludzka, napróżno ujmowana w wędzidła. Prawie zawsze wina, a raczéj to, co się winą zowie, nie zostaje w naturalnym stosunku do pobudek, nie jest wynikiem złych i przewrotnych dążeń lub skłonności, ale przychodzi cichaczem sama z siebie, jako nieoczekiwany wynik miłości. Skutki téj winy spadają głównie na jednę stronę, na kobiétę, która przekroczenie reguł moralnych okupuje śmiercią lub niedolą. Mężczyzna prawie zawsze wychodzi bez szwanku, tak samo jak kobiéty, które umieją szanować pozory, robiąc obłudny układ z rygorem przyzwoitości towarzyskiéj. W innym wypadku hańba, druzgocąca szczęście całego życia kobiéty, staje się na pewném wyjątkowém stanowisku jawnym, tolerowanym przywilejem, jak to widzimy w północnym epizodzie losów bohatera, poprzedzającym jego wyjazd do Anglii. Wszystko to są anomalie i sprzeczności, które doskonale odpowiadają logice życia. Wobec „sennych popędów", wobec przewagi praw przyrody, wobec potęgi uczuć, które z taką siłą ujarzmiają wolę człowieka, czyż może być usprawiedliwione sprowadzanie konwencyonalnym strychulcem różnych zboczeń i błędów kobiecych do jednakowéj miary? Czyż dość są w wielu razach usprawiedliwione wyroki potępienia, rzucane przez płytką opinią na kobiéty „upadłe", wyroki tak sprzeczne z etyką chrześciańską i przyrodzoną? A jednak te anomalie są koniecznym wynikiem urządzenia ludzkich stosunków, pod wpływem praw jednostronnych,

doktryn ascetycznych, które nietylko lekceważą ludzką naturę, ale dążą do systematycznego jéj zgwałcenia.

Jestto przymiotem dzieł poetycznych pierwszego rzędu, że z fikcyi stają się równoważnikami prawdy, że na ich podstawie można budować słuszne teorye o życiu i naturze człowieka. Takim jest bezwątpienia „Don-Juan“, trafnie przez Brandesa w znakomitém dziele „Główne prądy literatury XIX wieku“ uważany za najpiękniejszy wykwit naturalizmu angielskiego, za epos nowożytny, który dla tego się powiódł, iż jego podwaliną była cała kosmopolityczna natura naszego wieku“ (Tom IV, str. 320). Naturalizm ten jest czysto poetyczny, polega na rasowych właściwościach całego szeregu poetów angielskich i różni się od dzisiejszego naturalizmu Zoli oraz zwolenników jego metody.

U poetów angielskich, polega on na bezpośredniém odczuciu piękności przyrody oraz działania jéj sił zarodniczych, co swój ostatni filozoficzny wyraz ma w panteizmie. W Byronie filozoficzny panteizm rzadko się odzywa ale miłość dla przyrody jest głęboka, namiętna, niekiedy skojarzona z tęsknotą. Poeta wypowiedział się w II pieśni „Wędrówek Childe Harolda“ w ślicznéj apostrofie, którą przytaczam tu w przekładzie M. Budzyńskiego:

Natura choć w obrazach swoich rozmaita,
Jak matka najłaskawsza darzy nas obficie.
Z jéj piersi odsłoniętéj chcę czerpać do syta,
Ja jéj wierne choć przez nią nie pieszczone dziecię.
Oh! ona jest piękniejsza w dzikiéj swéj ozdobie,
Zanim sztuka ją skazi, w kształt odzieje cudzy—
Ja jéj uśmiech i w dziennéj i w nocnéj mam dobie,
Chociaż na nią poglądam nie tak jako drudzy
I szukam, kocham więcéj, gdy serce w żałobie.

U francuskich pisarzy naturalizm ubocznie tylko poetyzuje przyrodę, jest rozwinięciem do ostatnich krańców metody realno-psychologicznéj Balzac'a i biegunowém przeciwieństwem romantyki. Do przedmiotowego realizmu wielkich powieściopisarzy angielskich ma się dzisiejszy naturalizm francuski tak samo, jak teorye skrajne materyalistyczne do zasad filozofii rozwojowéj. Krzątając się koło zgromadzenia dokumentów ludzkich i stwierdzenia hypotez naukowych w dziedzinie literackiéj, naturalizm francuski z zamiłowaniem maluje jednostronną przewagę niższych instynktów, w człowieku cywilizowanym widzi zbyt wiele zwierzęcia. Chociaż wyrzeka się symboliki, niby dyabeł święconéj wody, jednakże w ogólnych pomysłach przedstawia posępną siłę fatalizmu, wcieloną w dotykalne symbole.

W „Don-Juanie“ Byron, jak sam powiada, igra po wierzchniéj fali życia, fantazyuje na temat ironii losów człowieczych, tymczasem naturaliści francuscy silą się na oddanie niezłomności działania nie tylko czynników moralnych, ale i fizyologicznych instynktów, lubując się w analizie chorobliwych stanów duszy i obyczajowości. Dla Byrona poezya, była przelaniem się uczucia za krawędzie duszy (Pieśń IV str. 106), wypływem zapału i natchnienia, czasem improwizacyą, a nigdy metodyczną robotą. Pesymizm Byrona jest lotny, genialny, skojarzony czasami ze szczątkiem melancholii i odczuciem bólu świata. Pesymizm francuskich pisarzy jest doktrynerski i metodyczny, stwarza atmosferę duszną i przygnębiającą. Byron tak jak wszyscy wielcy realiści, buduje poemat z materyału rzeczywistego, z własnych wrażeń, obserwacyi, przebytych faktów, wreszcie z opisów i pamiętników. Naturaliści francuscy wierzą głównie bezpośredniéj obserwacyi i mają pretensyą, a szczególniéj Zola, do robienia eksperymentów na żywych ludziach, chociaż właściwie malują ich, kombinują własne siły i wyobrażenia. Inaczéj téż zupełnie poeta-naturalista Byron poczyna sobie z całym materyałem twórczości, aniżeli prozaicy-naturaliści francuscy, albowiem nie siląc się na metodyczność, używa on praw poetycznéj swobody, bardzo szerokiéj w zakresie obranego rodzaju epiki. Byron nie rozumié powolnego tworzenia całości ze szczegółów. Jego sposób tworzenia jest jaskrawém przeciwstawieniem wobec metody następców Balzac'a: ujmuje przedmiot odrazu, przyznaje swéj naturze poetycznéj rodzaj siły tygrysa, który jednym skokiem chwyta łup swój, albo chybia zupełnie. Tematy miłosne traktuje poeta śmiało, nieraz swawolnie, przechodząc całą skalę pragnień, uczuć, wrażeń nerwowych i wstrząśnień wyobraźni aż do ich zmysłowego uwieńczenia. Przedstawia prawdę nagą, czasem bez figowych listków, ale z jakimże nieporównanym wdziękiem, z jaką estetyczną swobodą, jak delikatnie przesuwa się przez momenty drastyczne, z jakim smakiem kreśli sceny zmysłowe, unikając tak modnego dzisiaj poetyzowania rozpusty albo lubieżności, któréj głównym celem bywa zyskowny efekt skandalu, nawet u bardzo znakomitych pisarzy. Naturalizm francuski ma oko utkwione w pewnym kręgu zjawisk, tymczasem naturalizm Byrona przypomina czasem śmiały wzrok pół-boga unoszącego się nad poziomemi falami rzeczywistości, lub spojrzenie olbrzyma na rojące się u stóp jego mrowisko. Kochajcie się, marne stworzenia, nienawidźcie, pracujcie, prowadźcie wojny, bawcie się w cnotę i rozpustę,—dyplomacyą, szalejcie z bólu i uciechy, wijcie się z głodu i rozpaczy, gryźcie się wzajemnie, opływajcie w przesycie, kręćcie się w wirze nieustannych za-

biegów, a nie będziecie niczém więcéj, tylko tém, czém zawsze jesteście: mrówkami, zwierzętami!

Ale potrafi poeta także zmieszać się z ludzką rzeszą wejść w sam środek, w sam wir tych zabiegów, płynąć swobodnie po rwącéj strudze, która ginie gdzieś w odległéj mecie wieczności. Poezya sił natury ukazuje się tu w różnych dziedzinach i stosunkach bytu ludzkiego. Po tragikomedyi małżeńskiéj, w którą mieszały się płaskie głosy zawiści i skandalów prowincyonalnego miasta, następuje tu wspaniały obraz bezsilności człowieka oddanego na łup rozpasanych żywiołów. W łódce, która nie zna rozbitków, nędza i rozpacz wywołują z duszy ludzkiéj zwierzęce instynkty, a z wynędzniałych twarzy rozbitków wyglądają pyski hyjen i szakali. Po głodzie i śmierci ukazuje się poezya rozkoszy i użycia obraz rajskich szczęśliwości o barwach Makarta, przysłoniony tu i owdzie lekką mgłą marzenia, snującą się niby dym z kadzielnic ofiarnych, przy ołtarzu boskiéj Afrodyty. Sielanka grecka kończy się tragicznie, a śmierć przychodzi jak ów geniusz klasyczny, gaszący lekko pochodnię, jest poetycznėm zamknięciem młodzieńczéj krasy życia. Potém następują chwile tułaczki i poniżenia bohatera, następnie poeta jak czarodziéj odsłania tajniki komnat serajowych, aby ukazać kawałek świata wschodniego z jego zewnętrznym blaskiem, upajającą zmysłowością i lichotą moralną, z przepychem i szczęściem możnych, i upodleniem niewolników.

Po opisach rozkoszy zniewieściałych, z których wieje przesycona woniami narkotycznemi atmosfera serajowa, następuje orgia nienawiści i zniszczenia, obraz zdobycia Izmaiłu szeroki, pełen żołdackiego gwaru, szorstkiéj energii. Jednostka staje się tylko częścią armii, tego wielkiego smoka, który sieje ogniem, opasuje gród skrętami olbrzymiego cielska, rwie zębami mury i dławi drgnienia ofiary, powoli konającéj w konwulsyach.

Wojna pojęta jako wielka praca sił niszczących, jako zwarcie się potęg rasowych, jako robota ludzka nienamaszczona posłannictwem wielkiéj idei. Wódz zdobywców jest ślepém narzędziem rozkazów z góry, łączy dziką energię z trywialnością żołdacką, a po zwycięstwie w okrzyku radośnym jednoczy imię Boga i hetery w purpurze. Zdobywców gna na mury ślepe posłuszeństwo, zabijające poczucie osobistéj swobody. Obrońcy także nie budzą sympatyi, bo należą do rasy fanatyków i ciemięzców, ale potrafią pięknie, po bohatersku umierać, walczyć mężnie z uporem, podsyconym przez koranowe... gruszki na wierzbie, to jest nadzieje rozkoszy mahometańskiego raju.

Te pięć epizodów: miłości, burzy, sielanki, haremu i szturmu; są pod względem artystycznym popisami stylu epickiego w szerokiém znaczeniu. Byron je traktuje w zarysach szerokich, przeprowadza świetnie w szczegółach i rzuca akcyą na tło opisowe. Każdy z nich jest harmonijną całością o właściwym sobie tonie, nastroju, pomiędzy jednym a drugim poeta zręcznie przeprowadza całą skalę tonów i motywów pośrednich. Mistrzowstwo w opisach polega u niego na bogactwie i barwnéj ekspresyi wrażeń zmysłowych. Niektórzy krytycy twierdzą, że dla Byrona głównym organem czucia było ucho, a sam poeta nawet powiada, że dla niego „wszystko gra, niechaj tylko ludzie słyszą—ziemia jest echem sfer, co nad nią wiszą“ (Pieśń IV, str. 5). Jednakże obok wielkiéj muzykalności formy, w któréj jak wiadomo Shelley go przewyższył, Byron w swym kunszcie opisowym, połączył najróżnorodniejsze czynniki, dążąc zawsze do wyrazistości, a nawet jaskrawego przepychu. Obrazuje on kształty, barwy szelesty, odgłosy, ożywia wodę, plusk morskich fal, ryk bałwanów, zaludnia widoki dźwiękami, łączy pejzaż z liryką uczucia, chwyta efekty dziennego i nocnego oświetlenia, koloruje pastelami portrety niewieście, oddaje piękno architektury i ornamentykę, w opisie kościołów i komnat haremowych i sal starego opactwa, albo posępnéj galeryi zamkowéj, w któréj arkadach pada światło księżycowe na podobne czyścowym marom portrety antenatów. Po szturmie Izmaiłu, w którym poeta wysilił się na oddanie panoramy wojennéj, barwność kolorytu i siła plastyki słabnie, artyzm wykonania widocznie się obniża.

Epizod petersburski ma subtelne i dobre rysy, których nie brak zresztą najsłabszym ustępom, ale pod względem charakterystyki nie jest już dość wyrazistym, nie ma siły tonu i typowych szczegółów. Jeszcze bardziéj blaknie koloryt przy opisie szarego życia arystokracyi angielskiéj, z którego wieje czczość, a nawet czasami nuda. Opowieść sączy się leniwo, niby strumień po piasku podczas suszy letniéj, ludzie i obyczaje nie wyglądają ciekawie, opowiadanie słabnie, ironia zamienia się na zrzędzenie. Tytan się widocznie sfatygował, ale czekajmy chwilę—sam spostrzega swe błędy, zmaga się kilkoma uderzeniami satyrycznego bicza i odzyskuje dawną werwę, kreśli poetyczny wizerunek dziewicy i śliczny obraz staréj siedziby szlacheckiéj, zamku okolonego koronami wspaniałych dębów a potém z dawną gracyą rozpoczyna urwaną wyprawę młodéj kokietki, która snuje się po korytarzach zamczyska w fantastycznėm przebraniu. Sprawdza się tu, co słusznie powiedziała krytyka o charakterze południowym Byrona i zamiłowaniach oryentalnych, bo z chwilą gdy jego Muza zboczyła na północ, zleniwiała trochę i straciła rumieńce.

Przejęta jednak od włoskiéj literatury forma poematu, okazała się pod pewnym względem bardzo podatną do uwydatnienia specyalnie angielskich cech umysłu poety, nie dość silnie zaznaczonych dotąd przez krytykę. W żadnéj innéj Byron nie mógłby wypowiedziéć ogromnego bogactwa faktów, wrażeń, nawału idei, poglądów, pomysłów, zestawień, aforyzmów, które tu rzuca na każdym kroku pełnemi garściami. Inteligencya jego była jak zwykle u Anglików olbrzymim magazynem, w którym bogactwo zasobów, nie idzie w parze z ich dobrém uporządkowaniem. Takie bogactwo stanowi ogromną siłę umysłów filozoficznych angielskich jak Buckl'a, Milla i Spencera, inteligencyi potężnych, które mogą ogarnąć tę wielość, zcementować ją kitem pomysłów ogólnych i nie potrzebując wedle słów Tain'a „operować w próżni“ tj. snuć wywody i teorye bez dostatecznego zasobu realnych materyałów myślenia. Byron był umysłem niepodległym, ale nie filozoficznym i niezupełnie zharmonizowanym. Jego siła ideowa polegała nie na harmonijném wcielaniu szerokich pomysłów filozoficznych w kształty poezyi jak to czynił Shelley, lecz na gorącym lub wspaniałym sposobie wypowiadania przekonań i haseł liberalnych, za które walczył z namiętną, porywającą siłą.

Można mu jednak darować brak syntezy i jednolitości poglądów dla tego nieprzebranego bogactwa głębokich i oryginalnych myśli, jakie wypowiedział w dygresyach poematu, w satyrycznych i tendencyjnych wycieczkach, wiążących się dosyć luźnie, z głównym wątkiem opowiadania. Ustępy te, to soczyste grona, wiszące pomiędzy festonami winnych gałęzi, a cały poemat podobny jest do krzewu, na którym tych gron więcéj niż liści. Niepodobna mi tutaj streścić i skupić tego bogactwa, bo na to stworzyć by trzeba cały zbiór cytat i aforyzmów. Byron używa w całéj pełni przywileju swobodnego kojarzenia pojęć, sypie jak z rogu obfitości tak, że czytelnik czuje chwilami pewne ogłuszenie, jak zbudzona nagle dziewczyna, którą towarzyszki obrzuciły gradem traw i kwiatów, gdy spoczywała na miękkiéj murawie. Zatrzymuje się czasem przy jakiémś słowie, obrazie, pojęciu lub przedmiocie i odrazu znienacka robi przegląd całego szeregu podobnych zjawisk lub przedmiotów. Wspomni o słodyczy życia i zaraz wyliczy całą ich litanią; zawadzi o architekturę, dalejże przez kilka strofek mówić o stylach i budowach najróżnorodniejszego gatunku. Jak prawdziwy anglik, przy każdéj sposobności wysypuje na swój kram poetyczny, całe bogactwo myślowego towaru. Sam widzi, że czasami myśli mu się rozprzęgają, miesza teraźniejszość z przeszłością i przyszłością, chrześciaństwo z pogaństwem, kwestye religii, rządu i polityki (Pieśń XV

str. 21, 22, 23) i tworzy jedyny w swoim rodzaju bigos satyryczno-ideowy. Przy końcu poematu Byron nadużywa aż do zbytku tego prawa swobodnéj asocyacyi pojęć i poglądów, zboczenia unoszą się do nieskończoności, a ciągłe przeskakiwanie z przedmiotu na przedmiot nuży czytelnika, który ledwie z trudnością może pochwycić łączność i szczegółów i treści.

Tak samo kapryśnie wzbierają u niego fale satyry, lśniące się na swych szczytach blaskiem ironii, z pod któréj przygląda niezgłębiona treść żywota. Na dno téj fali poeta nie nurkuje, nie sili się rozwiązywać zagadek, bo „świat to sfinks, a on nie jest Edypem“, ale nie wiele sobie robi z ludzi i używa w całéj pełni swobodnego prawa do szyderstwa. Satyra jego, jak dobre wino, do téj pory się nie zestarzała. Dla dzisiejszych, zakamieniałych w rutynie pedagogów warto przeczytać ten ustęp z pieśni I, gdzie Byron szydzi z systematu wychowania, z którego bigotka, mama Juana wyrzuciła nauki przyrodzone, polecając natomiast dbać o zewnętrzną ogładę, karmić chłopca greką, łaciną, naukami metafizycznemi z dodatkiem szczypty teologii (Pieśń, I str. 39—47). Jakie skutki wydał podobny system świadczy o tém moralna i umysłowa mierność bohatera. Chociaż poeta pije tu do średnich szkół angielskich, jednakże daje powód do bardzo melancholicznych rozmyślań nad obecną pedagogiką. Widocznie kroczy ona jak żółw, wlecze się jak zapasiona staruszka, skoro jeszcze w r. 1818, gdy Byron pisał pieśń pierwszą „Don-Juana“, zasługiwała prawie na te same co dziś wyrzuty. I dzisiaj jeszcze, pomimo postępu nauki teoryi wychowawczych, dama ta jeździ często na wózku rutyny, ciągnionym przez długouche rumaki, o których powiada w swéj bajce Czerwiński, że karmią się zamiast słomy stęchłą bibułą.

Jako namiętny zwolennik prawdy i swobody, Byron jadowicie szydził z wszelakiego rodzaju tyranii umysłowéj lub obyczajowéj, która płodzi moralne i umysłowe upodlenie. Nie cierpi obłudy skojarzonéj z pietyzmem i chciałby „mieć głos czterystu księży“, aby grzmieć hymnem na jéj pochwały. Arcydziełem takiéj obłudy jest list, jaki mama przesyła Juanowi do Petersburga. Po szeregu arcy pobożnych błogosławieństw, fałszywa dewotka pod niebiosa podnosi miłość opiekuńczą protektorki, pod któréj skrzydłami synalek uczył się za złoto i zaszczyty sprzedawać godność człowieka. Równie ostro smaga poeta pieczeniarzy, służalców, spodlonych dworaków, wielkości pałacowe i faworytów chciwych na złoto i ordery jak np. Potemkin, „wielkości takiéj ery, gdy mężobójstwo i nierząd są w cenie“ (Pieśń IV str. 37). Nie lubi bydła robiącego kurzawę, skwaśniałego wina, kłótni orderów, dworskiego wieszcza (tj. Sou-

they'a) i służalczych peerów" (Pieśń XIV str. 58). Chociaż sam jest lordem, szydzi wielokrotnie z arystokracyi angielskiéj, drwi z kłamstw i szachrajstw dyplomatów, frymarczących krwią i szczęściem ludów, z chwały wojskowéj, któréj cała wrzaskliwa pompa niewarta tyle, co sława dobrego uczynku, co otarcie z łez oczu bliźniego (Pieśń VIII str. 3). Szydzi z każdéj sławy nawet poetycznéj, będącéj wielką górą lodu lśniącą ziemię, z fałszywéj niby-chrześciańskiéj litości zdobywców Izmaiła, chwalących Juana za uratowanie ładnéj dziewczyny, chociaż przed chwilą wymordowali tysiące ludzi. Obrzuca szyderstwem urządzenia tamujące bezpotrzebnie ruchy swobody osobistéj, ośmiesza miałkość, obłudę i zepsucie obyczajów wielkiego świata, intryżki, plotki, łapanie mężów przez panny, gonitwy posagowe i całą marność komedyi salonowéj. Czasami jednak i zbyt hypokondryczna ironia robi niemiłe wrażenie, gdy np. spotwarza niesłusznie ogół kobiet angielskich, mówiąc że w całym Londynie nie ma uczciwéj, albo gdy brankom tureckim w Izmaile każe z niecierpliwością oczekiwać na hańbę i przemoc zwycięzców. Jestto już poprostu niesmaczny cynizm. W tych zrzędzeniach, w ironicznym niby a szczerym hymnie, wyśpiewanym na cześć złota oraz w kilku innych zbyt krańcowych wybrykach pesymizmu, jak słusznie twierdzi Spasowicz w swém głębokiém studyum o Byronie (Ateneum z r. 1885 zeszyt lipcowy str. 58), „ukazuje się twarz zużyta i skażona poety z ostatnich lat życia",—kiedy tworząc Don-Juana przerdzewiał w duszy i charakterze. Podług mnie, krytyk zbyt przesadnie ocenia tę przemianę wewnętrzną, nie oddzielając teoretyka od politycznego działacza, który poezyą słowa na czyny zamienił i zachował w sobie siłę do bohaterskiego przedsięwzięcia. Chociażby nawet ostatnia grecka wyprawa poety była wynikiem artystycznéj fantazyi, to przyznać trzeba, że na takie fantazye mogła się zdobyć natura potężna i niezwykle szlachetna. Wiadomo zresztą, że poeta chociaż lubił pompę i okazałość, poczynał sobie w téj wyprawie jako przewidujący polityk, i pojmował trzeźwo zadanie greckiego ruchu, starając się o uznanie dla powstania u dworów zagranicznych. Zbyt wiele niektórzy krytycy kładą nacisku na p a t o l o g i c z n ą stronę natury Byrona, idąc za poglądami Taine'a, zapominając ze nadmiar energii, będący znamieniem poety, nie może być cechą natur chorych, ale kipiących zbytkiem psychicznego bogactwa. Byron był gienialnym często dziwakiem i mógł się wydać chorym swéj pedanckiéj żonie, ale nie jest takim wobec psychologii, pojmującéj logikę natur nadzwyczajnych. Nie przynoszą jednak zaszczytu poecie jego wycieczki przeciwko żonie, które jątrzyły tylko upartą, „nieprzebaczającą" kobietę i nie licowały z po-

dejmowanemi przez Byrona próbami nawiązania zerwanych nici. Są one dowodem, że wielcy nawet geniusze mają słabostki właściwe karłom literackim, którzy narzucają czytelnikom swą osobę, wloką na arenę piśmienniczą łachmany prywaty, ogłaszają z komiczną pompą narodowi własne zawiści i kłótnie.

Dla tego też niewiele dziś nas obchodzić mogą satyryczne podjazdy Byrona przeciwko swym literackim wrogom, jego śmieszne dziecinne pochwały na cześć Dryden'a i Pope'a a ryczałtowe potępienie kilku poetów szkoły jezior, którzy zasłużyli się dobrze narodowéj literaturze angielskiéj, należąc do przeciwnego poecie stronnictwa. Byron miał racyą, gdy smagał do krwi jednego z nich Southey'a, dworaka, służalca i denuncyanta, który podszczuwał na niego najgłupsze instynkta mas angielskich (1). O współczesnéj sobie literaturze wydawał Byron sądy chimeryczne, okazał krzyczący brak sądu krytycznego, przeceniając formuły klasyczne, a nie doceniając Shakspeare'a.

Natomiast potężną i pełną siły jest jego satyra na kraj rodzinny, któremu śmiało rzucił rękawicę. Jedyny to może w dziejach poezyi przykład podjęcia walki przez genialną jednostkę przeciwko całemu społeczeństwu, a raczéj przeciwko panującemu w danéj epoce kierunkowi i zasadom moralnym i politycznym, jedyny przykład walki, w któréj poeta zrazu ścigany nienawiścią, a nawet pogardą swego narodu, wychodzi w końcu zwycięzko w oczach świata.

Z naszego stanowiska trudno trochę zrozumiéć moralną wielkość takich zapasów, albowiem solidarność jednostki z ogółem jest najpierwszém wielkiém przykazaniem etyki obywatelskiéj. Poeta wyznaje wyraźnie w „Don-Juanie", że nie ma powodu kochać téj ziemi, która wychowała lud „co mógł pierwszym być z ludów kochanych" (Pieśń X, str. 66 i 67), lud co mając własną wolność, zamiast służyć sprawie swobody stał się narodem kramarzy, czyhającym na to, aby „ducha okuć w kajdany". Raz nawet drwi z patryotyzmu, który każe kłamać „na niekorzyść" sławy innych ludów (Pieśń XII, str. 22). Poeta ma racyą, bo taki patryotyzm godzien lekceważenia. Spencer zdarł już obłok ułudy z przesądów patryotycznych, strącił z piedestału złośliwe i nienawistne bożyszcza chuci rasowéj, którym hołdują ujemne wielkości dziejów współczesnych. Są zresztą dwa rodzaje patryotyzmu: jeden porównać można do samicy broniącéj piskląt w gnieździe, drugi do jastrzębia, który czyha aby je pożréć. Piérwszy z nich jest religią ludów szla-

(1) Patrz: Brandesa „Główne prądy literat. europ. XIX wieku". Przekład polski, tom IV, str. 121 i 122.

chetną i piękną, ma swoję świątynię w sercu słabych i pokrzywdzonych. Drugi rozpiéra się głośno na widowni świata, i grzmi swe pyszne i barbarzyńskie fanfary.

Takim właśnie wstrętnym i ujemnym pod wieloma względami był patryotyzm angielski za czasów Byrona, który właśnie dla tego był moralną wielkością, że pod wpływem szlachetnych pobudek został... kosmopolitą. Kosmopolityzm jest ideą szlachetniejszą i wyższą moralnie od patryotyzmu w stylu junkierskim i koszarowym.

Dwojakie były przyczyny kłótni narodu z poetą, jedne natury osobistej, drugie społecznéj. Potężny, gwałtowny, nieposkromiony temperament poety, nie umiał się nagiąć do obyczajowéj tyranii, do puryzmu i obłudy, będącéj do dziś dnia plamą narodowego charakteru anglików. Odezwał się, jak twierdzi Taine, zbyt silnie w młodym lordzie, jego atawizm normandzki, zamiłowanie do ekscentrycznych wybryków, nieposkromiona żądza osobistéj swobody. Nie mogły się one pogodzić z ładem społeczeństwa, które za czasów białéj i czerwonéj róży, a nawet pod rządami Elżbiety, kipiało nadmiarem młodzieńczéj siły, popędów fizycznych, bujnych namiętności. Purytanizm dopiéro wytresował, ujął w twarde wędziło te rozhukane siły, położył na etyce angielskiéj swe niesympatyczne piętno, przepoił się suchym i sztywnym pietyzmem protestanckim. Moralność pod wpływem idei purytańskich przybrała z wielu względów charakter despotyczny, napastniczy. Byron tak wiele z tego powodu ucierpiał, że musiał ją z całéj duszy nienawidzieć.

Jako dziedzic zasad rewolucyi francuskiéj, wykarmiony ideami Rouss'a (których wpływ szczegółowo wykazał Spasowicz, w wyżéj wymienioném studyum), nie mógł się zgodzić z ciężką, zaduszną atmosferą swojego czasu. Była to doba twardéj i ślepéj reakcyi, w któréj ciasne głowy kramarzy angielskich, przestraszone widmami wielkiéj rewolucyi, dawały moralną podporę tyranii arystokratycznéj, zawsze okrutnéj i bezwzględnéj, gdy tylko występuje na widownię dziejów. Była to epoka rządów rejenta, późniéj Jerzego III, jednego z najlichszych władców angielskich, człowieka o niskich instynktach, tępéj inteligencyi, który oplugawił i unurzał w kale godność monarszą. U steru rządów stały takie narzędzia gwałtu i wstecznictwa, jak Eldon i Castlereagh, których nazwiska na wieki obryzgane zostały krwią podczas stłumienia ruchów irlandzkich i zaburzeń robotników, przywiedzionych do ostatniéj nędzy. Wyzyskanie biednéj ludności przez stany uprzywilejowane, upór i martwota rządu, kującego prawa i rozwijającego politykę ciemięską, fanatyzm reakcyjny, który jaskrawością swoją przewyż-

szał nawet tendencye świętego przymierza, nietolerancya i obłuda panującego kościoła, wszystko to razem złożyło się na zabijającą atmosferę, w któréj odrastają łby reakcyjnym hydrom. Ciężkie to dla cywilizacyi chwile, gdy wzmagają się w życiu politycznem doktryny, upatrujące cel życia społecznego w skostnieniu i zmumifikowaniu zasad nieomylnych, gdy panują systematy, które z dogmatów i tradycyi dziejowych robią narzędzie stanowego lub politycznego egoizmu. W takiéj atmosferze zepsuł się charakter angielskiego ludu, zwyrodniały jego przymioty, spotworniały wady, patryotyzm zmienił się na żądze ucisku, na kramarską pychę i sobkostwo, a etyka obyczajowa przerodziła go w obłudę i żądzę prześladowczą, która jest nieodrodną córą żarliwości prawowiernéj (1).

Dla klerykałów angielskich Byron był „kamieniem obrazy i skałą skandalu“ z powodu swéj wolnomyślności. Dla takiego jak Shelley radykalisty nie był duchem ostatecznie wyzwolonym, bo nawet w swoich najśmielszych pomysłach, szarpał się z pętami dogmatyzmu, ale ich nie zerwał całkowicie. W pojęciach jego było dużo genialnego kaprysu. Nie chciał, aby go uważano za „bigota niewiary“, bronił się od zarzutu ateuszowstwa, nie zwąpił stanowczo w nieśmiertelność duszy. W jego umyśle zlały się resztki zasad kalwińskich z radykalizmem wieku XVIII, który dążył do niemożliwego obalenia religii. Wyrodziła się z tego — jak powiada Spasowicz—religijność głęboka, ale bezwyznaniowa, antykościelna, antysekciarska, przeważnie panteistyczna — „duch tolerancyi, jako jeden z głównych dogmatów liberalizmu, którego Byron w Europie był chorążym“.

W „Don-Juanie“ znaléść można liczne ślady, tak pojętéj religijności, ale obok niéj silniéj niż w dawniejszych utworach poety wybujał negatywny pierwiastek myślenia. Umysł poety chwiał się między biegunami wiary i niewiary, i przedstawiał zawsze ciekawy obraz szamotań się, właściwych dobie szybkiéj przemiany zasadniczych pojęć i rozsypywania się utrwalonych wiekami powag. Byron nie miał umysłu ściśle filozoficznego, brnął w sprzecznościach i nie doszedł nigdy do skupienia i uporządkowania swych poglądów. Byłoby to grzechem u filozofa, ale staje się czasem zaletą poety, który działa nie logiką przekonań, ale potęgą i werwą w ich wypowiadaniu. Starał się być filozofem, ale jak sam powiada, nie bardzo mu się to udawało, „bo kochał mądrość, więcéj niż ona jego“ (Pieśń V, str. 63). Sympatyzował z filozofią, o ile była równoznaczną z pojęciem swobody myśli, „która milszą mu była nad trony“,

(1) Patrz: Brandes „Główne prądy lit.“. tom IV, str. 1—41.

ale nie cierpiał filozofii w znaczeniu metafizycznêm, uciekał od rojeń i zaciekań idealizmu pokłóconego z rzeczywistością.

W „Manfredzie“, nazywa filozofią płodem gadaniny szkolnéj, najgłupszą fraszką ze wszystkich bawideł, a w „Don-Juanie“ tę samę myśl parafrazuje szyderczo na rozmaite sposoby. Nie mogą mu się pomieścić w głowie teorye Berkeley'a, który twierdzi, że wszechświat jest to złudzenie i że istnieje tylko w naszéj wyobraźni. Szydzi z ułudnych systemów, które opiérają się na wietrze zwodniczym (Pieśń XI, str. 1, 5), czuje niemoc umysłu ludzkiego, co nigdy nie może zgłębić „dna prawdy“. Systemy filozoficzne istnieją na to, aby się wzajemnie pożerały. Teogonia, kosmogonia, filantropia i inne piękne wyrazy, są pustymi dźwiękami. Przecząca natura jego umysłu nie mogła się pogodzić z bezpłodnemi może, ale wspaniałemi usiłowaniami téj filozofii, która starała się ująć harmonią bytu wszechświata. Jak słusznie twierdzi Brandes w swych odczytach „o poezyi polskiéj w XIX stuleciu“, do pozytywnego, niezależnego, czysto humanitarnego pojęcia o świecie, nie wzniósł się on nigdy“.

Podobne stanowisko zajmuje wobec prawników i zasad teologii. Jeszcze w utworach pochodzących z doby młodzieńczéj, gdy był religijnie patetycznym chrześcijaninem, w „Godzinach spoczynku“ dziwił się poeta, jakim sposobem człowiek, mdły robak zapuszcza się w plany Wszechstwórcy, przesądzając o istnieniu nieba lub piekła. W „Don-Juanie“ z jawną pogardą zbywa dogmatyzm, który każe wierzyć w wyższe nad rozum „absurda“, potępia ducha nietolerancyi w klątwach Atanazego, „który pokonanego wroga umiał tak pięknie piorunować“. Wiarę uważa za środek pokrzepiający na równi z... rumem, chociaż przed Chrystusem, jako przed męczennikiem idei schyla czoło.

Przepyszne są strofki 5 i 6 w pieśni XI, w których stwierdza poeta znaną prawdę, że z niemocą i zniedołężnieniem idzie w parze często powrót do uczuć religijnych. Zjawisko to wytłómaczone zostało przez nowszą psychologią, wydobywaniem się na wierzch podczas choroby lub zwątlenia inteligencyi pojęć i uczuć, wpojonych w młodości, podczas gdy rozprzęgają się skojarzenia i pojęcia wyrobione w latach późniejszych, tj. w epoce energicznego i zdrowego rozwoju umysłu. Fakta podobne wyszukiwano tendencyjnie w widokach dogmatyzmu, ale Byron z genialną intuicyą przeczuł głębszą prawdę i wypowiedział ją w sposób dosadny a gryzący.

A co poeta stawia na miejscu obalonych powag? Czy jak chcą niektórzy—nihilizm? Przedewszystkiém wyraz ten nic nie oznacza, jest tylko ironiczną nazwą nadaną skrajnym teoryom przewroto-

wym. Byron nie jest nihilistą, ale przeważnie sceptykiem, potrosze materyalistą i pesymistą, głęboko przeświadczonym o próżności wielkich pewników, teoryi i wędrówek w nadzmysłowe kraje, „w których człowiek się zapoci, zadyszy, a co za śmiercią nigdy nie usłyszy“ (Pieśń X, str. 20). Najmilszą mu jest sceptyczna formuła Montaigne'a „*Que sais-je*“, ale w jéj rozwinięciu dochodzi tak daleko, że zaczyna wątpić o samém wątpieniu (Pieśń VI, str. 17). Nie warto się biédzić w pogoni za prawdą, albowiem:

Wiedzy nie złapiesz, bo chce zostać panną,
Czém byłeś, jesteś, czém będziesz gdy skona
Świat ten? a dzisiaj czy żyjemy czy nie —
Wszystko to leży w marnych słów dziedzinie (P. VI, str. 62).

Sceptycyzm ten prowadzi do uznania marności bytu i życia. Salomonowe „*vanitas vanitatum*“ ciągle się powtarza w poemacie echem kartuskiéj przestrogi. Śmierć jest kresem wszystkich zabiegów ludzkich jest wielkim niwelatorem, bo jak „Grachus prawem wolném równa ze sobą wszystkie stany“. Śmierć jest wreszcie uosobieniem największéj ironii życia, ona kościotrupowym śmiechem drwi ze wszystkiego i daje przykład człowiekowi, aby w nicość bytu śmiechem ugodził (Pieśń IX, str. 13). A co będzie po śmierci? Wprawdzie chce to rostrzygnąć wiara, ale pytanie któréj wierzyć, bo się kłócą wzajemnie?

Ciemną jest zagadka przeznaczeń pogrobowych człowieka, gdzie ma pójść po śmierci nie wiadomo, chociaż samo postawienie tego pytania twierdzi, że Byron nie uległ zupełnie wpływom panteizmu i nie był przekonany, że człowiek rozpływa się we wszystkości, jak to twierdził w innėm miejscu poematu. Marnością jest cały byt, „bańką na powodzi wieków“, jeszcze większą marnością życie nasze tyle warte, co przelotny wykrzyknik „Ach“, „och‘ a najprędzéj „tfu“ lub „he he“. Filozofia ta, nietyle wyrozumowana, ile odczuta, odpowiadała hypokondrycznemu usposobieniu Byrona, które się potęgowało z biegiem życia, nawet rosło przy pisaniu poematu. Byron chce „w nim świat marzeń świetny, dziś odarty z ułud stawić przed oczy swoje i czytelników“ (Pieśń XIV, str. 11), stworzyć poemat rzucający wszystkim przed oczy nędzę ludzkiego żywota. Jakiż z tego pożytek? Zakrzyczą mnie pogromcy pesymizmu, którzy dowodzą, że jest on trucizną moralną. Tak jest, dla umysłów słabych, wątłych, które koniecznie muszą się trzymać sztucznych podpórek, które nie mogą zajrzéć w oczy sfinksowi prawdy. Pesymizm jednak i sceptycyzm jest naturalnym wynikiem dumań człowieka, który porównywa wielkość swych pragnień i pokus badawczéj myśli z niemożliwością zaspokojenia

dręczących pytań. Jak twierdzi Lange w swéj „Historyi materyalizmu" pesymizm jest koniecznym płodem refleksyi. Tysiączne sprzeczności życia, zimne okrucieństwo natury, bóle i niedoskonałości wszech istot w ich szczegółowych rysach zbiera on razem i sumę takich spostrzeżeń przeciwstawia optymizmowi jako straszny głos skargi wszechświata. Ale, całkowitego zamkniętego obrazu wszechświata nie osiąga się na téj drodze (Przekład polski tom II str. 499). Słowa te literalnie zastosować się dają do poglądu na świat górującego w Don-Juanie.

Pożytek takiego pesymizmu jest ten sam co przechadzki po cmentarzu. Krążąc wśród mogił, widzimy niemoc człowieka w walce ze znikomością, widzimy czczość ambicyi, chwały, miłości, majątku, bezpłodność szałów, szczęścia i rozpaczy. Świadomość ta, działa uspokajająco na niektóre niższe instynkty natury ludzkiéj, każe zcichnąć pysze, próżności, nienawiści, chciwości, i uczy innym wzrokiem spoglądać na przelotne istnienia nasze.

Sceptycyzm i pesymizm zresztą ma w sobie cząstkę prawdy wiekuistéj. Byron podał jéj ziarno w wysoce artystycznéj łupinie i na tém polega w znacznéj części, światowe znaczenie jego poematu.

Nie jest jednak na szczęście poeta żelaznie konsekwentnym apostołem zwątpienia. Jak u prawdziwego romantyka, idea kłóci się u niego z rzeczywistością. Nie cierpi ludzi, nazywa ich psami, gorszymi od psów, muza jego tyle dba o krzyki zgrai człowieczéj, co księżyc o skowyczenie wilków (Pieśń VII str. 7). Życie dla niego jest nędzną niegodną wagi igraszką, a jednak dziwna rzecz troszczy się o dobro tych istot nikczemnych, wysoko podnosi sztandary szczęścia i swobody człowieka i staje z losem do walki o lepsze jutro świata. Nienawidzi człowieka, a kocha ludzkość namiętnie i gotów, bez nadziei tryumfu, poświęcić się walcząc za jéj ideały. Głosi egoistyczne zasady wygodnego użycia, praktycznego pseudo-epikureizmu, a jednak z namiętnym szałem oddaje się walce za ideje altruistyczne, jest fanatykiem sprawiedliwości swobody, pogromcą krzywd i ucisku. Dla tego miota się w oburzeniu na Albion kramarski, który łupi i morduje narody, nazywa Johna Bulla dwunożném bydlęciem, najgorszym z polityków. (Pieśń XV, str. 22), drwi ze złudzenia, które każe Anglikom uważać się za wolnych, ponieważ wolność trzymają pod kluczem (Pieśń X str. 68). W tych oskarżeniach jest dużo namiętności i przesady, bo przecież pomimo orgii reakcyjnych i prześladowań rasowych, poszanowanie swobody w Anglii, opierało się na prawnych podstawach czego dowodem wolność słowa, jakiéj poeta używał w ojczyznie. Gdzieindziéj zgnie-

cionoby w zarodku możność takiéj opozycyi literackiéj, tymczasem głos Byrona brzmiał swobodnie nietylko w Europie, ale i w kraju rodzinnym, którego ustrój pozwala na rozwinięcie propagandy, przeciwko kierunkowi rządu i prądom panującym. Poeta nastawał namiętnie nawet na taką powagę narodową, jaką był Wellington, smagał naczelnika rządu Castlereagh'a, a śpiewał hymny na cześć obrońców Irlandyi, wspominał z entuzyazmem Washingtona i Kościuszkę, rzucał się na króla Jerzego IV, na to, jak mówi poeta „spasione zwierzę", które ważyło sto pudów, podczas gdy Irlandya marła z głodu". *Z* dziką namiętnością grzmi przeciwko tyranom, napada na uświęconą w Anglii zasadę monarchiczną, prorokuje nastanie nowego wieku, w którym szczątki tronów staną się rzeczą kopalną (Pieśń VIII, strofa 185, 6 i 7). Dzieje nas uczą, że pod tym względem Byron był fałszywym prorokiem, że rachował na zbyt rychły przewrót ustroju politycznego Europy; dowiodły wreszcie, że w pewnych razach zasada monarchiczna może się skojarzyć z uszanowaniem swobody ludów. Nie miał poeta zmysłu historycznego, nie rozumiał praw powolnego rozwoju, na podstawie istniejących warunków. Lekceważył naukę historyi, niewyzwoloną z pieluch teologicznych. Do szpiku kości był radykalistą przewrotowym i widział lekarstwo na wszystkie niedole świata tylko w rewolucyi: „bo jedynie buntem, hańba się z ziemi wykorzeni z gruntem". Był politykiem bez programu, uczuciowym, awanturniczym, działanie jego płynęło z gorąco odczutéj miłości swobody. Głębsza krytyka, a szczególniéj Spasowicz, wyrzuca mu, że ta miłość była abstrakcyjna, nieujęta, że poeta nie miał wyobrażenia jak się ma ona wcielić w stosunki realne. To prawda, ale pamiętać trzeba, że Byron nie był mężem stanu, że cała potęga jego wpływu polegała na porywającym ogniu, z jakim głosił liberalne hasła. Inaczéj działa polityk a inaczéj poetyczny trybun, który grzmiącemi słowy porywa tłumy. Przez cały ciąg swego zawodu, Byron spełniał rolę takiego trybuna, wywierał wpływ magiczny, natychmiastowy, niepokonany, jakim rzadko kiedy mogą się poszczycić mocarze pieśni i słowa.

Nietrafnie nazwano u nas poetę Tyrteuszem europejskim, bo pieśń jego broniła słabych i uciśnionych, nie budząc furyi narodu żołdaków spartańskich przeciwko wolnym pasterzom w Messenie, jak to czyniła pieśń greckiego barda, którego niewłaściwie u nas zrobiono przedstawicielem zapału narodowego. Polityczna poezya Byrona była bezprogramową, zwichrzoną, ale działała jak ideje przewrotowe, miała siłę żywiołową niepowstrzymaną, pędziła jak powódź, zostawiając po sobie żyzny muł dla nasion przyszłości.

Krytyka niezależna przyznała Byronowi jednomyślnie, główną zasługę zwalczenia i powstrzymania prądów reakcyjnych w epoce po-napoleońskiéj, przygotowanie zwycięstwa zasad liberalnych w Europie i Anglii, któréj bezpośrednim skutkiem było zmartwychwstanie Grecyi, jeden z najświetniejszych tryumfów tak niesłusznie dziś lekceważonéj polityki idealnéj, która najpiękniejsze hasła wieku skojarzyła z poetyczném wskrzeszeniem tradycyi dziejowéj.

I dziś jeszcze ludzkość zbiera plony z tego posiewu w poezyi radykalnéj, któréj Byron był najgorętszym a Shelley najgłębszym przedstawicielem. Współczesna Anglia odwraca się jeszcze od swego wielkiego poety, który razi jéj pruderyą, realistyczne instynkty, egoizm rasowy; lekceważy wieszcza, którego siła i gwałtowność nieposkromiona nie idzie w parze ze spokojnym biegiem politycznego rozwoju, kłóci się z taktowną równowagą dzisiejszéj dżentlemeneryi brytańskiéj. A jednak niedawne uchwalenie bilu Bradlaugh'a, znoszącego przymusową przysięgę religijną w parlamencie, jest uświęceniem bezwzględnéj zasady swobody myślenia w prawdziwie Byronowskim i Shelley'owskim stylu.

Dzisiaj, gdy na dziejowém morzu kłębią się znowu powrotne fale reakcyi, niektóre postępowe umysły jakby oczekują pojawienia się nowego Byrona, aby podjął pracę olbrzyma i zajął się nanowo „przekarczowaniem umysłowego życia Europy", wydał walkę koszarowemu ideałowi siły przed prawem.

Płonném jest to oczekiwanie na nowego mesyasza liberalizmu. Historya powtarza się czasem, ale nigdy sama siebie nie kopiuje. Przeminęła dziś epoka romantyzmu a z nią wielka wrażliwość tłumów na poezyą, zniknął dawny kult genialności, który otaczał wielkich poetów gloryą proroczą. W czasach krwi i żelaza, w dobie tryumfów polityki systematycznéj i konsekwentnéj—nie może mieć takiego znaczenia urok poetyczny jednostki, która z genialnym popisem improwizuje swą wielką rolę na widowni dziejowéj. W polityce i w literaturze dawny typ natchnionego pół-boga, zmienił się na wytrwałego pracownika, który drogą metody i mozolnych trudów dąży świadomie do swoich celów. Straciła dziś urok swój i znaczenie dziejowe poezya indywidualizmu, a natomiast czas przychodzi na poezyą trudów zbiorowych. Liberalizm w dawnéj formie, chociaż zasłużył się w dziejach przez swoję walkę o prawa jednostki niepodległéj, nie będzie jednak, zdaje się, prowadził jutrzejszéj roboty wieku. Tytanem pracy dziejowéj, jak to wypowiedział Asnyk w swym przepięknym „Heraklesie", nie będzie jednostka, ale całą ciżbą społeczną, któréj przeznaczeniem jest oswo-

bodzić dotąd niezupełnie jeszcze rozkutego z więzów Prometeusza.

Ale i dzisiaj i po wszystkie czasy, pięknym będzie i pociągającym widok walki prowadzonéj przez jednostkę lub ogół z ujemnemi potęgami dziejów. Na tle posępnéj a głęboko odczutéj świadomości o nędzy żywota, będącéj gorzkim owocem doświadczenia dziejowego i wiedzy współczesnéj, pięknie się odbija w „Don-Juanie“ indywidualność samego poety, dodatnia, świadoma siebie siła jednostki, która wznosząc się nad poczucie niezłomności praw przyrody, pracuje dla wcielenia najpiękniejszych pragnień zbiorowych. Dążność taka w charakterze i twórczéj naturze Byrona była wynikiem szlachetnéj wiary w lepszą dolę ludów, którą pięknie wypowiedział w „Giaurze“, rozmyślając nad kolejami sławy i niedoli dawnéj Hellady.

(*D. n.*) *Józef Kotarbiński.*





ŻYWIOŁY ZACHOWAWCZE
I KOMISYA EDUKACYJNA.

(*Przyczynek do dziejów oświaty w Polsce wieku XVIII*).

II.

Sekularyzacya i upaństwowienie szkoły przez oddanie jéj pod kierownictwo Komisyi edukacyjnéj wywołują obawy w ludziach pobożnych i papieżu.—Komisya przed przystąpieniem do reformy utrzymuje 39 szkół ex-jezuickich, pozostawia inne w ręku zakonów, zabrania tylko nauczania teologii i filozofii.—Głosy znaczniejszych pedagogów: domaganie się kierunku realnego w wychowaniu, zastosowania do wykładów metody analitycznéj i szerzenia oświaty śród ludu. — Komisya kierunek reformy ujawnia najprzód w instrukcyach Kołłątaja dla gimnazyum nowodworskiego i akademii krakowskiéj, ostatecznie w ogłoszonych w r. 1783 ustawach. — Liczba szkół zreformowanych, rodzaje ich, organizacya i kierunek wychowania.— Publicystyka postępowa admiruje program Komisyi, która jednak ciężkie i liczne napotyka przeszkody. — Okazuje to przegląd szkół akademickich, zakonnych i elementarnych.

Podkanclerzy lit. Joachim Chreptowicz pierwszy rzucił myśl wyzyskania kasaty jezuitów na rzecz oświaty. „Zniesienie xx. jezuitów,— mówił na posiedzeniu delegacyi 7 października r. 1773 — którym większa część edukacyi krajowéj z większą częścią funduszów, na to zapisanych, powierzona była, otwiera Rzeczypospolitéj okazyą do uczynienia potrzebnych ku utrzymaniu i powiększeniu światła narodowego ustaw“. Proponując uformowanie nowéj dla szerzenia w narodzie światła instytucyi, myślał oczywiście o sekularyzacyi i upaństwowieniu szkoły, co skwapliwie poparli inni. Członek delegacyi, Kurzeniecki, wprost się domagał, „aby rząd edukacyi nie był oddzielony od świeckich osób“. Ku uzasadnieniu swego żądania powoływał się na teoryę prawa państwowego i pra-

ktykę „w cudzych krajach", gdzie „ręka osób świeckich edukacyę czyni rządniejszą" (1).

„Trwoga we wszystkich sprawiedliwa była
Upadku nauk z zgaszonym zakonem" (2).

Wobec perspektywy ujrzenia na gruzach zakonu instytucyi wychowawczéj państwowéj, zwolenników nauczania księżego niepokoiło przewidywane podrożenie szkoły, oraz skażenie jéj panującym w sferach świeckich duchem niewiary. „Przychodzi na resztę — prawił poseł ciechanowski, Rościszewski — wiekami nieodwetowana zaguba całego kraju, kiedy przez zniesienie xx. jezuitów tracić się zdajem edukacyę narodową. Ratujem roztropnością naszą ten tak ciężki upadek, wyznaczając Komisyę edukacyjną; ale, ach! jak słabe, lubo z wielkim przemysłem naszym, wysilamy na to sposoby. Tego dosiądz nie potrafi Komisya edukacyjna, co industrya, zamiłowanie religii, zalecone zakonne ubóstwo i dobra ekonomika dostarczać potrafiły. Idzie ten czas, gdzie słyszéć będziem, wiele intrat z dóbr xx. jezuitów podadzą nam na tabeli; usłyszym wkrótce, jak wiele na nauczycielów, na biblioteki, na szkoły, na utrzymanie funduszów i inne potrzeby poda nam prześwietna Komisya edukacyjna expensy; obaczym daléj, jak się percepta z expensą zgodzi... Pójdzie podobno w cenę edukacya narodowa, nie-lada szlachcic potrafi się do niéj domieścić, a i trochę majętniejszym za przykro będzie"... O prawowierności szkoły pod sterem świeckim powątpiewał poseł sandomierski, Lubomirski, skoro domagał się, żeby członkowie Komisyi przestrzegali w wychowaniu ducha katolickiego i osłaniali młodzież od wpływów libertynizmu (3). Ta sama obawa trapiła również papieża. Rychło po rozstrzygnięciu sprawy, bo w grudniu r. 1773, do zasiadających w Komisyi edukacyjnéj biskupów: Poniatowskiego i Massalskiego, a także do króla pisał z przestrogami i prośbą. Mieli pilnować, aby zapewnione było w ustawie, jako kierunek religijny szkoły należy do rządu biskupów, oraz obstawać przy warunku, aby nauczyciele podlegali władzy duchownéj, zwłaszcza w sprawach, ściśle związanych z wiarą i interesami kościoła. „Wypada zatém starać się, aby wszyscy kierownicy młodzieży obowiązani byli składać przed biskupami przy obejmowaniu urzędu wyznanie wiary katolickiej

(1) Protokół. Sesya 7 października r. 1773.

(2) Prawda. Bez m. i r. *in folio*, kart nlb, 2 (wierszem).

(3) Protokół. Sesya 12 października i 17 listopada r. 1773.

i ponawiali takowe corocznie". Zachęcał też papież, aby katedry w szkołach i seminaryach obsadzane były ex-jezuitami (1).

Wykluczenie ze szkoły ex-jezuitów okazało się narazie niemożliwém, brakło bowiem sił świeckich. Dla tego, żeby wychowania tysięcy młodzieży nie narażać na przerwę, zatrzymali z polecenia Komisyi edukacyjnéj lustratorowie w każdém kolegium jezuickiém kilku profesorów i przewodniczącego szkole prefekta. Funkcyonowały więc szkoły ex-jezuickie w Poznaniu, Kaliszu, Łęczycy, Włocławku, Wschowie, Międzyrzecu i Toruniu; w Płocku, Pułtusku, Warszawie i Sandomierzu; w Lublinie i Krasnymstawie; w Łucku, Żytomierzu, Kamieńcu, Winnicy, Ostrogu, Krzemieńcu, Owruczu i Barze; w Wilnie, Grodnie, Kownie, Krożach, Słonimiu, Jurewiczach, Żodziszkach, Postawach i Widzach; w Nowogródku, Mińsku, Pińsku, Brześciu, Słominiu, Nieświeżu, Bobrójsku i Słucku. Na 65 szkół Rzeczypospolitéj w r. 1776 przypadało 19 pijarskich, 6 bazyliańskich, jedna komunistów, a 39 ex-jezuickich; na 308 profesorów, pensyonowanych przez Komisyę edukacyjną, 256 było członków zwiniętego zakonu (2). Nie przestała przeto szkoła i po kasacie zakonu być wyłącznie duchowną, a przeważnie jezuicką; jeden tylko właściwie zrobiono w niéj wyłom — zniesiono tam, gdzie istniały, kursa teologiczne i filozoficzne (3). Uprzątnąwszy narazie to, co z zamierzonym kierunkiem nauczania świeckiego i duchem czasu w jaskrawéj stało niezgodzie, zajęła się Komisya reformą akademii i gromadzeniem materyału do obmyślenia odpowiedniéj dla szkół narodowych ustawy.

Wybitniejsi ludzie téj doby zapatrywania swoje na wychowanie młodzieży fundowali na teoryach zachodnich. Wielcy pisarze obcy przestali już przerażać umysły polskie nieprawowiernością, stali się owszem rozstrzygającą w najważniejszych zagadnieniach instancyą. Bezimiennego współpracownika *Monitora* ogarniał w r. 1765 żal, że „przy cudnym stylu i prawdziwie dobrych, mądrych, głębokich refleksyach" szpecą *Emila* „straszące każdego prawowiernego sophismata". „Ile razy mnie chęć brała — pisał — na ojczysty język to dzieło wyłożyć dla nader wybornych w nim zawartych myśli, tyle razy, zrażony owemi zdradnemi, com wyżéj wspomniał, pozorami, odstąpiłem imprezy, górala tego przykładem, który złoto kopać przestał dla wybuchających z drogiego kruszcu arszenikowych exhalacyi..... Skrupułów bezimiennego nie podzielają w tym stopniu pedagogowie z r. 1774. Jeden, doradzając

(1) Thełnerdoc. *l. c.* II. 411—114 *passim.*
(2) Dyaryusz sejmu r. 1776, str. 345 i tabela do str. 388.
(3) Łukaszewicz. Historya szkół. II, 188.

ułożenie dla wychowawców książki, którąby im podała nietylko dobry wzór edukacyi fizycznéj i moralnéj, ale wykazała zarazem panujące w dotychczasowéj instrukcyi przesądy i wady, — zwraca uwagę, i to bez zastrzeżeń bezimiennego, na bogaty materyał w dziełach Locke'a, Montaigne'a i Russa (1); inny zaleca ogłoszenie wykładu o cnotach i występkach z dzieła *Le Dictionnaire philosophique portatif* (2) — książki, która dekretem parlamentu paryskiego z 4 czerwca r. 1766, jako pełna fałszu, bezbożności i bluźnierstw paloną była przez kata. Ze stanowiska nowych teoryi stary system nauczania potępiano bezwzględnie. Gromił Chreptowicz akademię krakowską za „upadłe, zniesione i w samą tylko szkolną nieużyteczność spodlone nauki“ (3); ganili pedagogowie praktykowaną w wykładach nauczycieli metodę syntetyczną, a przedewszystkiem brak przystosowania edukacyi do życia praktycznego i istotnych potrzeb narodu. Zamiast syntetycznéj, torturującéj i przytłumiającéj władze umysłowe, zalecał Popławski stosowanie w podręcznikach szkolnych metody analitycznéj, jako odpowiedniejszéj „rozumowi ludzkiemu, a osobliwie dziecinnemu i naturze wszech rzeczy“ (4); zamiast przeładowywania głów balastem wiadomości, radził Kamieński zaszczepiać w młodzieży cnoty, budzić w niéj poczucie obowiązku względem kraju i bliźnich..... Fundamentem edukacyi powinna być, zdaniem Staszyca, nauka moralna, obok niéj geografia i dzieje Polski, historya naturalna powiatu, arytmetyka i geometrya, jako dające poznać najbliższe otoczenie i dostarczające wiadomości niezbędnych do szczęścia każdego. Do drugiego stopnia szkół krajowych radby wprowadzić dzieje państw sąsiednich, wykład praw narodowych i skarbowości, historyę naturalną, chemię i fizykę doświadczalną, chirurgię i matematykę z zastosowaniem do architektury wojskowéj, cywilnéj i mechaniki; w końcu naukę rękodzieł i rzemiosł. Do trzeciego i ostatniego gatunku szkół wprowadza te umiejętności, do których uprawy potrzebną jest imaginacya lub dowcip, a więc dzieje i prawo powszechne, politykę i wierszopistwo, astronomię, historyę naturalną, chemię, fizykę i sztukę lekarską — wszystkie, oprócz ostatniéj, z uwzględnieniem teoryi. Logikę, metafizykę i teologię proponuje ze

(1) Popławski. O rozporządzeniu y wydoskonaleniu edukacyi obywatelskiéy. Warszawa, 1775, str. 139.

(2) Edukacya obywatelska przez A. K. Warszawa, 1774, Gröll, str. 107.

(3) Protokół. Sesya 7 października r. 1773, — (4) Popławski *l. c.* str. 129.

szkoły wykluczyć. Sposób uczenia pierwszéj tym tylko, zdaniem jego „czyni ją użyteczną, którzy już logiki nie potrzebują"; metafizykę i teologię poczytuje za umiejętności szkodliwe. „Człowiek nie rodzi się do metafizyki...; nie ma nic wrodzonego, wszystkiego przez swoje zmysły dochodzi. Jakże ma poznać, albo na cóż mu się przyda tych rzeczy poznanie, których ani słyszéć, ani widziéć, ani się dotknąć potrafi... Największy metafizyk z człowieka pospolitego rozumu nie wychowa, tylko bigota... Sposób uczenia się teologii jest zupełnie przeciwny sposobowi dochodzenia i poznania natury. Pierwsza same prawdy wieczne powiada, druga dopiéro szukać ich każe. W pierwszéj wszystko wiemy, w drugiéj mało znamy. W nabieraniu przyrodzonych wiadomości trzeba wszystko widziéć, uważać, dotykać się i doświadczać. W nauce boskiéj doświadczenie w błąd prowadzi; sama wiara doskonałym czyni. Ta zepsułaby młody umysł. Niechaj wróci się teologia do seminaryum, jak w początkowym kościele bywało". Przeciwny jest podawaniu młodzieży teoryi, niepopartych doświadczeniem; każe najskrupulatniéj odróżniać pewnik od przypuszczenia; zabrania wierzyć w powagi. Ponieważ ciało i dusza w takim są związku, że doskonałość jednéj od zdatności drugiéj zawisła, za niezbędną przeto uważa uprawę w szkole ćwiczeń fizycznych. Nie chce edukacyi samego ciała lub saméj duszy, ale człowieka. „Lepiéj jest zaniedbać trochę doskonałość duszy, aby zachować dla niéj zdatność ciała. Rozsądniéj stanie się, gdy czas, do nabywania bardziéj ciekawych, niżeli potrzebnych wiadomości wyznaczony, będzie użytym na ciała zmocnienie, ukształtowanie i zręcznienie". Pragnie więc widziéć w szkole niższego stopnia naukę mustry i obrotów wojskowych; w wyższéj jazdę konną, wykład taktyki, budowania, obrony i dobywania fortec—zawsze łącząc teoryą z praktyką (1).

Nie zgadzali się pedagogowie w szczegółach, — Popławski np. chce mieć fizykę doświadczalną dopiéro w szkołach głównych, Kamieński zaleca wykład teologii, psychologii i logiki; wszyscy przecież na jedną modłę mieli urobiony ideał etyczny i jednakowy pogląd na stosunek nauki szkolnéj do życia. Zalecali jednomyślnie kierunek realny i utylitarny, a propagowali go w przeświadczeniu że powiększy zasób sił materyalnych kraju i zdrowe wyda rezultaty moralne. W wierze w możliwość przekształcenia moralnéj istoty narodu utwierdzała ich rozpowszechniona teorya Locke'a

(1) Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego. 1785, str. 16—35 *passim*.

o gołéj tablicy (*tabula rasa*) ducha, zaprzeczająca istnieniu idei wrodzonych, całe poznanie i właściwości charakteru poczytująca za wynik wychowania i nabytek doświadczenia, nie zaś za sukcesyę po przodkach. Godną téż jest uwagi świadomość potrzeby budzenia moralnego pokładów najniższych przez szerzenie światła śród ludu. Kamieński za płonne uważa obawy tych, według których pospólstwo, okrzesane w szkole, stanie się niesforniejszém i mniéj chętném do pracy; żąda dla chłopów nauki, niewiele zabierającéj czasu i taniéj. Według Popławskiego, oprócz czytania, pisania i rachunku, powinnyby szkoły parafialne ćwiczyć w katechizmie, nauce moralnéj, historyi naturalnéj zwierząt domowych i dzikich w Polsce, początkach geometryi i praktyce rolnictwa; należałoby oddawać dzieci do szkoły od ósmego roku życia, na lat dwa do czterech. Projekt Andrzeja Zamojskiego (1) stanowi, „ażeby w każdéj parafii przy kościele była szkoła parafialna, gdzie synowie i córki wieśniaków przynajmniéj od święta św. Marcina, aż do świąt wielkanocnych zostawać i uczyć się powinni". Pan podstoli Krasickiego (2) buduje szkołę i wyposaża bakałarza, który chłopców, żona zaś jego dziewczęta uczy czytać, pisać i rachować. Sposobni uprawiają kosztem dziedzica rzemiosła, bystrzejsi oddawani są do szkół wyższych. „Obowiązkiem jest panów, pisał Krasicki, a razem uszczęśliwieniem dobry stan poddaństwa. Poznawać mają w młodzieży szacowne przymioty; poznawszy, wzmagać, aby lot sobie przyzwoity wzięły. Gdyby się to u nas działo, i rzemiosła i kunszta i nauki w lepszym byłyby stanie, niżli są, a z uszczęśliwieniem powszechném kraju rósłby zysk szczególny obywatelów".

Pomiędzy duchem głosów publicznych a praktyką Komisyi edukacyjnéj rozdźwięku zasadniczego nie było. W instrukcyach Kołłątaja dla gimnazyum nowodworskiego i akademii krakowskiéj ten sam, co w pismach Kamieńskiego, Popławskiego i Staszyca ideał etyczny, te same zapatrywania na naukę. Religię każe wykładać „bez gwałtowności", słodką i czystą. Wszyscy ludzie, jako dzieci jednego Boga, są braćmi. Zalecane przez ewangelię prawo miłości ma na celu szczęście człowieka. Istotę cnoty stanowi połączenie pożytku wiecznego z doczesnym. Przy wykładzie historyi świętéj zachować należy „wielki rozsądek i brak (wybór) w powieściach": mają się dzieci uczyć „rozeznawać i środkiem iść między

---

(1) Zbiór praw sądowych. Część I, art. XXXI, § 26. — (2) Część II, księga III, § XII.

zabobonnością i niedowiarstwem". Nauczyciel logiki kwestye zawilsze opuści „a oto się starać będzie, aby więcéj przykładami, jak regułami, do logiki praktycznéj tj. do roztropnego rozumu użycia swych uczniów formował. Zgoła logika zdrowa, od owych bałamuctw i dzikich wykwintów oczyszczona, poda uwagi na władze i działania duszy, pokazując, jaką drogą w każdéj materyi i publicznéj i prywatnéj poznać ma prawdę i drugim ją okazować". W nauczaniu fizyki, zamiast rozszerzania się nad zbijaniem lub obroną hipotez, dość dać o nich krótką wiadomość historyczną i zaznaczyć, która ma najwięcéj podobieństwa do prawdy. „Chcąc chemię uczynić dobrą, pożyteczną, odrzucić trzeba w jéj traktowaniu domysły bałamutne, ciekawości płoche...; trzymać się obserwacyi, zaczynać od ziemi, od rzeczy gospodarskich"... Wogóle powinni profesorowie wystrzegać się „nieużytecznych, próżnych i już nieco zapomnianych spekulacyi, na których mózg wycieńczano i więcéj czasu trawiono, aniżeli na potrzebnéj praktyce". Mają stwierdzać teoryę doświadczeniami, stosować przy wykładzie analizę i indukcyę (1). Zadaniem nauki, oprócz oświecenia rozumu, ma być przysporzenie korzyści materyalnych. Profesor historyi naturalnéj zwracać powinien uwagę uczniów szczególniéj na przedmioty krajowe; fizyk ma miéć na względzie zastosowanie swéj nauki do rzemiosł i budowy machin, jak chemik znowu do potrzeb i wygód ludzkich. Względy utylitarne natchnęły Kołłątaja do zaprowadzenia wykładu ekonomii politycznéj według dzieł fizyokratów: w r. 1777 do gimnazyum nowodworskiego, a we dwa lata późniéj do szkoły główné krakowskiéj (2).

W r. 1781 wykończył Piramowicz z polecenia Komisyi „projekt ustaw dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitéj", mający niebawem wejść w życie. Wezwani do Warszawy listem okolnym Komisyi rektorowie i prorektorowie szkół koronnych, po przeczytaniu i rozważeniu projektu, na ostatniéj sesyi zjazdowéj 5 września pod prezydencyą prymasa, w obecności ordynata Zamojskiego i starosty czerskiego Bielińskiego, przyjęli stan akademicki i złożyli deklaracye, poręczające ścisłe wykonywanie przepisów. W roku następnym Piramowicz, Hołowczyc, Kolendowicz i Bieńkowski, wysłani jako wizytatorowie generalni, gromadzili na miejscu ku uzupełnieniu projektu materyał. Rezultatem narad w listopadzie i grudniu Kołłątaja i Poczobuta, oraz

---

(1) Kołłątaj. *Ratio studiorum pro facultate philosophica in Universitate Cracoviensi.* A. 1778. Baliński. Pamiętniki o Janie Śniadeckim. II, str. 14, Łukaszewicz l. c. II. 348. — (2) Łukaszewicz l. c. II. 262. Baliński. Pamiętniki o J. Śniad. I. 13.

owych czterech wizytatorów generalnych pod przewodnictwem Ignacego Potockiego, były modyfikacye w projekcie i ostateczna redakcya ogłoszonych w r. 1783 Ustaw Komisyi edukacyi narodowey dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitey przepisanych.

Podzielone zostały szkoły Rrzeczypospolitéj na wydziały: wielkopolski, małopolski, mazowiecki, wołyński, ukraiński, pijarski, litewski, ruski, żmudzki, poleski. W skład każdego wchodziły: jedna szkoła wydziałowa, podwydziałowe i parafialne. Wielkopolski miał szkołę wydziałową w Poznaniu, małopolski w Lublinie, mazowiecki w Warszawie, wołyński w Krzemieńcu, ukraiński w Winnicy, litewski w Grodnie, ruski w Nowogródku, poleski w Brześciu, żmudzki w Krożach. Szkoła wydziałowa była o sześciu klasach z kursem rocznym w każdéj, z wyjątkiem 5-éj dwuletniéj. W skład jéj wchodziło sześciu nauczycieli, kaznodzieja i dwaj metrowie języków. Na czele stał rektor, zarządzający całym wydziałem; pomocnikiem jego był prefekt. Szkoła podwydziałowa była o trzech klasach, każdéj z kursem dwuletnim, przedmioty przecież te same i wykład w tym samym zakresie, co w tamtéj. W skład jéj wchodziło trzech nauczycieli, kaznodzieja i metrowie. Na czele stał prorektor, kontrolujący w swoim okręgu szkoły parafialne. Liczba nauczycieli w szkołach podwydziałowych, ograniczona do trzech z powodu braku sił uzdolnionych, była z czasem powiększoną do sześciu. Szkoły, w których profesorowie, zarówno świeccy, jak księża, stanowili osobny stan, podległy prawom Komisyi edukacyjnéj i jurysdykcyi rektora wszechnicy, były państwowe i nosiły nazwę akademickich; zakonne miały charakter zakładów prywatnych, chociaż co do instrukcyi wykonywać musiały przepisy ogólne. Z 74 szkół Rzeczypospolitéj zaledwie 34 (od r. 1787 tylko 33) było akademickich, reszta zostawała w ręku pijarów, bazylianów, dominikanów, komunistów, kanoników regularnych, cystersów, benedyktynów, krzyżaków.

W pierwszych dwóch klasach szkół wydziałowych i w pierwszéj podwydziałowych nauczyciele byli klasowi: wykładali gramatykę, arytmetykę, naukę moralną, geografię i historyę naturalną. W wyższych klasach uczyli: profesor wymowy, matematyki, fizyki, nauki moralnéj i prawa. Profesor wymowy ćwiczył w gramatyce i stylu; matematyk w algebrze, geometryi i logice; fizyk, oprócz właściwego przedmiotu, w historyi naturalnéj, oraz dziejach sztuk i rzemiosł. Do profesora nauki moralnéj i prawa należała téż historya i geografia. Językiem wykładowym był polski, łacina szczególnych przywilejów nie miała. „W uczeniu łacińskiéj gramatyki

deklinacye i konjugacye jak najlepiéj na pamięć od uczniów umiane być powinny; inne uwagi i reguły dosyć będzie dobrze pojąć i gładko wymówić". Zaleca się profesorowi „aby przekładania autorów nie zbywał prędkiém i ciągłém przełożeniem peryodów, ale pierwéj każde słowo co do wszystkich stosunków gramatycznych osobno wyłożył, toż dopiero cały sens gładkim polszczyzny składem wytłómaczył i tegoż samego od uczniów wyciągał... Podług stopni klas będzie się mógł obszerniéj zabawiać wykładami gramatycznemi, krytycznemi, historycznemi i z rozmaitéj wiadomości powziętemi, skromnie i roztropnie onychże używając, kształt i osnowę mów, listów i innych dzieł autorów okazując... Osobliwszym zaś staraniem nauczyciela wymowy być powinno wpajać w młódź ćwiczącą się, iż nadobne nauki prawdzie i cnocie służyć mają; iż często, uwodząc bujność młodego dowcipu, uszkodzić gruntownym umiejętnościom, wprawiać w próżność, lekkość i śmieszną wytworność zwykły". Utylitaryzm przyświecać powinien wykładowi każdego przedmiotu. Przy nauczaniu logiki ma profesor „czynić często przystosowanie jéjże do spraw moralnych, do postępowania sobie w życiu"... Uczniowie profesora fizyki „niekiedy uwiadomiać się będą o cenie rzeczy na targach i w kramach, przypatrywać się rzemiosłom i dziełom różnych kunsztów, uważać sposoby w robocie, roztrząsając ich dokładność i wady." Profesor nauki moralnéj i prawa „w opowiadaniu dziejów chronić się będzie, aby nie dawał fałszywych wyobrażeń rzeczy, z których największe szkody i zepsucie zdań i obyczajów wynikać zwykły. Wytykać zatém powinien w czynach ludzkich, chociaż napozór okazałych i błędnie za chwalebne poczytanych, co się z sprawiedliwością, z ludzkością, z dobrą wiarą i dotrzymaniem słowa nie zgadza". Ma on też „przygotowywać umysły młodzi do postrzegania w szczególnych ustawach każdego kraju ich niedostatków i upatrywania sposobów wydoskonalenia prawodawstwa". W sposobie prowadzenia nauk obowiązani są profesorowie „aby nigdy nie kłaść rzeczy albo wyrażeń ogólnych, ile możność, przed szczególnemi, trudniejszych przed łatwiejszemi, złożonych przed pojedynczemi i prostemi, oderwanych myślą przed podpadającemi pod zmysły... Nieprzerwanym nauczyciela usiłowaniem być powinno, aby młódź, sobie poruczoną, wprawiał w zastanawianie się nad rzeczami, myślenie i uważanie przez siebie samych"... Mniéj się ma uczyć na pamięć, więcéj brać powinna „na rozum i pojęcie". Zalecała Komisya zaszczepiać w młodzieży pobożność, przestrzegać wykonywania przyjętych w kościele praktyk. Codziennie przed rozpoczęciem lekcyi wszyscy uczniowie znajdować się mają na mszy studenckiéj, obowiązani są spowiadać się co

miesiąc. Uroczyście obchodzone będą dni, poświęcone Janowi Kantemu, Kazimierzowi i Stanisławowi Kostce, jako patronom młodzieży szkolnéj.....

Jednocześnie z opracowywaniem ustaw, nie zapomniała Komisya o przygotowaniu ludzi, mających jéj idee urzeczywistniać i o zaopatrzeniu szkół w najniezbędniejsze pomoce naukowe. W r. 1780 otwarła w Krakowie seminaryum na profesorów narodowych stanu akademickiego. Zorganizowała Towarzystwo do ksiąg elementarnych, poleciła w r. 1775 wybranym od siebie osobom napisanie nauki chrześciańskiéj i moralnéj, dziejów powszechnych, gramatyki i hygieny; niezależnie od tego ogłosiła konkurs na siedm podręczników: do 1) matematyki, 2) historyi naturalnéj; 3) gospodarstwa; 4) fizyki i mechaniki, 5) logiki; 6) wymowy i poezyi; 7) na dykcyonarz potrzebniejszych wiadomości,—wyznaczając nagrody: po 150 czerw. zł. za prace: trzecią i czwartą, po 100 za pierwszą i siódmą, po 50 za drugą, piątą i szóstą (1). Zaopatrywała Komisya szkoły w narzędzia i machiny do wykładu arytmetyki i fizyki, w zbiory do historyi naturalnéj, w globusy, mapy itp. Pilnie zwłaszcza zabiegała około zaopatrzenia w pomoce naukowe szkół głównych. Dla obserwatoryum astronomicznego ,w Krakowie zakupiła w r. 1783 instrumenta po księdzu Rogalińskim z Poznania; w 1784 kazała dokładne i kosztowne sprowadzić z zagranicy; otrzymała téż dla niego duplikaty, pomiędzy nimi narzędzi fizycznych, ze zbiorów Stanisława Augusta (2). Zasobne z czasów jezuickich obserwatoryum wileńskie, zasilone w r. 1777 sumą 2000 czerw. zł., mogło się, według świadectwa Poczobuta, pod względem bogactwa narzędzi niemal równać z oksfordzkiem (3). Na własność otwartego przy szkole głównéj litewskiéj wydziału medycznego przeszły z daru Stanisława Augusta: gabinet historyi naturalnéj, zbiór narzędzi fizycznych i anatomicznych, pozostałe po zwiniętéj szkole lekarskiéj grodzieńskiéj (4).

Kierunek prac Komisyi u ludzi, idących z duchem czasu, znachodził poklask. „W jakim-to przed lat kilku była stanie—pisał Świtkowski—publiczna edukacya krajowa? Same nabywanie umarłego języka, którym nikt nie mówi i który nie jest godzien, aby całą prawie najdroższą część życia poświęcać dla niego, był przedtém celem edukacyi szkolnéj. Wychodził młodzik ze szkół nadęty, że umiał cokolwiek języka, którym nigdy nie miał mówić; przyzwy-

---

(1) Obwieszczenie od Komisyi edukacyi narodowéj względem napisania książek elementarnych do szkół wojewódzkich. Bez m. i r. 4⁰, k. nlb. 6 i tablica planu nauk. — (2) Baliński. Pamiętniki o J. Śniad. I, 89, 91, 109. — (3) Tenże. Dawna akademia wileńska, str. 244. Pamiętniki o J. Śniad. I, 177. — (4) Łukaszewicz *l. c.* II, 265.

czajono go do niektórych praktyk nabożnych, ale nie starano się wpoić w niego gruntownych maksym religii i cnoty prawdziwéj. Jeszcze mniéj dbano o przysposobienie młodego człowieka do życia obywatelskiego i do różnych powinności, do których miał być obowiązanym z stanu i powołania przyszłego. Teraz wszystko się inaczéj z publiczną edukacyą dzieje. Szkoły publiczne, na tryb zagraniczny przelane, są tém, czém być powinny tj. źródłem czystém i obfitém prawdziwego i użytecznego oświecenia. Nie uczą nic w nich, co się na nic nie przyda człowiekowi—obywatelowi; uczą wszystkiego, co tylko może go zdobić, a jeszcze bardziéj przez co może się stać sobie i drugim użytecznym. Niedosyć, że Komisya edukacyjna przepisała cel edukacyi narodowéj tj. uformowanie dobrego obywatela i środki do tego najprzyzwoitsze, ale nie żałuje żadnych starań i kosztów na osadzenie katedr profesorami jak najzdatniejszymi. Sprowadza nawet sławnych z zagranicy ludzi, gdy do jakiéj odnogi nauk w kraju im potrzebnych brakuje; pełno jest teraz narzekania w Niemczech, że im sławnego Forstera prawie wydarła i nim katedrę historyi naturalnéj w Wilnie osadziła... My, co nasze nowe i cudze młodzi wychowywanie bezstronnie uważamy, cóż sobie wniesiemy? Oto, jeżeli my, cośmy cały wiek nasz młody strawili na samém nabywaniu trochy dawnego, a już więcéj niemównego języka, trzymamy wiele o sobie i z politowaniem na przodków naszych spoglądamy; czemże nie będzie nasza potomność, już prawie od kolebki wiadomości potrzebnych nabywająca, próżnych nie znająca, rychléj do cnót i zdań obywatelskich przywykająca i uchroniona przesądów? To pewna, że nas we wszystkiém przejdzie, a że wiek teraźniejszy ustąpić będzie musiał przyszłemu we wszystkiém“ (1). Staszyc zalecał narodowi, aby „pracę, cnotę i prawdziwą, bo niepłatną ojczyzny miłość zasiadających w Komisyi obywatelów“ brał za przykład i z wdzięcznością uwielbiał. „Tych mężów szczęśliwsza od nas potomność, jako pierwszych swojéj szczęśliwości stworzycielów, z uszanowaniem czcić i wspominać będzie“ (2). Głosy uznania niezbytecznym dla Komisyi mogły być bodźcem do walki z malkontentami i do usuwania trudności, o których komunikowali wizytatorowie generalni, rektorowie i prorektorowie w raportach i doniesieniach poufnych (3).

---

(1) Pamiętnik polit. i hist. z r. 1783, t. I, str. 14 i z r. 1785, str. 169. — (2) Uwagi nad życiem J. Zamoyskiego, str. 37. — (3) Wizytatorami generalnymi szkół koronnych byli: r. 1782 Hołowczyc i Kolendowicz, 1783 Kolendowicz i Garycki, 1784 Garycki i Bogucicki, 1785 Bogucicki i Jezierski, 1786 Garycki i Bogdanowicz, 1787 ciżsami, 1788 Muszyński i Krusiński, 1789 ciżsami, 1790 Treffler i Krusiński, 1793 Treffler i Fijałkowski. Składane szkole głównéj raporta tych wizytatorów, rektorów wydziałowych, prorektorów i profesorów dostarczyły nam materyału do charakterystyki szkolnictwa.

W zabiegach około wprowadzenia w życie ustawy najwięcéj liczyła Komisya na szkoły akademickie, których funkcyonowało szesnaście. Rektorami, prefektami i prorektorami były osoby duchowe, lecz profesorowie w znacznéj części świeccy. Najlepsze siły posiadała Warszawa, Kraków i Lublin—pierwsze jako stolice, ostatni jako miejsce posiedzeń trybunalskich. Czech, Sołtykowicz, Scheydt, Januszowicz, którzy się pięknéj w zawodzie pedagogicznym i w nauce dobili sławy, stanowili ozdobę najprzód Lublina, późniéj Krakowa. Zawiadamiał w r. 1779 Kołłątaja biskup koadjutor płocki Szembek, że w akademii krakowskiéj „mało trzydziestu liczyć można matematyków wkrótce zdatnych do rozsyłania na szkoły wojewódzkie“ (1) i zapowiedź nie okazała się płonną. Matematyka stała w szkołach akademickich najlepiéj; licho za to szła gramatyka i dzieje, najgorzéj zaś fizyka i historya naturalna. Język łaciński akademicy lekceważyli; dziejów, geografii, prawa natury i politycznego umieli niewiele; przy wykładzie fizyki i historyi naturalnéj uprawiali gruby utylitaryzm, niektórzy zdradzali gorszące nieuctwo. Profesor klasy pierwszéj w Sandomierzu takie w r. 1783 przy wykładzie historyi naturalnéj uprawiał kwestye: jaki wół ma być wybierany do roboty? w którym roku można go użyć? po jakich znakach poznaje się krowa zyskowna? po czem dojść można lat konia? Tomasz Paszkiewicz, również profesor klasy pierwszéj w Kaliszu, ciekawsze jeszcze w r. 1786 zadawał uczniom pytania: jaki pies być powinien do pilnowania domu? jakiego dobierać potrzeba do strzeżenia bydła w polu? czemu lepszy pies czarny do pilnowania domu, a czemu biały do strzeżenia bydła? „Zakazałem mu z tych kwestyi, donosił szkole głównéj wizytator, uczniów doświadczać, a prorektorowi zaleciłem, aby przejrzał uczniów seksterna, w których jeśliby tłómaczenia jakie tych kwestyi znalazł, poodbierał, żeby się nie dostały obcym, a najbardziéj rodzicom, od których dosyć sarkania dają się słyszéć na historyę naturalną, dopiéroż na podobne zapytania“... W Kamieńcu w r. 1783 zaprawiał profesor wykład fizyki polemiką i tendencyą katechizmową, niepotrzebnie się wdając w dysputy na temat początku świata. Gromił Platona i Arystotelesa, Demokryta i Epikura, Kartezyusza i Lejbnica, bo „przeciw Bogu i naturze błądzą“, bo ich teorye „z wielu miar niepodobne do prawdy“ (2). Profesor fizyki w Płocku na egzaminie wizytatorskim w r. 1786 „dał się poznać, że nie wszystko to rozumie, czego uczyć powinien; w szczególności, chcąc przekonać, że

---

(1) Gazeta warszawska z 31 lipca r. 1779. — (2) Popisy roczne szkół wydziałowych większych kamienieckich... r. 1783, W Kamieńcu.

może się rozciągłość ciał zwiększać i zmniejszać, całe swoje twierdzenie nie na dowodach umiejętnych, ale na piśmie świętém zakładał". Zaczepiwszy teoryę głosu, skończył na dziejach pląsów: kiedy wynaleziono taniec? jaka różnica pomiędzy dzisiejszym a dawniejszym? itp. „Rozumiałem, donosił wizytator, że każe jeszcze uczniom tańcować, dla tego wstrzymałem go od popisów w téj kwestyi". W Kamieńcu w r. 1783 „profesor fizyki nie chce gustu teraźniejszego przejmować w uczeniu"; w Sandomierzu profesorowie fizyki i matematyki do przepisów Komisyi nie stosowali się wcale. „Jeden z nich jakąś starożytności tezą, duchem Arystotelesa natchniętą, uczniom głowy mozoli; drugi młodzież zatrudnia propozycyami, na które dziś tylko świat ziewa: *de natura et speciebus entis, de accidentibus in sensu peripatetico*, *de proprietatibus entis* itp" ..... Nie brakło uchybień i w nauczaniu przedmiotów innych. Profesor prawa w Kaliszu w r. 1786 „staruszek bardzo dobry... wiele uczy, ale mało rozumie"... Ostrzegał w r. 1783 wizytator profesora nauki moralnéj i prawa w Poznaniu, że wykład jego „nie zgadza się z zamiarem Komisyi, zamyka więcéj metafizyki, niż prawideł, do uformowania obyczajów służących". W Żytomierzu nie wykładano w r. 1783 algebry i fizyki: „słuchać tych nauk nie chcieli, częścią z niechęci ku nauczycielowi Starnawskiemu, częścią, że rząd szkolny nie używał do tego sposobów skutecznych". „Nauki w szkołach łęczyckich—donosił wizytator w r. 1785—idą takim sposobem, jak uczono przed zniesieniem jezuitów tj. uczą alwara, a w wyższych klasach retoryki i filozofii, tak jak przedtém, ciągle dając logikę, fizykę i metafizykę; żeby jednak udać posłuszeństwo rozkazom Komisyi i szkoły głównéj, każą uczyć się i z książek elementarnych, zaczynając od wielkiejnocy. Czynią to dla udawania przed wizytatorem sposobu uczenia teraźniejszego, dla obywatelów bowiem utrzymują dawniejszy". Nawet szkoły akademickie warszawskie nie zachowywały przepisów Komisyi. Na popisach jeneralnych, na których się i ksiądz Kopczyński znajdował, oraz na egzaminie wizytatorskim w r. 1786 recytowali uczniowie klasy pierwszéj z alwara. Wogóle przecież większość szkół akademickich, zwłaszcza w porównaniu z zakonnemi, wyróżniali wizytatorowie korzystnie. Mianowicie odpowiedzi uczniów klas wyższych dowodziły, że nowy system przynosi pożytek.

Ze szkół pijarskich niektóre tylko i to z początku nie zawsze odpowiadały wymaganiom Komisyi. Lepiéj w nich, niż w akademickich, szła nauka moralna i prawa; najgruntowniéj, chociaż według gramatyki dawnéj, wykładano łacinę; słabiéj za to matematykę, a najgorzéj historyę naturalną. Nie mieli pijarzy „gustu do wyso-

kich matematyki części",—zawiadamiał w r. 1785 szkołę główną wizytator Jezierski. W r. 1786 znalazł wizytator w Radomiu logikę „przyciemną": dowodzili uczniowie przy pomocy profesora, że „tożsamość jest znakiem oczywistości rozumowania" i różne na to dawali przykłady „ale sami się nie rozumieli". W r. 1783 profesor historyi naturalnéj w Międzyrzecu takie klasie drugiéj zadawał kwestye: czyli człowiek zacniejszy od zwierząt? czyli dusza z jakiego ciała złożona i gdzie zamieszkuje? jakie są dowody jéj nieśmiertelności? Nauczyciel tegoż przedmiotu w Radomiu wykładał w r. 1786 o pigwach, rajskich jabłkach, brzoskwiniach, morelach, orzechach włoskich, morwach, figach, migdałach, kasztanach, pomarańczach i cytrynach; w Łomży zapytywał na popisie: jakie są najlepsze gęsi do chowania? jak ma być opatrzony zwierzyniec i co w nim utrzymywać? Wogóle przecież nie odmawiali wizytatorowie szkołom pijarskim uznania. W relacyi o Drohiczynie nie mógł się Jezierski powstrzymać od wykrzyku: „dałaby najwyższa Opatrzność, aby wszystkie szkoły były podobne drohickim"! Międzyrzecowi Muszyński w r. 1789 najwyższe dawał pochwały. „Z liczby uczniów,—donosił—która domierza do 300, ledwie kilku przy zwiedzaniu klas okazało się niedołężnych, co ich natura skrzywdziła, upośledziwszy w talentach.....

Więcéj Komisya miała kłopotu z bazylianami. W r. 1783 w Lubarze dawano przez rok cały metafizykę w języku łacińskim; w Barze logiki i fizyki dawnym uczono sposobem. W Lubarze „wszyscy profesorowie, roztargnieni kościelném nabożeństwem, wcale niezgodném z obowiązkami nauczycielskiemi, nie mają czasu do przygotowania się przyzwoitego swojemu powołaniu". W Ostrogu w r. 1784 „oprócz prefekta zdatnego do rządu i dawania fizyki, wszyscy nauczyciele większego potrzebują przysposobienia". W r. 1785 w ośmiu szkołach bazyliańskich dwóch zaledwie było profesorów, którzy się kształcili w uniwersytecie krakowskim. Przyczyna złego leżała i w zbyt częstém zmienianiu nauczycieli bez zezwolenia Komisyi, oraz w złém usposobieniu zwierzchników. Według opinii wizytatora z r. 1786 „rektorowie bazyliańscy niektórzy mało, inni wcale się szkołami nie zatrudniają, a są niektórzy obojętni względem teraźniejszéj edukacyi; jest domysł, że są nawet przeciwni." Szwankowały szczególnie wykłady w klasach wyższych. „Po szkołach akademickich—donosił w r. 1789 rektor wydziału ukraińskiego, ksiądz Wrzeszcz—wszędzie prawie klas coraz wyższych uczniowie i w liczbie większéj i łatwiéj z nauk tłómaczą się; przeciwnie po szkołach bazyliańskich: początkowe klasy dość dobrze, wyższe zaś coraz niedostateczniéj idą, a osobliwie z wymowy i prawa. Sku-

tek niedostateczności i nauki i gustu nauczycielów". Zaszczytnie się wyróżniali bazylianie włodzimierscy: przyznawał im wizytator w r. 1784, że „mogą być wzorem szkół wszystkich". Celowali głównie w nauczaniu języków: niemieckiego, angielskiego, francuskiego, greckiego, włoskiego i słowiańskiego. „Przez opowiadanie reguł, każdemu językowi właściwych; prowadzenie dyskursów i tłómaczenie autorów" dowiedli niektórzy uczniowie wizytatorowi w r. 1783, że skorzystali dużo; „inni przy ochocie dają nadzieję dalszego postępku". Światły współpracownik *Monitora*, profesor języka francuskiego, ksiądz Aleksander Żórawski oświadczał się w r. 1788 Krusińskiemu z chęcią napisania gramatyki słowiańskiéj. (1). Czytano i tłómaczono rękopisy słowiańskie w Lubarze, Szarogrodzie i Humaniu „w innych zaś szkołach bazyliańskich eksplikowali się niedostatkiem osób zdatnych do wykonania tego obowiązku".

Komuniści w Kielcach i Węgrowie robili wrażenie najgorsze. Lekcye ich—pisał w r. 1785 Jezierski—„nie wiedziéć do czego stosować: ani to jest sposób nowy, ani dawny—jestto jakieś chaos. Mało na co dzieci odpowiedziéć umiały nawet z tych rzeczy, o które się ich właśnie zapytywali profesorowie. Był-to najlepszy sposób utaić, jak się dzieci uczą i jakim sposobem edukacya w Węgrowie dawaną była—zostawić je w tym stanie, aby na nic odpowiedziéć nie umiały. Edukacya w tych szkołach prawdziwie jest nędzna i szkoda straty czasu tamtejszych dzieci". Nie lepsze im wystawił świadectwo Bogdanowicz w r. 1786. W Kielcach „lubo kwestye na popis wydane były stosownie do gramatyk i innych elementarnych książek, z nich jednak uczniowie, co większa ani profesorowie tłómaczyć się nie umieli i gdy podług dawniejszego sposobu uczenia zapytywani byli, odpowiadali należycie, z czego łatwo można było wnosić, że przepisy Prześwietnéj Komisyi nie zachowują się. Nic od nich nauczyć się nie można było o przypadkach, formach, rządach, o czasowaniu i t. d. Geografię na pamięć opowiadali bez żadnych map, geometryi ani nawet profesorowie nie rozumieją; z algebry, z prawa, z dziejów krajowych nic nie uczono ani w tym, ani w przeszłym roku; fizykę z Lisikiewiczem uczą, a wstępu do fizyki nie mają; wymowa, Dekoloniuszem (2) zagważdżana, a kwestye z niéj wcale dzikie, podobno i w Dekoloniuszu nie znajdujące się, podane były... Dyrektorów głowy teologią i filozofią dawną, nie dzisiejszemi naukami zaprzątnione. Gramatyk przez lat trzy

(1) W r. 1789 przeniesiony został Zórawski na Litwę. Czy napisał gramatykę? nie wiemy.

(2) Dominicus de Colonia, autor *De arte rhetorica libri* V.

przeszło sprzedano 79, gdzie liczba uczniów w tym roku 217, a w zeszłych latach więcéj"... W Węgrowie „żadne nauki — donosił tenże — nie idą podług przepisów. Prefekt i profesorowie do niczego niezdatni: żal się Boże uczniów, że lata i czas przy takiéj edukacyi mitrężą. W tym roku zastałem uczniów liczbę do 236, w zeszłym było przeszło 270, a gramatyk przez lat trzy, na pierwszą klasę sprowadzonych i sprzedanych, zastałem dwie, na drugą pięć, na trzecią żadnéj. Dopiéro w r. 1785 sprowadzono gramatyk na klasę drugą dziesięć, na trzecią piętnaście... Arytmetyka jedna przez te lata sprzedana, geometryi części pierwszéj dziewiętnaście, drugiéj dwie: dykcyonarzy łacińsko-polskich siedm, starożytności żadnego. Wstępu do fizyki i algebry nie znają. Nie wspominam o innych pomniejszych książkach, z których w proporcyi liczby uczniów prawie nic nie sprzedało się. Nie wchodząc już w oczywistą niedokładność nauk, z liczby tak małéj sprowadzonych i sprzedanych książek łatwo przekonałem nauczycielów, rządcę i samego JX. prezydenta, że przepisy nie zachowują się u nich. Pokazali mi wprawdzie kilka egzemplarzy pisanych i drukowanych książek, z Warszawy, jak powiadali, przez rodziców przywiezionych, ale te nie odpowiadały liczbie uczniów".

Benedyktyni w Pułtusku „ustawy zupełnie zachowują, inszych książek do uczenia prócz elementarnych nie używają, owszem sami się żalą na kramarzów, którzy roznoszą alwary, półalwary i dawniejsze gramatyki, a przez to bałamucą dyrektorów i ich rodziców... Książek elementarnych najwięcéj wychodzi w tych szkołach"... Z pośród zakonnych szkoła pułtuska była podobno najlepszą. Znośnie uczono w niéj matematyki, a wcale gruntownie łaciny.

U cystersów we Wschowie znalazł wizytator w r. 1785 „osobliwość" któréj mu się nie przytrafiło w innych widzieć szkołach zakonnych—wszyscy profesorowie mieli zaświadczenia, że podług ustaw Komisyi edukacyjnéj uczyli się w szkole główném krakowskiéj i wraz z kandydatami odbywali popisy. Podobnie jak benedyktyni, odznaczali się cystersi sumiennością i przychylnością dla ustaw Komisyi. Profesorowie szli z duchem czasu i w umysłach młodzieży zaszczepiali poglądy zdrowsze. Prefekt i profesor prawa, ksiądz Drzewiecki, taki o wykładach swoich w klasie czwartéj w r. 1789 podawał raport: „Rozważając prawa kardynalne, dałem moje uwagi nad niektóremi, mianowicie nad uroczyście warującém wolne królów obieranie, okazując najprzód, jak ciągle uczy doświadczenie, że wolne królów obieranie, będąc przyczyną bezkrólewia, jest tém samém przyczyną wielkich nierządów, stąd wynikających. Powtóre,

że wolne królów obieranie daje powód wielu pretendentom do korony, którzy, scysye w narodzie robiąc i na poparcie swych zamysłów wojska zagraniczne sprowadzając, kraj pustoszą... 2-do nad prawem *de libero veto*, okazując jak jest szkodliwe narodowi, gdy jednemu ministrowi, senatorowi lub posłowi w najważniejszych interesach Rzeczypospolitéj daje moc zerwania sejmu i zatamowania *activitatem* trzem stanom sejmującym. Nadto dowodziłem, że to prawo bardziéj się zdaje ściesniać wolność, aniżeli rozszerzać, bo cóż za wolność, kiedy dwieście kilkadziesiąt osób sejmujących stają się bezczynnemi i podległemi jednéj osoby uporowi? 3-tio okazałem, że czas sześcio-niedzielny sejmowania jest bardzo szczupły dla zaradzenia około tak licznych interesów narodu".

Ze szkoły krzyżaków w Rawie przysłany w r. 1783 na prefekta akademik, ksiądz Sebastyan Porębiński, alwary i inne gramatyki wyrzucił, a zaprowadził program Komisyi. Krzyżacy źle byli dla reformy usposobieni i obowiązki lekceważyli. „Zawsze się żalą i narzekają, że bez fundacyi szkół uczą i z téj przyczyny, zaradzając o sustentacyi życia swojego, rozjeżdżają się po odpustach z kazaniami i tam się bawią czasem i po tygodniu".

Kanonicy lateraneńscy w Trzemesznie w r. 1783 uczyli alwara, a i w 1787 nie mogli się jeszcze pogodzić z nowym rzeczy porządkiem. Profesor matematyki i fizyki, ks. Wojciech Włochowicz, do przedmiotów swoich żadnéj nie miał inklinacyi, bo nic prawie nie umiał. Matematykę nazywał „szczerym mechanizmem i szarlataneryą, próżności tylko półmędrków dogadzającą".

Najgorzéj pod względem stosowania przepisów Komisyi stały szkoły elementarne, zarówno „większe" po miasteczkach, jak i „mniejsze" po wioskach. „W większych szkołach—polecała Komisya—dawana będzie nauka chrześciańska, nauka obyczajów stosowna do wieku i kondycyi uczniów, czytanie, pisanie, rachunki, początki rozmiaru z wiadomością miar, wag i monet; nauka ogrodnicza i rolnicza więcéj przez ukazywanie samychże robót, niż przez mówienie i przepisy na pamięć; wiadomości zachowania zdrowia, leczenia bydląt, handlu wewnętrznego w téj okolicy i sąsiedztwie, użycia tych rzeczy, które się częstokroć po wsiach i miasteczkach zaniedbują, a użytecznemi być mogą, jako to np. różnych roślin przydatnych do farb, sierci bydląt, kor różnych drzew, starych chust, popiołów *etc.* W mniejszych zaś szkołach, gdzie zwyczajnie sami wieśniacy uczyć się mają, w mniejszém określeniu nauki do okoliczności stosowane będą". Nie mając dostatecznych na zakładanie szkółek funduszów, zwracała się Komisya

z prośbą o poparcie do proboszczów i ziemian. Zapowiadała dla zachęty, że „ktoby z obywatelów jakiegokolwiek stanu szkoły parafialne albo nowe założył, albo dawniejsze lepiéj opatrzył, rektor wydziałowy doniesie o tém do Komisyi, imieniem jéj wdzięczność dobroczyńcy oświadczy, oraz przy otwarciu szkół toż dobrodziejstwo ogłosi, do publicznéj wiadomości drogą gazet poda i nabożeństwo uczniom téjże szkoły naznaczy" (1).

Na nawoływania Komisyi odpowiedziały niektóre jednostki z obywatelstwa chwalebnymi czynami. W Wielkim Książu wychowywało się przy miejscowéj szkółce na koszcie Wielopolskich chłopców dwunastu..... „Na którego z wieśniaczych synów—pisze wizytator w r. 1792—padł wybór, natychmiast cały jego ubiór odsyłany bywa do wsi ojca, a uczeń funduszowy wszystko, aż do koszuli, ze skarbu dostaje". Znalazł ich wizytator „rześkimi, żwawymi i do wszystkiego rączymi; zgoła, choć jeszcze niedawny czas w opisanéj zostawali regularności, można było widocznie rozpoznać ową różność, która się między nimi, a innymi biednymi synami wieśniaczymi tak co do ciała, jako i do duszy okazywała jaśnie". Zamiarem było margrabstwa, aby ich wychowańcy, po nauczeniu się czytania, pisania i rachunków, oraz po nabyciu zasad moralnych, odesłani do swoich wsi, obejmowali urzędy wojtów, przysiężnych i t. p. i przykładem byli dla innych. Szambelan JKMci Dzieduszycki w dobrach swoich Jaruszewie, na Ukrainie, założywszy szkołę parafialną pod dozorem parocha *ritus graeci*, budził w dzieciach ochotę dawaniem czapek, pasów i sukien; obiecywał uwolnienie od poddaństwa tych, którzy okażą zdatność do handlu lub rzemiosł. Podstoli ostrze-

---

(1) Już w r. 1776 do ks. Rościszewskiego, dziekana kijowskiego i kanonika wileńskiego, taką sekretarz Komisyi wystosował odezwę: „Założenie szkół parafialnych dla ubogiego pospólstwa było i jest jednym z pierwszych układów Komisyi edukacyi narodowéj; czego że sama bez bardzo znacznych na to nakładów uskutkować nie może, chwalebny w tym zamyśle niektórych możniejszych obywatelów przykład wysoce szacując, chce z nimi łączyć starania swoje, oraz cnotę ludzkości ich i przywiązania do narodu publicznem zachwaleniem dystyngwować pragnie. W téj właśnie myśli zleciła mi pisać do WWMPana z okazyi założonych przez niego szkół parafialnych w Chodorkowie i Makarowie, dobrach jego dziedzicznych, abym WWMPanu oświadczył prawdziwe ukontentowanie i chęć Komisyi do wspólnego z nim znoszenia się o tém wszystkiém, co do urządzenia i dobra tychże szkół należéć może. Wszakże największa stąd dla Komisyi i samego WWMPana będzie satysfakcya, gdy gorliwość jego o oświecenie ubogich poddanych, drugim współobywatelom, którym urodzenie i powołanie większego pozwoliło zasięgnąć światła, stanie się przyzwoitą pobudką do komunikowania onegoż niższym i uboższym przez sposób w ustanowieniu szkół parafialnych ukazanych" (*Gazeta warszawska* z 13 kwietnia r. 1776).

szowski Święcicki, dziedzic Siemkowic, według relacyi Muszyńskiego z r. 1788 szkołę zbudował, dyrektorowi wyznaczył pensyę, wszystkim dzieciom kupił elementarze. „Te, co w pole idą za bydłem, od dyrektora miewają wyznaczone lekcye i ich się uczą; gdy powracają z pastwiska, przychodzą do dyrektora i sprawę dają z nauczonych się lekcyi. Te zaś, co we wsi zostają, uczą się u dyrektora, o których postępku osobliwszą pieczę i staranie ma JX. Wyżykowski pleban, sam swéj pracy nie żałując w edukowaniu téj wiejskiéj młodzieży". Jeżeli wielko-ksiąska, jaruszewska i siemkowicka mogły służyć za wzór szkół „mniejszych", to dla „większych" świeciła przykładem skaryszewska, istniejąca przy kościele farnym pod dozorem kanoników regularnych grobu Chrystusowego, utrzymywana z procentu od 4000 zł. legowanych przez plebana kaszowskiego, Krzysztofa Radzkiego, w r. 1665. Dzieliła się na klasy: „poczynających", „postępujących" i „doskonalących się". W r. 1786 dziesięciu poczynających w wieku od czterech do dziesięciu lat życia uczyło się „na elementarzu"; sześciu postępujących czytać, pisać, rachować, religii i nauki moralnéj; czterej doskonalący się, oprócz przedmiotów drugiéj kategoryi, nabywali wiadomości z historyi naturalnéj.

Pomimo pięknych szczegółów, ogół szkół elementarnych nie odpowiadał wymaganiom Komisyi. W owéj skaryszewskiéj używali z początku dyrektorowie książek „jakie kto przyniósł" i dopiéro wizyta prefekta radomskiego ks. Goławskiego, odbyta w październiku r. 1786, zmusiła ich do zaprowadzenia podręczników, przepisanych przez władzę. Wizyta szkół parafialnych w Krakowie i na przedmieściach, dokonana z rozkazu szkoły głównéj w grudniu r. 1786 i styczniu 1787, konstatowała przy małéj liczbie uczniów lenistwo i nieuctwo dyrektorów. U Panny Maryi było uczniów 50, u Wszystkich Świętych 30, lecz u św. Floryana 14, u Bożego Ciała 10, u św. Szczepana 6, tyluż na zamku, u św. Anny 5, u św. Ducha trzech tylko, a u św. Mikołaja szkołę dla braku funduszów zamknięto. W szkołach tych, utrzymywanych przez kanoników, magistrat, to z opłat rodziców, wszędzie były dzieci bez elementarzy, uczyły się czytać z książek do nabożeństwa. Dyrektor od św. Ducha „był nader grubéj prostoty, niemający najmniejszego światła w naukach najprościejszych, popędliwy i bez rozsądku"; od św. Anny nie mógł oddawać się szkole, sam bowiem studyował chirurgię. Wizyta z r. 1788 znalazła liczbę dzieci znaczniejszą: u Panny Maryi 154, u Bożego Ciała 40, u św. Ducha 37, u św. Anny 14, lecz polepszenia w naukach żadnego. U św. Ducha z 37 uczniów czterech tylko miało książki elementarne. W zastępstwie owego chi-

rurga uczył u św. Anny „bedellus“ Zastowski gramatyki dawnéj i nie trzymał się żadnego „układu“. Dyrektor od Panny Maryi oświadczał wizytatorowi, jako czyni dopiéro przygotowania do zastosowania się do przepisów Komisyi. Zaszczytnie się wyróżniała szkoła u św. Piotra na Piasku. „Dyrektor szkolny — donosili wizytatorowie — Tomasz Kostkiewicz, lat 23 mający, w swych 29 uczniach okazał najpiękniejszy dowód tak należytego, a prawem przepisanego uczenia sposobu, jako i znacznego w uczniach postępku i dobrego w odpowiadaniu na pytania porządku. Cały uczenia sposób, zacząwszy od nauk, cokolwiek zastanowienia potrzebujących, aż do ostatniego poznawania liter, widzieliśmy tak zręcznie zachowany, jak go nietylko prawa Prześwietnéj Komisyi w księdze elementarnéj przepisują, ale nadto jak roztropność i dostateczne przepisów zrozumienie podaje“.

Nielepiéj, niż w Krakowie, prowadzono wiele szkół parafialnych na prowincyi. Gorliwością około szerzenia śród ludu światła celował ogół szlachty ziemi wieluńskiéj. „Wszyscy prawie...—pisał wizytator w r. 1788—obywatele mocno są do teraźniejszego układu nauki przywiązani, czego, oprócz wyznania JX. prorektora, sam świadkiem jestem, miawszy sposobność podczas Zielonych świątek znajdować się w ich domach“. Kilkanaście w niéj było szkółek parafialnych, prowadzonych porządnie, lecz w wielu miejscowościach wydziału wielkopolskiego, jak w Warcie, Słupcy i Wrześni uczono z alwara, donata i gramatyk pijarskich. Toż samo miało miejsce w wydziale mazowieckim: w Łowiczu, Skierniewicach i wielu innych. W wydziale małopolskim dyrektor chęciński Fabiański „narobiwszy awantur“ w r. 1787 uciekł, a 30 dzieci rozproszyło się; w 1788 następca jego mało sprzedał nadesłanych przez Komisyę elementarzy, „przesądów niektórych nie mogąc złamać“. W Bodzęcinie i Nowem Mieście Korczynie uczono „po staremu“, bez elementarzy; w Łagowie dyrektor w r. 1788 pierwszy raz „próbował“ systemu Komisyi. W szkole parafialnéj kieleckiéj w r. 1787 „dyrektor stosuje się do myśli ustaw“, lecz w 1788 uczniowie „pogubili elementarze, przychodzą do szkoły z donatami“. Z donata uczono w Wiślicy, Szkalmierzu i w innych. Dopiéro około r. 1788 nauczanie początkowe w wydziale małopolskim poprawia się znacznie. W Urzędowie, Krasnymstawie, Kurowie, Markuszewie, Lubartowie, Opolu, Kocku, Końskiéj-Woli, Wąwolnicy, Chodlu, Bełżycach—wszędzie były elementarze, a to dzięki energii rektora lubelskiego ks. Trefflera, który szkoły parafialne z największą troskliwością wizytował i około egzekucyi ustaw Komisyi starań nie

szczędził. Kazał ważniejsze przepisy Komisyi wydrukować, stwierdzone podpisem swoim i pieczęcią zgromadzenia lubelskiego przybić na drzwiach szkół parafialnych i stosować się do nich najściśléj. W wydziale wołyńskim nie według przepisów uczyli trynitarze w Beresteczku, w Połonnem ex-jezuita, w Konstantynowie dominikanin. W r. 1788 w Bohusławiu dyrektor Paweł Piotrowicz uczył po łacinie gramatyki, poetyki i retoryki, chociaż języka nie umiał. Podczas sejmu wielkiego sprawa szkół elementarnych żywszy w narodzie budzi interes. Komisye porządkowe cywilno-wojskowe z chwalebną energią w niektórych przynajmniéj ziemiach pracowały nad oświatą pospólstwa. Dzięki poczuciom obywatelskim ich członków były w pow. wieluńskim w r. 1790 szkoły w 43 wsiach, uczyło się w nich ogółem 1368 dzieci. Ponieważ miała około 40000 mieszkańców, pomiędzy którymi do 3000 nie posyłających dzieci swoich do szkółek katolickich protestantów i żydów, każdy przeto 27 człowiek odbierał naukę elementarną (1). Komisya czerska uniwersałem z 15 marca r. 1790 zaleciła: „Ichmość xięża plebani, mianowicie ci, którzy nie tak jak z dóbr duchownych, lecz równo z dobrami ziemskiemi podatki płacą, przez zwykłą do nauczania i czułą w objaśnieniu całéj trzody swojéj przychylność, dla oświecenia ubogich szlachty i ciemnéj prostoty przy parafii kościelnéj chować będą bakałarza dla dania przynajmniéj początkowéj nauki w nauczaniu ich czytać, pisać i rachunków, a przy oznajmieniu do tutejszéj Komisyi porządkowéj o ludności parafii, donieść oraz będą powinni o wielości uczniów czytać, pisać i rachować nauczonych, pod obowiązkiem „w prawie wyrażonym“ (2). Jakoż na 74 milach kwadratowych téj ziemi znajdowało się w r. 1790 kilkanaście szkółek, a w każdéj po kilkadziesiąt dzieci (3). Pomimo tego stan szkół elementarnych wiele pod względem instrukcyi do życzenia zostawiał. Ciągle były w użyciu alwary, donaty i gramatyki pijarskie. Rodzice—pisał w r. 1787 wizytator o szkółce kieleckiéj — „nie chcą dla dzieci nowo-wyszłych elementarzów kupować, tylko dawne dają donaty“. „Alwary z druku kaliskiego — donosił Bogdanowicz — dają się wszędzie widzieć, kramarze roznoszą je niemal po“ całym kraju. Sarkano na elementarz, kosztował bowiem 27 groszy, kiedy stare gramatyki można było nabywać za bezcen.

Nietyle, co męskie, sprawiały Komisyi kłopotu szkółki dla dziewcząt, których zresztą było niewiele. W Warszawie w r. 1788 było pensyi „białogłowskich“ piętnaście. W Sandomierzu Maryan-

(1) Łukaszewicz l. c. II, 450.—(2) Druk *in folio*, kart nlb. 3.
(3) Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski. IV, część 2, str. 205.

na Gęczyńska, wdowa, dawała w r. 1782 „edukacyę damom w pobożności, czytaniu, pisaniu, rachunkach, robotach i w języku niemieckim“. W Lubarze kształciła w r. 1788 JMci Pani Sędzikowska ośm panien szlacheckich razem ze swemi córkami. „Uczą się — pisał wizytator — czytać, pisać, rachować, nauki chrześciańskiéj i moralnéj, bawią się czytaniem książek, a taż sama JMci Pani Sędzikowska uczy ich nadto początków języka francuskiego i na klawikorcie. Którą pensyę odwiedzając, za punkt najistotniejszy zaleciłem IchMć pannom edukującym się, jak ich mistrzyni, w tém najwięcéj tak z osobistych domowych rozmów, jak z czytania książek doskonalenie się i chęć korzystania, aby potém były dobremi domów swoich gospodyniami, rządnemi czeladzi swojéj paniami, dobremi żonami, dobremi matkami, dobremi sąsiadkami, co samo tylko istotne uszczęśliwienie im i przez nie drugim przynosić może“.

III.

Przyczyny niepowodzeń reformy: brak ludzi uzdolnionych, niedostateczność pomocy naukowych i funduszów; szkodzi jéj niechęć ex-jezuitów i zgromadzeń zakonnych. — Walka ex-jezuitów z profesorami świeckimi, zakonników z prefektami-akademikami, dyskredytowanie przez jednych i drugich kierunku reformy. — Szlachta, ulegając starym nałogom, wpływowi zakonników i dyrektorów, odmawia Komisyi poparcia. — Niezadowolniona z łaciny, oburzona na historyę naturalną, podejrzywając akademików o szerzenie libertynizmu, kształci dzieci prywatnie, wysyła je zagranicę kraju lub oddaje do szkółek pokątnych, których liczba z każdym dniem wzrasta.

Źródła niepowodzeń w osiągnięciu zamierzonych przez Komisyę widoków były dość liczne: szukać ich trzeba w braku ludzi uzdatnionych, w niedostatku pomocy naukowych, w niechęci ex-jezuitów, ciemnocie zgromadzeń zakonnych i konserwatyzmie szlachty. Komisya miała armię nieliczną i uzbrojoną słabo, a walczyć musiała przeciwko zastępom, posiłkowanym przez cały niemal ogół społeczny. Rozwinęła akcyę swoją otwarcie, a spotykała na każdym kroku podstępny podjazd przeciwnika w formie zakulisowéj intrygi, niepokojących naród insynuacyi i t. p. Zatarg był natury publicznéj, w literaturze przecież współczesnéj oddźwięku dostatecznego nie znalazł. Buletyny wojenne pod postacią raportów wizytatorskich zawierały dokładne wiadomości o tryumfach i klęskach stron obu, lecz przeznaczone były wyłącznie dla Komisyi i szkoły głównéj krakowskiéj.

Konstatował w raporcie swoim z r. 1785 Jezierski, że z profesorów akademików „mało który skończył zupełny bieg nauk“. Źle wykładali gramatykę, „najśmieszniejsze dziwactwa“ dyktowali z historyi naturalnéj, z nauki moralnéj i prawa dawali wszystko, co

w jakichkolwiek książkach wyczytali „bez braku“. Komisya, przewidując niedostateczność wiedzy profesorów, zalecała im w ustawach, jako „obowiązani są... książki elementarne, pierwéj nim je wykładać uczniom poczną, z jak największą pilnością przeczytać, ich układ i całą osnowę z gruntu zrozumiéć, naukę w nich zawartą i sposób prowadzenia onéj tam przepisany zupełnie przejąć“... Zadość uczynić temu obowiązkowi profesorowie nie mogli, albowiem książek elementarnych narazie brakło, a praca nad ich przygotowaniem szła ciężko. W terminie pierwotnym, oznaczonym na listopad r. 1775, z wyjątkiem prospektu książki elementarnéj o ogrodownictwie i rolnictwie generał-majora Rieule, w jednych materyach prace konkursowe nie doszły, w innych nie czyniły zadość żądaniom. Podniesienie nagród o 50 czerw. zł. z odroczeniem terminu do ostatniego grudnia r. 1776 (1) chybiło także. Zarówno podręczniki, wprost zamówione przez Komisyę, jak i konkursowe zjawiają się późno.

Najwcześniéj, bo w r. 1777 wyszły Wypisy z autorów klasycznych, w 1778 Popławskiego Moralna nauka dla szkół narodowych na klasę I i II i Kopczyńskiego Gramatyka języka polskiego i łacińskiego; po nich Dykcyonarz starożytności Furgault'a (1779), Lhuillier'a: geometrya (1780), arytmetyka (1781), algebra (1782); współcześnie (1781) Skrzetuskiego Historya powszechna na klasę trzecią (Asyrya, Medya, Persya i Egipt), w 1783 Hubego Wstęp do fizyki. W r. 1785 wyszedł elementarz dla szkół parafialnych i Kluka Botanika (według prospektu Pawła Czempińskiego); w 1786 Skrzetuskiego Historya powszechna na klasę IV, obejmująca dzieje greckie. Moralna nauka Popławskiego na klasę III ogłoszoną została w 1787, Piramowicza Wymowa i poezya dopiéro w r. 1792. Dla braku podręcznika do wykładu nauki moralnéj i prawa na klasy wyższe zalecała Komisya dzieło *L'ordre naturel des societés politiques* i tabelę Dupont'a p. t. Obraz rządu człowieka (1785). Pijarzy drohiccy używali do tego przedmiotu pism Mably'ego, Russa i Gellerta, do prawa politycznego polskiego książki Skrzetuskiego; w Płocku czerpali profesorowie materyał w Magazynie warszawskim Świtkowskiego i w Dzienniku handlowym. Historyi polskiéj uczono według Wagi, Solignac'a i Kromera; geografii z książki Wyrwicza. Wykładana była nauka moralna i prawo w każdéj szkole inaczéj. „Trzeba zastanowić uwagę, — pisał w r. 1785 Jezierski — że co się

(1) Przydatek do obwieszczenia, dnia 15 marca roku 1776. Bez m. i r., 4-o karta.

nauki moralnéj tyczy, nie można jéj zupełnie spuszczać na rozum profesorów szkolnych, gdyż bardzo często trafia się, że nieroztropne wybieranie z autorów moralnych maksym ściąga krytykę na szkoły i na nauki, w szkole głównéj dawane; dla zapobieżenia takowym przypadkom byłaby rzecz istotnie potrzebna jak najprędzéj książki elementarne przyśpieszyć, a profesorów, na szkoły wyjeżdżających, dobrze z téj nauki doświadczać". Donosił wizytator w r. 1786, że „nauczyciele wymowy i prawa z upragnieniem wyglądają książek elementarnych". Do arytmetyki, geometryi i algebry używano w niektórych szkołach dzieł Wolffa; algebrze Lhuillier'a robiono zarzut, że „za obszerna i za droga". Logikę dawano z początku po łacinie według Dalham'a i Genuensa, w niektórych miejscach po polsku z Narbutta. Od r. 1784 korzystano z Locke'a w streszczeniu Cyankiewicza, w 1786 wchodzi w użycie zalecony przez Komisyę podręcznik Condillac'a, znany przecież tylko z odpisów. Do fizyki, oprócz wstępu Hubego, Rogalińskiego, Osińskiego i Lisikiewicza, korzystano z prac Dalham'a, Jana de Turre, Horvath'a i innych. „Trzeba — pisał w r. 1790 do szkoły głównéj Śniadecki — Prześwietnéj Komisyi przełożyć potrzebę przyśpieszenia książki elementarnéj w fizyce, ale potrzeba także roztrząsnąć uwagi obrad wydziałowych nad wstępem do fizyki. Bo jeżeli taki będzie kurs fizyki, jaki do niego jest wstęp, próżno będzie wyciągać uczniów na koszt kupowania książki, z któréj się nie nauczą tego, czegoby się nauczyć powinni. Wstęp do jakiéj nauki zawierać powinien wyłuszczenie tych początków posiłkowych, bez których nauka zrozumiana być nie może. Nie można dojść, co sobie założył autor w książce elementarnéj, pod tym tytułem wydanéj, gdzie pozbierał wiadomości bez porządku, bez celu, jedne fałszywe, drugie do niczego w fizyce służyć niemogące, trzecie takie, które w fizyce jeszcze powtórzyć i one dokładniéj tłómaczyć musi. W téj tak grubéj kompilacyi zamknął chaos rzeczy, przeszkadzające, nie pomagające do wyobrażenia sobie materyi i związku nauki. Nim atoli doczekają się szkoły książki elementarnéj w fizyce, sądziłbym za rzecz potrzebną, żeby szkoła główna poruczyła komu ułożenie porządku materyi, któregoby się profesorowie fizyki po szkołach byli obowiązani trzymać, przyłączając autorów, najlepiéj w każdéj materyi piszących i do nabycia łatwych". Do historyi naturalnéj używano przestarzałego Rzączyńskiego i Ładowskiego, do mineralogii we wszystkich prawie szkołach Kluka O rzeczach kopalnych. W instrukcyi dla wizytatorów w r. 1783 Komisya z książki Kluka uczyć wzbraniała. „Ponieważ książka elementarna w mineralogii dotąd nie wygotowana, a ledwo nie wszystkie szkoły

trzymają się w téj nauce dzieł x. Kluka, który, skądinąd wiele zasłużony, w mineralogii bardzo fałszywe i na niczem zasadzone opinie rozsiał; ostrzeże JX. wizytator wszystkie szkoły, ażeby nie szły za początkami, od tego autora danemi". Pomocą do wykładu botaniki, zoologii i mineralogii miała być ułożona z polecenia Komisyi przez profesora szkoły głównéj Jaśkiewicza, rozesłana po szkołach tabela. „Żadne prawie szkoły — pisał w r. 1786 Garycki — nie są opatrzone w książki stosowne do nauk wprowadzonych, osobliwie zaś zakonne bazyliańskie, które w niedostatku książek elementarnych chwytają się jakich mogą, a tém samém nie dopełniają zamiaru Prześwietnéj Komisyi".

Cierpiały też nauki przyrodnicze przez niedostateczne zaopatrzenie gabinetów fizycznych, brak muzeów i t. p. Z wyjątkiem warszawskich, krakowskich i lubelskich, szkoły akademickie nie posiadały dostatecznych pomocy naukowych. Błagali wizytatora w r. 1783 profesorowie w Kamieńcu o atlasy, globusy, dobry kątomierz, machinę pneumatyczną i elektryczną; to samo w 1789 czynili łuccy. Dopraszał się w r. 1786 Komisyi profesor fizyki w Kaliszu o mikroskop, machinę pneumatyczną i elektryczną, oprócz bowiem „dioptry, libelli, puszki magnesowéj, tudzież dwóch kijów w żelazo oprawnych, sznura konopnego i stołka drewnianego, bardzo nieregularnego", żadnych narzędzi szkoła nie miała. W Sandomierzu sala na narzędzia fizyczne, wylepiona „papierami, wyrażającemi figury geometryczne", ozdobiona była portretami królów francuskich i polskich, lecz instrumentów posiadała niewiele. W Winnicy w r. 1784 „fizyka żadnych nie ma instrumentów"; w Łęczycy profesor Maciéj Kubicki z własnéj na nie łożył kieszeni. W Pinczowie w r. 1784 „dla niedostatku instrumentów" wykładu geometryi i historyi naturalnéj nie było wcale. Zaopatrzeniu w najniezbędniejsze pomoce naukowe stawała szkołom bazyliańskim na przeszkodzie znaczna od Warszawy i Krakowa odległość. „Wiele szkodują na tém szkoły, — pisał wizytator w r. 1789—że.... nie można mieć kart geograficznych, ani instrumentów niemniéj do matematyki, jak do fizyki, a z teoryi saméj nie tak łacno dziatwę oświecić". Podnosił też wizytator w r. 1790 zasługę profesora w Barze ks. Augustyna Przybylskiego, że „opatrzył szkołę w niektóre machiny i na popisach doświadczenia z fizyki robił z ukontentowaniem rodziców"; wielbiono biskupa chełmskiego obrządku grecko-unickiego, Ważyńskiego, że w narzędzia różne, własnym sprawione kosztem, opatrzył bazylianów włodzimierskich (1). Wogóle w nie-

---

(1) Gazeta narodowa i obca z r. 1791, Nr. 12.

dostateczności pomocy naukowych wizytatorowie generalni główny widzieli szkopuł. „Edukacyą po szkołach narodowych —pisał Garycki w r. 1784 — całą prawie dotychczas zajmuje nauka rachunków, algebry, geometryi, do któréj nauczycielom i uczniom służą książki elementarne; nauka moralna, prawa, historyi, wymowy, fizyki, logiki dla niedostatku książek elementarnych, tudzież innych do tego zamiaru stosownych, mały pożytek uczącym się przynoszą". „Pokąd — donosił w r. 1787 Bogdanowicz — nie wyjdą książki elementarne na wszystkie przepisane nauki, pokąd biblioteki i muzea akademickie i zakonne nie będą opatrzone w książki i narzędzia stosowne do nauk wprowadzonych, nie można obiecywać jednakiéj i zupełnéj ze wszystkich szkół dla uczącéj się młodzi korzyści". Radził w r. 1786 Bogdanowicz, żeby historyę naturalną zawiesić, dopóki nie uformują się w szkole głównéj zdatni profesorowie i nie wyjdą podręczniki: „inaczéj szemrania obywatelów na niepotrzebę i niedokładność tych nauk nigdy nie ustaną, owszem bardziéj jeszcze się wzmogą;... i nauczyciele, nie mając ani książek elementarnych, ani wzoru uczenia, niewiadomość swoją coraz bardziéj będą rozszerzać i dawać okazyę do wyrzekań". Jakoż kazała Komisya wstrzymać naukę zoologii, która i najgorzéj traktowaną była przez profesorów i najwięcéj w obywatelstwie budziła sarkań.

Szkoły elementarne szwankować musiały dla braku funduszów i ludzi. Dyrektor chęciński miał w r. 1787 pensyi 200 zł. rocznie, zabezpieczonych na dziesięcinie w Mostach; bodzęcki 35, a z dodatkami obywateli dociągał do 70; jędrzejowski 70, kielecki i wiślicki po 60, szkalmierski 40, pinczowski 12! Wiele szkółek, jak w Szkalmierzycach i Wysocku, Dubnie i Równém dla braku funduszów upadło, w niektórych okolicach nie było ich wcale. Nie było ich w r. 1787 w łęczyckiem, z wyjątkiem Mazewa, wsi misyonarzy i Kutna, miasta podkomorzego sochaczewskiego Gadomskiego; nie dbali o naukę obywatele miasteczek, jak Pleszew i Słupia. „Zachęcałem JX. proboszcza i burmistrzów,—pisze wizytator w r. 1787 o Słupi—aby ku swemu dobru obmyślali sposób utrzymania dyrektora i myśl im Prześwietnéj Komisyi opowiedziałem;... nie znalazłem atoli żadnéj w téj mierze powolności". Publicystyka sejmu wielkiego obowiązek nauczania radziła włożyć na organistów pod kontrolą proboszczów i wikaryuszów, którzyby składali raporta Komisyi edukacyjnéj; na wyposażenie szkół parafialnych chciała obrócić część funduszów kościelnych (1). Bezimienny podsuwał sejmowi projekt do konstytucyi, aby przy każdym kościele istniała szkoła,

---

(1) Zgoda i niezgoda z autorem Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego. 1788, str. 18.

w którejby się dzieci uczyły pisma, rachunków i geometryi; radził wyznaczyć na to z dóbr duchownych po 2000 zł. i włóce gruntu, obrabianéj przez mieszkańców parafii (1). „Nie można spodziewać się skutku oświecenia pierwiastkowego młodzi,—pisał w r. 1792 do szkoły głównéj prorektor szkół pinczowskich, ks. Markiewicz—po miasteczkach i wsiach zostającéj, jeżeli zdatni do tego obowiązku dyrektorowie wybierani i od zwierzchności bliższych szkół akademickich uznawanymi nie będą. Zdatnych dyrektorów do takich szkółek nigdy nie będzie, jeżeli dla nich sposób pewny utrzymania się obmyślonym nie zostanie. Po wsiach i miasteczkach możnaby dla utrzymania dyrektora następującego użyć sposobu: niechby osoby wyznaczone były w jakim sposobnym czasie, umocowane do czynienia z dworami, urzędami i gromadami, osobne swoje parafie mającemi, celem zobligowania wszystkich szczególnych osad do czynienia rocznéj na dyrektora zbożowéj zsypki. Łatwo to pozyskać można będzie, gdyż w proporcyi ludności, pod parafią jedną zostającéj, ledwo ½ garnca lub kwarta na jedną przypadnie osadę. Takowa dobrowolna zsypka w miejscu ustanowioném, od dworu lub gromady czyniona, na wyżywienie dyrektora wystarczy. Co, zapisawszy, stałym dla dyrektora funduszem być może. Od rodziców zaś tych dzieci, które do szkoły chodzić będą, dyrektor osobnymi kwartałami, dziś jeszcze używanymi, na pensyą dla siebie kontentować się może. Dwory zaś i kościoły chętnieby obowiązek utrzymywania budynku szkolnego na siebie przyjęły, ile, iż wiele jest takich, które już pomimo tego przykładają się do podobnego zamiaru"... „Gdyby po wszystkich szkółkach—pisał znowu w r. 1786 Bogdanowicz—ustał dawny sposób uczenia i instruktorowie przedsięwzieli uczyć stosownie do przepisów i z dzisiejszego elementarza, trzebaby najprzód założyć szkoły dla samych plebanów, komendarzów, wikaryuszów, organistów, kantorów i innych, mających chęć uczenia przy farnych kościołach, aby naukę poznawania głosek i zgłoskowania, w tym elementarzu umieszczoną, tudzież początki rozmiarów, naukę rolniczą i ogrodniczą, wiadomości zachowania zdrowia ludzkiego, leczenia bydląt, handlu wewnętrznego itd. sami pojęli, dopiero inszych uczyli".

Niemniéj ważną dla usiłowań Komisyi zaporą była niechęć ex-jezuitów i zgromadzeń zakonnych. Groźniejszą była, niż brak ludzi i pomocy naukowych, udaremniała bowiem pracę Komisyi i przez atakowanie ducha reformy podkopywała jéj kredyt. Wojowano z Komisyą w szkole i poza nią. W szkole usiłowano utrzymać

(1) Projekt sejmowy z autora Zgoda i niezgoda wynikający. Bez m. i r. str. 16.

stary rzeczy porządek, a prześladowano ludzi, reprezentujących reformę; po za nią źle dla prac Komisyi usposabiano opinię, namawiano studentów do dezercyi, przeciwdziałano nauczaniem pokątném.

Dla łatwiejszego pogodzenia obywateli z reformą Komisya na posady rektorów, prefektów i prorektorów szkół akademickich mianowała wyłącznie osoby duchowne; profesorami byli ludzie stanu świeckiego, lecz w liczbie niewielkiéj. W r. 1789 na 482 nauczycieli w całym kraju przypadało 367 duchownych, 115 świeckich, licząc do ostatnich i 28 metrów języków (1). Na 33 szkoły akademickie w tym czasie przypadało właściwych profesorów świeckich 87, czyli na 15 koronnych—około 40. Stanowiło to połowę personelu szkół akademickich koronnych, które z wyjątkiem Pinczowa, Ołyki i Łucka miały już teraz po sześciu nauczycieli, a więc ogółem 81. Urzędowanie przy jednéj szkole profesorów świeckich z duchownymi wywoływać musiało zatargi, zwłaszcza, że według ustaw obowiązani byli wszyscy mieszkać w jednym domu i stół mićć wspólny. Odgrywały się istotnie sceny gorszące, które niemały Komisyi sprawiały kłopot.

W r. 1783 posadę prorektora w Sandomierzu zajmował ex-jezuita Józef Potoczyński; z sześciu profesorów czteréj byli ex-jezuitami, dwaj: Antoni Woliński i Domaradzki świeckimi. Potoczyński gorliwie szerzył pomiędzy uczniami kult jezuicki: Stanisława Kostkę z większą kazał czcić pompą, niż patrona akademików, Jana Kantego; w uroczystość pierwszego dwa wygłoszone były kazania, w święto drugiego poprzestano na jedném. Nie ograniczając się na uroczystościach, przepisanych przez Komisyę, zmuszał uczniów do obchodzenia świąt pojezuickich i odbywania przeróżnych praktyk z krzywdą dla nauki. Bractwa studenckie: *Bonae mortis* i *Cordis Jesu* codziennie śpiewały koronki i litanię, co „tak wiele zabawiało, jak dwoje nieszporów". W święta brackie, w piątki marcowe i postne wyznaczani byli uczniowie do klęczenia godzin w kościele, w dni szkolne wychodziły klasy parami na sumę. Reformę szkolną wyśmiewał. Gramatykę Kopczyńskiego ganił, a zalecał uczyć alwara; naukę moralną i prawo zohydzał. Tolerował nieuczęszczanie studentów na lekcye: „chciał pokazać, iż nie mogą ani takiéj korzyści z nauk, ani takiego posłuszeństwa pełnić osobom dwojakiego w zgromadzeniu gatunku, jak niegdyś". Niezmordowanie podkopywał kredyt Wolińskiego, profesora nauki moralnéj i prawa. Gdy

(1) Odpowiedź plebana na nowe zarzuty przeciwko duchowieństwu polskiemu 1789, str. 114.

Woliński ekscesa uczniów karcił, ksiądz prorektor pobłażał, chociaż „próżnująca młódź z hańbą szkół wiele poczyniła w mieście absurdów“. „Widoczne płochości młodzieży pobłażanie zdawało się być czynione tym końcem, aby ku sobie przywiązanie robić, a zniechęcić osoby, które nie sądziły być swoim obowiązkiem cierpiéć i znosić uczniów niesforność“. Kłótnie, które według przepisów miał prawo uspokajać i godzić profesor nauki moralnéj, oddawał Potoczyński przed sąd nauczycieli duchownych. „Rozsądzał je ex-jezuita, nie mający wyższéj nad profesora nauki moralnéj mocy, a to sam tylko, nawet w rzeczach większéj wagi, które za naradzeniem się całego zgromadzenia ułatwione być powinny... Chciano przez to ex-jezuityzm na górze postawić“. Czernił prorektor Wolińskiego w przytomności studentów. Idącego wytykał palcem „przekąsywając, że to... *togatus*, ufryzowany; w kościele go malował przed kanonikami za lokaja, podczas publicznego aktu szkolnego rzekł: nie mam tu dla akademika krzesła!“ Podburzano przeciwko Wolińskiemu miejscową palestrę, rozpuszczano po mieście wieści, że zostanie obity. Pomagał Potoczyńskiemu profesor matematyki, ks. Lachowski, który rozgłaszał, że na rok następny żadnego w szkole sandomierskiéj nie będzie akademika, tylko sami ex-jezuici (1). Oparły się te zatargi o Kolendowicza, który, wizytując Sandomierz w r. 1783, zabronił ex-jezuitom rozsiewania przeciwko Komisyi potwarzy i paszkwilów. Woliński przeniesiony został do Żytomierza, a miejsce jego zajął profesor świecki również, Kanty Gegembur.

W Żytomierzu, gdzie prefektem był ex-jezuita, Marcin Ancypa, skonstatował Kolendowicz w r. 1783 zaciętą niechęć ku akademikom krakowskim. „W pogardę—pisał—podane nowych nauczycielów z Krakowa lekcye... Dyrektorowie nie byli z powinną rekognicyą ku nauczycielom, z Krakowa posłanym, gdy, czy z namowy, jak twierdzili niektórzy, czy z przesądu innego słuchać ich lekcyi nie chcieli... Nie bardzo nauczyciele, posłani z Krakowa, odbierali wzajemną miłość i szacunek od niektórych tamtejszych dawnych“. Stąd też ksiądz nawet, profesor Antoni Tuczyński-Kapica prosił wizytatora o przysłanie do Żytomierza na prefekta osoby akademickiéj ze szkoły głównéj. „Kilkoletnie w zgromadzeniu tutejszém mieszkanie—skarżył się Kolendowiczowi—nauczyło mnie z doświadczenia, że póty w szkołach tutejszych rząd dobry kwitnąć nie może, póki w nim osoby ex-jezuickie, do dawnéj przyzwyczajone edukacyi, pierwszeństwo trzymać będą“. To samo znalazł Bogdano-

(1) Punkta WJX. Wizytatorowi generalnemu, tyczące się zgromadzenia sandomierskiego w r. 1783.

wicz w r. 1787 w Krzemieńcu: „nauczyciele żalili się na rządcę, że mało dla nich okazuje względności i uszanowania; toż rządca, jako pojezuita, a przytém porywczy, na nauczycielów, ile akademików“. Ów „rządca“ krzemieniecki, prorektor ks. Świebocki reformie przychylny nie był. Oskarżali go profesorowie, że książek elementarnych nie czytał, a synowca swego oddał do szkoły za kordon do Zbaraża, gdzie bernardyni uczyli alwara. Wogóle ex-jezuici „lubiący, według wyrażenia Jezierskiego, koniecznie znaleść różnicę między teraźniejszym a dawniejszym nauczycielów stanem“, niedobrą akademikom wyrabiali opinię i względem systemu Komisyi zachowywali się wrogo.

Szkoły zakonne profesorów świeckich, z wyjątkiem metrów, nie miały; znachodziły się przecież z Komisyą w kolizyi z powodu rozciąganéj nad niemi kontroli. Dla pewniejszego przeprowadzenia reformy zamierzyła Komisya wciągnąć do szkół téj kategoryi siły naukowe, wyrobione w uniwersytecie krakowskim, oczywiście z osób duchownych. Dobrze myślący bazylianie radzili mianować prefektów akademików dla wszystkich szkół zakonnych; Komisya jednak ograniczyła się na tych jedynie, w których zaniedbanie nauki było największe. Jakoż byli prefekci-akademicy w Trzemesznie i Rawie; w innych miejscach przyzwolić na nich zakonnicy nie chcieli. Komuniści węgrowscy wykazywali niestosowność tego, gdyby prefektem była osoba, nienależąca do ich zgromadzenia a tém więcéj człek świecki. Ostatecznie, pragnąc uniknąć ludzi z ramienia Komisyi, wysłali w r. 1787 na własny koszt „dwa subiekta“ ze swego zgromadzenia do szkoły głównéj krakowskiéj na naukę. Po odbyciu studyów i okazaniu zdatności, jeden miał zostać prefektem w Węgrowie, a drugi w Kielcach. Krzyżacy rawscy, zwłaszcza proboszcz i profesor zarazem, ks. Gotliński, prefektowi Porębińskiemu tysiączne czynił przykrości. „Stąd, żem wypędził ze szkół alwary i gramatyki pijarskie—donosił Porębiński Komisyi r. 1783—ganią z gruntu dzisiejszą edukacyę; obrzydzili ją obywatelom tak dalece, że dziś mówią publicznie, iż Prześwietna Komisya głupstwa jednego nauczać każe, że mądrych chce wygubić, że daremno na dzieci swoje ekspens łożą... Ks. Gotliński książki elementarne roztrząsa i mówi, że gramatyka nie jest ta, która być powinna do łacińskiego języka; że geometrya nie jest dobra, że jest źle po szkołach rozłożona... Krzyżaki z kołnierzyków akademickich szydzą, nazywając je rogami; rozkazy akademickie są dla nich jedynem udręczeniem i stąd najprzód zalecenie moje dla dyrektorów, na drzwiach kolegiackich przybite, któremu żaden z krzyżaków nie jest posłuszny, *stercore humano* zwalano; potém mandat rektorski, który miał trwać

przez wszystkie dni rządów JMci X. Rektora Kołłątaja wyśmiano, podziurawiono i drugiego dnia w nocy oderwano. Zgoła ile mogą, tyle akademikom w województwie różnemi sposobami szkalowania szkodzą, aby ich już na rok przyszły w Rawie nie było". Oskarżali ze swéj strony prefekta krzyżacy (1) i o usunięcie jego czynili starania, wszelako daremnie. W instrukcyi do wizyty w r. 1787 poleciła szkoła główna Garyckiemu oznajmić krzyżakom, że prefekt-akademik pozostanie przy ich szkole i nadal.

Społeczeństwo szlacheckie, wychowane w szkołach zakonnych, patrzało na nowy sposób nauczania przez szkła starych uprzedzeń i nietylko odmawiało Komisyi poparcia, lecz owszem przy każdéj sposobności manifestowało swą niechęć. Główną przyczyną niezadowolnienia był wadliwy, zdaniem jego, sposób uczenia łaciny. Raziło szlachtę, że zabawiano młodzież analizą form gramatycznych i okazowaniem zalet autorów klasycznych, zamiast zaopatrywać ją w najobfitszy zasób wyrazów i wprawiać w mówienie. Bardziéj jeszcze jątrzyło przytrafiające się tu i owdzie istotne ignorowanie przedmiotu, który w wychowaniu dotychczasowém miejsce zajmował naczelne, a w życiu praktyczném rolę grał znaczną (2). „Obywatele wszyscy—zawiadamiał w r. 1782 szkołę główną Kolendowicz —narzekają na zaniedbanie tego języka, iż edukowani synowie ich fortun i majątków tak swoich, jako i innych bronić nie będą mogli. Praw, pospolicie łacińskim językiem opisanych, znać doskonale nie będą, a dokumenta wszystkie z aktów publicznych drogo przepłacać....." Podczas wizyty Kolendowicza w roku 1783 w Lublinie sam wojewoda z palestrą i obywatelami publicznie i prywatnie zaniedbaniu łaciny w szkole przyganiał; ze wszystkich zakątków kraju dochodziły do szkoły głównéj wyrzekania na ten temat i skargi. W saméj rzeczy język łaciński, zwłaszcza w szkołach akademickich, stał nisko: przyznawali to wizytatorowie, najgorętsi rzecznicy reformy. Kolendowicz bronił systemu Komisyi, dowodząc „że łaciński język z większym być te-

---

(1) Zarzuty, czynione Porębińskiemu przez krzyżaków, wywołały następujący dokument: „Ja niżéj wyrażony zeznaję tym skryptem mym, jako JMC X. prefekt w domu moim nigdy dłużéj do godziny 7-éj, raz do 8-éj (i to bardzo rzadko się trafiło) bawił i jako w domu moim nigdy nie tańcował: w czym gdyby mi nie wierzono, gotów jestem każdego czasu to wszystko przysięgą potwierdzić. J. Goleniewski. R. M. R. D. 17 czerwca r. 1783". — (2) W Żytomierzu w r. 1782 wielu uczniów klasy czwartéj szkołę rzuciło. „Osobliwsza przyczyna była uczniom porzucenia klasy czwartéj, iż czyniący porządek w szkołach rządcy zapomnieli tam zostawić z przepisów P. Komisyi godzin dwóch na język łaciński, o co rodzice uczniów najwięcéj narzekali, iż wszystkie tam w polskim języku były lekcye."

raz powinien pożytkiem dla szczególnego wyboru autorów przedniejszych i większéj uwagi na słowa"; po odbyciu jednak egzaminu uznał słuszność zarzutu obywateli lubelskich. Dla pogodzenia szlachty z reformą usiłowano obecność łaciny w szkole manifestować i wykład jéj wzmocnić. W Ostrogu przy rozpoczęciu roku szkolnego 1783 jeden z profesorów wystąpił z mową łacińską. Ku rozproszeniu nieufności i obaw dowodził, że „narodowa edukacya za cel pierwszy ma język łaciński i ten nierównie łatwiejszym i użyteczniejszym, jak przedtém, daje sposobem". Rektor wydziału wołyńskiego, Słabniewicz „dla uprzątnienia przesądów o nieuczeniu w szkołach narodowych łaciny" szczególniejszą około jéj wykładu rozciągał baczność. Kolendowicz zalecał w r. 1783 rozmowy domowe uczniów z nauczycielami „słowami prawdziwie łacińskiemi, nie dzikiemi", a dla kontroli radził wyznaczać cenzorów. „Zgoła nauczyciele mają się starać jak najusilniéj, aby obywatele już więcéj odtąd nie mieli przyczyny żalić się o zaniedbanie łacińskiego języka". Pomimo tego wszystkiego narzekania nie milkły, bo téż i polepszenia istotnego nie było. Garycki w r. 1784, Jezierski w 1785, Bogdanowicz w 1786 fakt zaniedbania łaciny konstatowali w raportach swoich z naciskiem, tłómacząc go w części nieudolnością nauczycieli, głównie jednak zaniechaniem wprawiania w mówienie. „Uczniowie—pisał w r. 1787 Garycki—umieją tyle łaciny, ile się z tłómaczenia na pamięć nauczyli: używanie języka tego w mówieniu po wszystkich szkołach zaniedbane. Żaden uczeń nie jest w stanie rozmówić się po łacinie". Zwracano się z rozmaitemi do szkoły głównéj radami. Prorektor krzemieniecki proponował w r. 1785 wskrzeszenie dawnego zwyczaju zmuszania uczniów i profesorów do prowadzenia rozmów wyłącznie w języku łacińskim. Niektórzy pragnęli zastosowania łaciny do konwersacyi domowéj dla uczniów od klasy pierwszéj lub drugiéj. Garycki wystąpił w r. 1787 z projektem głębszym. „Jeżeli języka łacińskiego używanie w mówieniu jest potrzebne, jak jest powszechne żądanie obywatelów, potrzebaby wszystkie gramatyki w języku polskim i łacińskim wydrukować. Nadto ustanowić katedrę języka łacińskiego w szkole głównéj, aby profesor nietylko kawałki wyborne tłómaczył kandydatom i innym chcącym się uczyć i doskonalić po łacinie, ale żeby całą lekcye dawał w tym języku. Słysząc nauczyciela, mówiącego po łacinie, uczyć się będą od niego języka i iloczasu, którego nietylko studenci, ale nawet profesowie nie zachowują". Najodpowiedniejszym do téj katedry byłby Jacek Przybylski.

Jeżeli łacina wywoływała niezadowolnienie i troski, to historya naturalna usposabiała obywateli do szyderstw, zwłaszcza, że nie-

które jéj gałęzie, mianowicie zoologia, wykładane były pociesznie. Radzi byli, takie na popisie słysząc pytania: któréj z roślin pierwsze w ogrodzie należy się miejsce? jak szczepić, kożuchować, cechować, łączyć i przesadzać drzewa?; z zadowolnieniem dowiadywali się o zabezpieczeniu od zepsucia wody, o sposobie wyszukiwania źródeł i budowie studzien;—lecz za absurd mieli zaprzątanie młodzieży rzeczami, o których każdy wiedział bez nauki. Do zdyskredytowania historyi naturalnéj przyczyniała się nieudolność profesorów duchowych, często także zła wola. „Trafiało się,—pisał o szkole łęczyckiéj Jezierski—że na popisach wykładali część historyi naturalnéj, rozciągając umyślnie jedną materyą, ażeby uczniom o niczém z téj nauki nie dozwolić powiedziéć, a tem samem żeby nowo-przepisany sposób podać w ohydę. Raz zaczęli o gołębiach popisywać się; obywatele, słysząc to, udali się do szemrania: „a cóż to? czy to o gołębiach samych uczyć tylko będą?“ Na te utyskiwania obywatelów profesorowie, spuściwszy na dół oczy i pomieszawszy słowa z westchnieniem: „takie nam nauki przepisuje Komisya edukacyjna“...; lubo Komisya od lat kilku zniosła po szkołach dawanie z historyi naturalnéj *de regno animali*, a to przez wzgląd, że nauczyciele jeszcze nie umieją tego przedmiotu.“ Ex-jezuici skwapliwie chwytali ujemne strony nauczania historyi naturalnéj i demonstrowali publicznie. Kursowało w kraju pisemko z ilustracyą, przedstawiającą niedorostka wiejskiego, siedzącego na koniu tyłem do łba, trzymającego się za podniesiony ogon. Obywatele z upodobaniem czytali książeczkę, śmiejąc się i powtarzając: po co dzieciom mozolić głowy nad tém, że się konia za wędzidło lub za grzywę, nie zaś za ogon prowadzi, co wie każdy pastuszek? (1).

Niechęć z powodu łaciny i historyi naturalnéj podsycaną była wreszcie obawą skażenia młodzieży duchem niewiary. W r. 1776 obiegała w Łomży i okolicach pogłoska, że prowadzący szkołę pijarzy nie będą mogli wychowywać młodzieży bogobojnie, trzymać się bowiem muszą we wszystkiém rozporządzeń Komisyi (2). Jeżeli nie dowierzano znanym z reputacyi pijarom, to tém więcéj miano powodów powątpiewać o prawowierności akademików świeckich, nie mających za sobą żadnéj jeszcze tradycyi. Z powierzchowności i usposobienia nie zdradzali pochopu do ascetyzmu, posądzano téż ich o libertynizm skwapliwie. Młodzi, bo niedochodzący trzydziestek, zazwyczaj weseli, unikali stosunków dystyngowanych, lubili wyśmiać nieroztropne stare zwyczaje, osobliwie drwić z ex-jezui-

(1) Pamiętniki Kajetana Koźmiana. Poznań, 1858. I, str. 213.

(2) Biblioteka warszawska z r. 1861, t. I, str. 637.

tów, co im przyjaciół robić nie mogło. Swywoli dopuszczali się rzadko i najdrobniejsze przecież ekscesa zwracały uwagę. Profesor matematyki w Ołyce, Florkowski, bawił się na redutach „w obecności zacnych gości“, zaraz przecież skutkiem zakomunikowanych „zaświadczeń“ usłyszał od wizytatora wymówkę. Profesor fizyki w Łęczycy, Maciéj Kubicki „od natury dosyć ozdobiony“, pociągający ku sobie „nietylko serca uczniów, ale nawet i płci pięknéj“,.. nie uniknął nagany. „Zastanawiałem przełożonego uwagę i ostrzegłem, — donosił w roku 1787 szkole głównéj Garycki — aby nauczycielowi wolno było takowe stworzenia zdaleka respektować, nie oddając im wizyty“..... Wytoczono w roku 1787 profesorowi łuckiemu, Obmińskiemu, proces o bluźnierstwo przeciwko religii; oskarżano w 1790 nauczyciela prawa w Żytomierzu Antoniego Wolińskiego o farmazonię; więcéj jednak tego rodzaju wydarzeń nie było. „Lubo się z wielu stron dają słyszéć zażalenia, — pisał w roku 1787 Bogdanowicz — jakoby nauczyciele nie gruntowali uczniów swoich w nauce chrześciańskiéj, doprasza się wizytator, ile przeświadczony o zachowaniu ustawy względem nabożeństwa, aby szkoła główna chciała przełożyć Komisyi, iż podobne zarzuty, dążące na ujmę edukacyi dzisiejszéj, są płonne i krzywdzące zgromadzenia szkolne“. Faktem jest przecież, że się nie odznaczali „układnością“ w nabożeństwie, że do praktyk religijnych zapału wielkiego nie mieli. Nie uczęszczali na msze studenckie i nie asystowali w procesyach; nie należeli do bractw i nie manifestowali obecności swojéj przy konfesyonałach, a to było dostatecznem do obudzenia podejrzeń. Najbardziéj jednak razili obywateli ubraniem. Rzadko się ukazywali w sukniach kleryckich, *en abbé*, chętniéj we fraku, peruce i białych pończoszkach, co pamiętających nauczycieli, zawsze czarno i długo odzianych, nieprzyjemnie raziło. „Słyszałem sam,—pisał w r. 1789 o Łucku Muszyński—jako jedni obywatele przez nierozumną szykanadę nauczycielów lokajami nazywać odważyli się; drudzy niewinnie, bo przez prawdziwą nieświadomość, zapytywali, od któregoby byli dworu? Fraczek żadnego poważania nie jednał w tych stronach dawniéj, tém mniéj jedna go teraz... Gdy noszenie sukni kleryckiéj nie będzie obowiązywać nauczycielów do zostania koniecznie księżą, a powaga stanu nauczycielskiego, wziętość i szacunek u obywatelów, w tych osobliwie stronach, zdaje się koniecznie wymagać tego; sądziłbym za rzecz potrzebną, aby to zalecono było,—zapobiegając jednak, aby nauczyciele do asystowania procesyom, klęczenia godzin pociągani nie byli“.

Nie mając zaufania do szkół publicznych, kształcili obywatele synów swoich prywatnie. Majętniejsi zwłaszcza wyszukiwali dyrek-

torów do nauczania łaciny, zaszczepianiem zaś w dzieciach zasad moralnych zajmowali się sami. W Radomiu mało było uczniów w r. 1785 „jeszcze bowiem obywatelów kilku tego powiatu—donosił rektor wydziału pijarskiego—prywatną dzieciom swoim daje edukacyę; obiecują ich do szkół publicznych oddać, ale aż po założonych w domu dobrych (jako sobie próżno pochlebiają i czego im nie można z głowy wybić) łaciny fundamentach". „Po całym kraju zagęszczona" edukacya domowa przyczyną była, jak konstatował w r. 1787 Garycki, małéj liczby uczniów w szkołach publicznych. Unikanie ich przez obywateli majętniejszych było rzeczą powszechną; rzadkie wyjątki liczenia się ze szkołą publiczną podnosili wizytatorowie z tryumfem. „JW. Małachowski, wojewoda mazowiecki, w czasie wizyty wydziałowéj do Rydzyny przybył i prosił JX. prowincyała, aby syna jego prywatnie edukowanego, z nauk doświadczył; co się stało w zamku JOX. Imci ordynata. To gdym przeczytał,—pisze w r. 1789 Muszyński—przejęty zostałem słodkiem uczuciem i nie mogłem się od tego obowiązku uwolnić, abym do Morawicy, dóbr wojewody, nie wstąpił i nie podziękował za tak chwalebny przykład, innym obywatelom dany". Komisya zabraniała nauczycielom publicznym dyrekcyi domowéj, zakaz ten jednak nie pożytek przynosił, lecz szkodę. Nie mogąc mieć w domu nauczyciela ze szkół publicznych, szukali rodzice „po zakonach łacinników, sprzysięgłych nieprzyjaciół czystego światła i rozumu". Radził też w r. 1787 Garycki zakaz cofnąć, aby dać możność zbliżenia się nauczycielom publicznym do szlachty, ułatwić im wpływ na nią i stworzyć w ten sposób pomost pomiędzy obywatelstwem a szkołą.

Ci z obywateli, którzy nie byli w stanie łożyć na edukacyę domową, wyprawiali dzieci po za granicę kraju. Z okolic, a nawet z samego Lublina posyłali—do Zamościa i Lwowa: „gotowi jednak—pisał w r. 1783 Kolendowicz—wrócić tęż młodzież do szkół ojczyzny, jeżeli łaciński język będzie przywrócony, w którym obronę praw, majątków i fortuny swojéj mają zamkniętą". Wołynianie dostarczali młodzieży szkole zbaraskiéj, do któréj bernardyni przynęcali przyjmowaniem uczniów niepatentowanych i wykuwaniem alwara... Z województw wielkopolskich z uszczerbkiem Wschowy, Trzemeszna, Poznania, Rawy i Torunia jeździła młodzież „po łacinę" na Śląsk do pogranicznego Głogowa lub do pruskiéj Bydgoszczy. Bardziéj oddaleni od granicy wybierali dla dzieci taką szkołę publiczną, w któréj uczono więcéj łaciny lub całkowicie trzymano się systemu starego. Ziemianie z nad Nidy, chociaż mieli szkołę podwydziałową w Pinczowie, oddawali synów do komunistów w Kielcach „dla języka łacińskiego, którego według dawnych przepisów i gramatyki uczy-

li“. Młodzież z okolic Rydzyny i Wschowy odwiedzała niezajęte pod jurysdykcyą Komisyi czteroklasowe szkoły kalwińskie w Lesznie. Uczęszczało do nich dwudziestu kilku synów obywatelskich religii katolickiéj z wielkim dla wizytatorów zgorszeniem. „Ubolewać trzeba—pisał prefekt wschowski Drzewiecki—nad przesądem tych obywateli, którzy dla złego uprzedzenia o dzisiejszéj krajowéj edukacyi więcéj ufności zakładają w profesorach kalwińskich, niżeli w katolickich, przez zwierzchność wyznaczonych i pilnie doglądanych.“

Najwięcéj jednak oddawano do szkół pokątnych, utrzymywanych wbrew zakazowi Komisyi. „Gdziekolwiek wizytator — opiewała instrukcya Komisyi z r. 1783 — znajdzie szkoły publiczne otwarte i utrzymywane przez zgromadzenia zakonne bez aprobacyi Komisyi, najprzód wizytować one starać się będzie. Po wizycie przełożonym zakonnym doniesie wolę Komisyi, iż szacując w osobach zakonnych chwalebną chęć służenia krajowi przez edukacyę publiczną, zostawuje onymże wolność utrzymywania szkółek parafialnych, w których czytania, pisania, oraz rachunków i rozmiarów początki dawać mogą, nie wdając się bynajmniéj w uczenie wyższych nauk, na klasy podzielonych. Inaczéj takowe szkoły zakonne, nie podług rozrządzenia Komisyi i przepisów od niéj wydanych utrzymujące się, z kończącym się rokiem szkolnym zamknięte mieć chce“... Pomimo tego zakonnicy i księża, niekiedy osoby świeckie, wyzyskując niezadowolnienie obywatelstwa ze szkół publicznych, prowadziły naukę wedle systemu dawnego nad program i mnóstwo do siebie ściągały dzieci. W samym Krakowie wielu księży z uszczerbkiem szkół parafialnych i podwydziałowych nauczało prywatnie. W r. 1788 mansyonarz Łapsiński, odmawiając uczniów od szkół publicznych, miał ich na stancyi u siebie dziesięciu; wikary przy kościele katedralnym Synowczyński „własną powagą“ uczył prywatnie. „Uczą nawet retoryki i tak ich podług swego mniemania wydoskonaliwszy, albo rodzicom za wyedukowanych oddają, albo naprzykrzają się zwierzchności szkolnéj, aby ich przyjęła prosto do trzeciéj klasy“. Przy szkole Wszystkich Świętych jakiś Biernacki, dawniéj lokaj, otworzył konwikt prywatny, w którym kilkanaścioro dzieci trzymał: „miały zachodzić ważne instancye niektórych osób kapituły krakowskiéj do szkoły głównéj, aby się mógł utrzymać przy téj prywatnéj dyrekcyi“. Kwiatkowski, szynkarz, dziesięciu chłopców uczył nad program, podobnież komunista u św. Tomasza. W seniorze szkoły parafialnéj u św. Ducha, księdzu Markiewiczu, widział wizytator w r. 1788 „skrytego i misternego protektora przesądów dla przypodobania się zape-

wne osobom nieprzyjaznym reformie". Poszlakował go o dyskredytowanie Komisyi i przyczynienie się do prowadzenia w wielu miejscach szkółek prywatnych. Toż samo się działo na prowincyi. W Opatowie uczyli bernardyni, w okolicach Chełmu i Lublina „po miasteczkach miały się zagęścić szkoły, w których księża uczą dawnym sposobem". Reformaci z Miejskiéj Górki wiele młodzieży odbierali szkołom rydzyńskim, krzyżacy z Wąglczewa kaliskim, franciszkanie z Radomska wieluńskim, mianowany przez kapitułę dyrektor gnieźnieński — trzemeszeńskim. Używał wszystkich gramatyk, wykładał poetykę i retorykę, a miał w r. 1785 uczniów 150. Jako postanowiony od kapituły gnieźnieńskiéj, w niéj tylko widzący zwierzchność, zachowywał się względem wizytatorów zuchwale. Krusińskiemu w r. 1789 oświadczył, iż ma zakaz, aby się pod niczyją nigdy wizytę nie poddawał bez wyraźnego kapituły pozwolenia i żeby się z niczego, zapytany, nie sprawiał. W Lesznie „dyrektor jeden z Kościana, z wyraźnego zlecenia rektora wydziału wielkopolskiego skasowany, nająwszy sobie całą kamienicę, ma uczniów szlacheckich dwudziestu, których uczy alwara". W Sieradzu ex-jezuita w r. 1783 utrzymywał na stole kilkunastu konwiktorów; w Rawie krzyżak, ks. Gotliński, chociaż był profesorem miejscowéj szkoły podwydziałowéj, „paniczów... w domu swoim gustem uczył geometryi", a przeor augustyanów, który „z profesyi swojéj jak cygan zawsze się włóczy po województwie", reformę szkalował. Bernardyni—pisał w r. 1791 Popławski — zaczęli uczyć w Skępem, wsi JMPani Zielińskiéj wdowy, podczaszyny różańskiéj. Za hasłem konstrukcyi, wedle alwara dawanéj, przeciągnęli do siebie już nauczyciele bernardyńscy blisko do 60 uczniów w tym roku ze szkół płockich i należy się obawiać, aby ich coraz daléj więcéj nie przechodziło. Dawniejsze nawet uprzedzenia przez takowe otwarcie pokątne szkół coraz bardziéj rozszerzać się mogą z krzywdą światła narodowego i użyteczności nauk rzetelnych" (1). W Żurominie zastał Jezierski w r. 1785 trzystu uczniów, okrzesywanych w gramatyce, poetyce i retoryce przez reformatów. „Ta bałamutna szkółka — podawał w raporcie—bardzo ciężko, aby mogła być poprawiona... Już kilka razy reformaci upominani byli od Komisyi i od wizyt, lecz się nie poprawiają"... W r. 1789 radził Krusiński najenergiczniejszych względem niéj użyć sposobów. „Daje się dosyć we znaki, pisał, szkołom publicznym. Jeżeli Prześwietna Komisya nie użyje wszelkiéj mocy i powagi, aby przykładnie ukarać tak publiczne zgorszenie, zapewne będzie coraz więcéj

(1) Łukaszewicz l. c. IV, 194.

przybywać takich gniazd, gdzie się najszkodliwsze lęgną uprzedzenia. Już niegdyś ta szkoła była wizytowaną z wyraźnego rozkazu JO. Xcia Prymasa, ale ci Ichmość, niepoprawieni, nietylko chodzą po jałmużnie i kweście, ale razem zwodzą rodziców, którzy na hasło dawnéj edukacyi oddają chętnie swoje dzieci z szkodą narodu nigdy niepowetowaną". W Ciechanowie uczył augustyanin i łącznie z reformatami żuromińskiemi szkodził szkołom pułtuskim, płockim i łomżyńskim; misyonarze w Siemiatyczach, mający w r. 1785 uczniów 160, oraz ich koledzy tykocińscy wchodzili w drogę drohickim i łukowskim. Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie zakonników „apostołujących" przeciwko reformie było bez liku. W Łucku w r. 1789 nauczali prywatnie trynitarze, dominikanie, karmelici i wikaryusz katedralny; w Kamieńcu różni zakonnicy i ex-jezuita Malczewski; w Winnicy kapucyni i dominikanie „którzy (pisze Krusiński w r. 1788), pomiędzy wielu nieoświeconemi zrobiwszy sobie zaufanie, na złe go używają, gadając przeciwko naukom i ich układowi, którego najmniéj znają". W Brahiłowie trynitarze, uczący nad program, w Tulczynie dominikanie, w Janowie bernardyni szkodzili szkołom szarogrodzkim i winnickim. W Turzysku w r. 1787 było uczniów 60, podzielonych na trzy klasy „aby, nie udając się do szkół podwydziałowych lub wydziałowych, mogli całą nabyć edukacyę". Uczyli się więc jeometryi, algebry, logiki i etyki, po łacinie dyktowanych z dzieł Wolffa; języka francuskiego i niemieckiego, gry na skrzypcach i instrumentach dętych. Założona przez Stadnicką, starościnę balińską, zostająca pod nadzorem karmelitów bosych, a prowadzona przez dwóch dyrektorów szkółka w Kupinie ściągała sporo, bo do 100 synów szlacheckich. Dyrektorowie: jeden od bazylianów z Buczaca, drugi od bernardynów ze Zbaraża uczyli alwara. Chciał szkółkę kupińską rektor szkół kamienieckich zamknąć, — pani Stadnicka zwróciła się z prośbą do Komisyi i fundacyę swoją zdołała utrzymać. „W konstrukcyi—pisał o niéj wizytator w r. 1789 — znalazłem babilonią, bo jedni z alwara po łacinie, a drudzy uczyli się z gramatyki pijarskiéj po polsku; lecz niemniéj pierwsi, jak drudzy bez przysposobienia i objaśnienia do rzeczy trafić nie mogli. Toż mówić o historyi, w któréj dyrektorowie nie są biegli, toż o geografii, do któréj map nie mają". W Niemirowie, gdzie kosztem Potockiego podkomorzego kor. kształciło się dwunastu kadetów, w r. 1787 zastał wizytator pięć klas, tyluż nauczycieli, a 168 uczniów. Prowadził szkołę, nie zachowując przepisów Komisyi, pijar Szaczyński. Wałęsali się .....za nauczaniem prywatném pijarzy „z ujmą powagi zwierzchności edukacyjnéj i szkół publicznych". Twernicki i Speliński

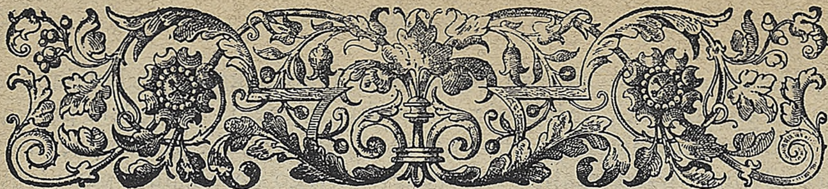
włóczyli się po dworach szlacheckich, Stroiński uczył pokątnie w Krzemieńcu. „O wielu innych nieznanych — pisał Bogdanowicz w r. 1787—słyszę i opowiadają JXX. pijarowie, których radziby albo do zakonu zgromadzić powagą któréjkolwiek zwierzchności, albo sekularyzowanych oglądać, aby pod ich imieniem nie ohydzali stan edukacyjny i zgromadzenia swojego. Jeżeli P. Komisya skuteczniejszych nie użyje kroków do zniesienia instrukcyi prywatnych, mianowicie przez osoby duchowne świeckie i zakonne utrzymywanych, trudno będzie wykorzenić uprzedzenie o dzisiejszéj edukacyi i jednać dla niéj powszechną wziętość u wszystkich obywatelów". Przesądy szlachty wiernego miały sojusznika w ciemnocie kleru; obywatele z duchowieństwem formowali rodzaj sprzysiężenia, mającego na celu podkopywanie reformy. „Tem pewniéj i prędzéj — pisał w r. 1783 Garycki — należałoby się spodziewać pożądanych korzyści z dzieła edukacyi narodowéj, gdyby nie musiało przechodzić przez te trudności i przeszkody, przez które przeszły wszystkie inne dzieła w najwyższym stopniu dziś doskonałości będące. Tym chwalebnym zamiarom przeszkadzają sami obywatele, dawnym sposobem uprzedzeni, a często od osób duchownych, najczęściéj od zakonnych poduszczeni"... „Wszystkie zlecenia—pisał znowu w r. 1786 Bogdanowicz—mało co pomogą, pokąd duchowieństwa i obywatelów przesądy o dzisiejszéj edukacyi nie ustaną i powagą zwierzchności, mianowicie duchownéj, uchylone nie będą. Nasze bowiem duchowieństwo tak świeckie, jak zakonne największą sprawuje przeszkodę do zaludnienia szkół publicznych, gdy albo sami, albo przez organistów i dyrektorów najemnych utrzymują przy kościołach i klasztorach dawny sposób uczenia, jakoby był dokładniejszy od dzisiejszego, dokąd obywatele synów swoich chętnie oddają, a przez to szkoły publiczne drobnieją. Rektorowi zaś lub prorektorowi, gdy się kiedy wydarzy odwiedzić którą szkółkę, albo go rządca kościelny nie przypuści do wizyty, grożąc mu jeszcze strasznym sądem Boga samego za zepsutą w kraju edukacyę przez nowo-wynaleziony sposób uczenia, albo go tylko grzecznością odbędzie. Nie widzi wizytator sposobu skuteczniejszego do zaradzenia téj nieprzyzwoitości, przynajmniéj po kościołach farnych i klasztornych, tylko żeby JO. Książę JMC Prymas, zniósłszy się z krajowymi biskupami, chcieli wszyscy po swoich dyecezyach uniwersałami i pod karami najprzyzwoitszemi zakazać proboszczom, plebanom, komendarzom, wikarym i innym z duchowieństwa świeckiego i zakonnego, aby się nie ważyli przy swoich kościołach, klasztorach lub przy domach prywatnych uczyć łaciny jakimkolwiek bądź sposobem. Dziekanom zaś, jako wizytatorom dekanatów swoich

i plebanii, zalecić surową egzekucyę tego zakazu, wglądając we wszystkie szkółki, jeżeli się pasterskie zlecenia wszędzie pełnią; i gdyby zwierzchność duchowna raz tylko ukarała przestępcę, a to przykładnie, wstrzymaliby się drudzy od tego heroizmu i pewnieby się w nich zaspokoiła troskliwość o język łaciński. Dopiéroby wizyty wszystkie były skuteczniejsze, teraz zaś ledwie który ośmieli się wizytować szkoły tak, jak przepisy każą, — chyba w dyecezyach JO. Xcia JMci Prymasa, — obawiając się jakowéj nieprzyzwoitości z strony utrzymujących dawny sposób uczenia"...

Demoralizująco wreszcie oddziaływali na obywatelstwo i tak zwani dyrektorowie, zazwyczaj uczniowie klas wyższych, którym rodzice powierzali nad lokowanemi po stancyach dziećmi opiekę. Po większéj części hultaje, zamiast używać książek elementarnych, przechowywali po stancyach alwary; buntowali przeciwko reformie rodziców, namawiali uczniów do dezercyi. „Gdyby — pisał w r. 1782 Hołowczyc — dyrektorowie, przyuczeni do alwara, opacznie o naszych księgach elementarnych nie wmawiali rodzicom, zapewneby krzywe uprzedzenia, zwłaszcza względem łaciny, niemiały tyle miejsca, a pożądane światło brałoby wzrost prędszy". Konstatował w r. 1783 Kolendowicz, że uczyli po stancyach z alwarów; „byłaby — pisał — większa według nowego ułożenia doskonałość, tylko dyrektorowie jeszcze w przesądach dawnych utrzymują rodziców i dzieci i to się wszędzie dzieje". „Dyrektorowie — donosił o Kielcach w r. 1784 Bogucicki — wcale się pokazali niezdatnymi do instrukcyi dzieci w naukach, od Komisyi przepisanych, mając czas i głowę zajętą logiką i metafizyką... Dla przesądów i uprzedzenia przez dyrektorów, niektórzy rodzice, pobrawszy dzieci ze szkół formalnych, utrzymują synów po domach". Pijarzy chełmscy prosili w r. 1783 Kolendowicza, aby dyrektorowie mogli być karani plagami „bo gdy sąd ich potyka na oddalenie od kondycyi, oni... zmyśliwszy różne nieprzyzwoitości przeciw rządcom szkół, do tego przywodzą rodziców, że ich z dziećmi swemi biorą i w domu edukują".

(*D. n.*) *Władysław Smoleński.*





Z POEMATU

„CHRYSTUS".

I.

U stóp cysterny w Sychar.

I polem judzką opuściwszy ziemię,
Skierował krok swój ku ojczystéj stronie,
Gdzie Nazarejski gród w spokoju drzemie.

A była spieka... Słońce żarem płonie;
W drodze dalekiéj opuszczają siły
I pot wystąpił mistrzowi na skronie,

A szedł łanami, co przekleństwem były
Na ustach żydów, gdyż zakonu słowa
W sercu Samaryi już dawno nie żyły....

Szedł i na piersi opadła mu głowa;
I cała postać łabędziéj urody
Jako kłodzina chwieje się palmowa.

Zapewne dumał nauczyciel młody,
Dla czego ludzi rozprzęgły zakony,
I jakby wspólne zgotować im gody.

I tak myślami i drogą znużony,
Gdy się przybliżał pod mury Sycharu,
Usiadł na stopniach cysterny żłobionéj.

A oto palmy chronią go od skwaru,
Porosplatane rozpuściwszy włosy
Nad tą postacią, tonącą śród czaru:

Albowiem dołem lśnią kwieciste wrzosy,
Na które słońce zlewa ogień złoty;
A tam po nad nim błękitne niebiosy

Porozpinały szafirów namioty.
Tak przezroczyste, jak cysterny fale,
Owitéj w bluszczu nieskalane sploty.

I zdało mu się, że serce w krysztale
Zatopił całe i że dusza wzrasta
W nadziemskim czarze i w nadziemskiéj chwale.

A w tém od strony niewiernego miasta,
Bosa i z krużą miedzianą na głowie,
Jakaś ku studni zbliży się niewiasta.

I mistrz wnet ku niéj zwróci się i powie:
„Pozwól mi napić z twojego się dzbanka,
Pragnę, a w drogi-m dopiero połowie“...

I zadziwiona tém samarytanka—
„Azaż żydowi pić z nieczystéj kruże?“
Rzecze, pańskiego zmierzywszy baranka;

„Wy w Jeruzalem, a my na téj górze
Chwalimy Pana zwyczajem odmiennym,
Więc nie tą stroną czynić ci podróże“...

A Chrystus wzrokiem spocząwszy płomiennym
Na jéj obliczu, do niewiasty rzecze
Głosem, co płynie strumieniem, brzemiennym

W słodkie rozdźwięki; dźwiękiem, który ciecze
Jako ten ruczaj, gdy rozpłyną lody;
Albo tak bije, jak serce człowiecze,

Gdy zakosztuje rozkosznéj swobody
I w niebo rwie się swobodnemi pióry—
„Przyjdzie“, powiada, „o przyjdzie czas zgody!

I nie Garizim ani święte mury,
Lecz *duch* człowieka w świątnicę się zmieni,
I *ducha* sławić będą *duchów* chóry...“

. . . .

II.

Ścięcie Jana Chrzciciela.

A w owe czasy nad mistrza krainą
Ręka obcego władnęła tetrarki—
I słychać jęki, i łzy słone płyną:

Dumne potomków machabejskich karki
Gną cię ku ziemi i wolni przed laty
Znoszą dziś jarzmo, wtłoczone na barki.

A Antypater, ufny w swoje katy
I w stal toporów, święte prawa kruszy,
W gwałt i bezwstydną lubieżność bogaty.

I chuć powstała w rozkiełznanéj duszy,
Żony krewnego zapragnął do łoża,
I biada temu, kto się przeciw ruszy...

A był tam człowiek, któremu myśl boża
W sercu napomnień gromkie słowo płodzi:
Pragnął prostować narodu bezdroża.

I tak się działo, że pod mur przychodzi
Królewskich zamków i jak piorun woła:
„Wszak żony brata posiąść się nie godzi!..“

Słyszał lubieżnik i namarszczył czoła
I pchnął proroka do ciemnéj piwnicy,
Gdzie śliskość chłodu i wężów do koła.

A potém z bladym bezwstydem w źrenicy
Usiadł ten zbrodniarz w królewskiéj purpurze
Do świetnéj uczty w iskrzącéj izbicy—

Z północy bowiem alabastrów kruże,
Wonnych olejów błyskając płomieniem,
Czynią południe, w którém żar i róże

Tumanią zmysły swém lubieżném tchnieniem—
I cudzołożna, mając rany w łonie,
Jaką jéj prorok zadał napomnieniem,

Nad uchem króla pochyli swe skronie,
Żądając śmierci boskiego wybrańca...
Lecz Heród bał się i w rozmysłach tonie.

W tém do biesiadnéj komnaty, kagańca
Pozłocistymi obrzucona blaski,
Pośród zatoczeń wirujących tańca,

Jak owe w baśni wyśnione obrazki,
Wsunie się lotem cudowna dziewczyna,
Związana skrawkiem przejrzystéj przepaski:

Tańczy i członki rozkosznie wygina,
Odrzuca gazę i tańczy... i płowe
Rozwiewa włosy i tańczy... Jak trzcina,

Ujęty w bioder pierścienie perłowe,
Gdy tak wciąż tańczy, jéj biust się chwieje...
Pod bok się ujmie i tańczy... I głowę,

Z któréj się zapach spikanardu leje,
To w tył to naprzód przechyla i tańczy...
A warga płonie, a oko się śmieje,

Rozlubieżnioną widza chucią niańczy,
Aż spłoną wargi, zaśmieją się oczy
Tych łan żydowski niszczących szarańczy...

I król, gdy przedeń Salome zatoczy
Swe kształty lotne i z wdziękiem je nagnie,
Wyrzeknie winem i czarem ochoczy:

„Niechaj twe serce, czego chce zapragnie,
Oddam ci nawet królewskie dzierżawy—
Albo w płomiennéın niech Gehenny bagnie

Duszę zatopię!...“ I pewna swéj sprawy,
Naga i cała światłością oblana,
Przed nim, gdy tonie w zapachu, co, mdławy,

Płynie z jéj splotów, padnie na kolana
I rzecze, pomna matczynéj nauki:
„Każ na półmisku przynieść głowę Jana“.

I tak z rozkazu téj rozkosznéj suki,
Co w kraśnych ustach miała jadu ślinę,
Ciało proroka rozcięto w dwie sztuki...

A gdy mistrzowi przyniosą nowinę,
Że z rąk oprawcy padł ten człowiek boży,
Na twarz mu smutki wystąpiły sine...

I było równe znikającéj zorzy
To Jego lice, tonące w pomroce
Żalów przecichych... i ten przebłysk hoży,

Co pod powieką jak gwiazdy migoce,
Gasł, jak te gwiazdy, na pochmurném niebie,
Gdy burza idzie, tracące swe moce

Rozpromienione... I czuł jak się grzebie
Dusza wśród zmroku obrazów przeczutych...
Noc była ciemna... i zobaczył siebie

W środku osłonek, z czarnych chmur zesnutych,
Mrącego śmiercią zwyczajnych zbrodniarzy:
Krew sączy z boku, z nóg i rąk przekłutych...

Dreszcz go przechodzi; jednak duch się żarzy
Męczeństw nadludzkich żądzą płomienistą...
. . . .
. . . .
. . . .

Jan Kasprowicz.





SPIRYTYZM.

Spirytyzm znamy zaledwie z posłuchu. Był wprawdzie czas, kiedy i u nas zajmowano się nawet dość zapamiętale kręcącemi się stolikami. Praktyki te atoli uważano właściwie za zabawkę, nie zaś za doświadczenia, któreby miały na widoku jakieś wyższe cele. Była to po prostu moda, która też wkrótce sprzykrzyła się. A jakkolwiek przed kilkunastu laty praktyki spirytystyczne wznowiono we Lwowie i ich zwolennicy zorganizowali się nawet w osobne stowarzyszenie, mające swój organ, w którym zdawano sprawę z posiedzeń i za pomocą którego ogłaszano światu kwintesencyą mądrości nóg stołowych; praktyki te przecież długo nie trwały. Stowarzyszenie naszych spirytystów, spotykając na około siebie obojętność, a co gorsza szyderstwo lub politowanie, nie wytrzymało próby śmieszności—i rozwiązało się. Niemniéj jednak tu i owdzie znajdują się jeszcze wyznawcy nowéj nauki, którzy bądź jawnie, bądź cichaczem usiłują za pomocą duchów przeniknąć tajemnice przyszłości, albo też nowe światło rzucić na przeszłość dziejową. Tego przynajmniéj domyślać się każą ogłaszane drukiem od czasu do czasu tłómaczenia broszur, a nawet dzieł, odnoszących się do spirytyzmu. Bądź-co-bądź, propaganda mądrości zagrobowéj nie zrobiła, jak dotąd wielkiego postępu u nas.

Czy mamy w tym fakcie upatrywać dowód trzeźwości rozumu naszego społeczeństwa, czy może zwykłéj obojętności na wszystko, co przechodzi zakres codziennych potrzeb życia, lub lenistwa umysłowego, które nas czyni niezdolnymi do zajęcia się czémś dłużéj i pracowania wytrwale w jednym kierunku? Mówić w tym wypadku o trzeźwości rozumu naszego, znaczyłoby to zamykać dobrowolnie oczy na wszystkie te błędy, jakie popełnialiśmy i popełniamy na każdym kroku tak w życiu publiczném, jako też prywatném. Z tém wszystkiém niesprawiedliwością byłoby tłómaczyć niepowo-

dzenie spirytyzmu w naszém społeczeństwie samą tylko obojętnością naszą na wyższe zagadnienia życia i lenistwem umysłowém. Właściwą przyczyną niepowodzenia spirytyzmu u nas, ale przyczyną, która bynajmniéj nie wyklucza nadmienionych powyżéj, lecz się łączy z niemi we wspólném działaniu, jest współzawodnictwo spirytyzmu ze spirytualizmem chrześciańskim w panowaniu nad duszami ludzkiemi.

Spirytyzm w gruncie rzeczy nie różni się od spirytualizmu chrześciańskiego. Oba one są przedewszystkiém wiarą w świat zagrobowy i w możność porozumiewania się z duchami. Ale kiedy podług nauki chrześciańskiéj objawianie się duchów dzieje się za przyzwoleniem bożém i uważa się, jako łaska niebios, które w ten sposób udzielają ludziom napomnień i wskazówek, w celu ich umoralnienia, albo pokrzepienia w ciężkiéj walce z pokusami ziemskiemi; to spirytyzm czyni zależném pojawienie się duchów od woli i kaprysu każdego, a przynajmniéj od warunków czysto fizycznych, już to od pewnych praktyk, jak to ma miejsce w doświadczeniach ze stolikami, ekierkami i t. d., już to od jakiejś nieznanéj siły, właściwéj pewnym tylko osobnikom, ale siły czysto organicznéj. Dla społeczeństwa, jak nasze, w którém uczucie religijne dość silnie było i jest rozwinięte, które nadto z pewnym pietyzmem przechowuje wszystko, co mu się w spadku dostało po jego przodkach, dla takiego społeczeństwa spirytyzm ze wszystkiemi swemi praktykami musiał się wydać prostém błazeństwem w porównaniu z kultem kościoła katolickiego. Gdy przytém zważymy, że księża energicznie wystąpili przeciwko spirytyzmowi, ogłaszając go za herezyą, ubliżającą Bogu i kościołowi, zrozumiemy łatwo, dla czego wszelkie próby i usiłowania zaszczepienia na naszym gruncie praktyk spirytystycznych doznały najzupełniejszego niepowodzenia.

Inaczéj mają się rzeczy w zachodniéj Europie i w Ameryce. Spirytyzm cieszy się tam wielkiém uznaniem. Już nie na setki, ani na tysiące, ale na setki tysięcy liczy on swych wyznawców we Francyi, w Anglii i w Ameryce. W samym Paryżu ma ich być około 200,000. Napotykają się oni nietylko w masie ludności o średniém wykształceniu, ale nawet pomiędzy ludźmi, którzy zajmują wysokie stanowisko w świecie naukowym, jako decydujące powagi we właściwym sobie zawodzie. Do nich należą np. Crookes—znakomity fizyk, Wallace — zoolog i podróżnik, Zellner — astronom i wielu innych. Tu dopiéro doświadczenia spirytystyczne przybrały charakter poważnych badań, mających na celu nietylko nagromadzenie faktów, ale i ich wyjaśnienie, ocenienie ich znaczenia i stosunku do zagadnień rozumu. Posuwając swe do-

świadczenia jak można najdaléj, starano się jednocześnie nawiązać je z doświadczeniami do dziś dnia praktykowanemi na Wschodzie — i w ten sposób, wykazawszy ciągłość usiłowania ludzkości w danym kierunku, dowieść, że spirytyzm nie jest przywidzeniem, któregoby źródłem miał być chorobliwy stan umysłu, ale faktem, którego przyczyny potrzeba szukać w naturalném usposobieniu umysłu, oraz w pewnych nieznanych nam dotąd zjawiskach rzeczywistości. Ażeby dać pojęcie o ruchu, jaki panuje między spirytystami, dość będzie nadmienić, że wydawanych przez nich pism peryodycznych, za pomocą których starają się szerzyć swe wyznanie, jest, względnie rzeczy biorąc, ogromna ilość. W języku francuskim wychodzi ich 13, w angielskim—27, w hiszpańskim—36, w niemieckim—5, w portugalskim—3, we włoskim—2, w rosyjskim—1. W Buenos-Ayres wychodzi dziennik spirytystyczny francusko-hiszpański, a w Ostendzie — francusko-flamandzki. Ruch ten nie mógł nie zwrócić na siebie uwagi ludzi naukowych, zachowujących się dotąd albo obojętnie, jeżeli nie wzgardliwie wobec zjawisk spirytystycznych, albo wyczekująco i z niedowierzaniem. Wskutek tego zawiązało się w Londynie towarzystwo, które położyło sobie za zadanie zbadać za pomocą metod ściśle naukowych, ile jest prawdy w znanych dotąd faktach spirytyzmu. Jest niém mianowicie Towarzystwo badań psychologicznych, którego prezesem był zmarły niedawno Balfour-Stewart, jeden ze znakomitszych fizyków angielskich. Takieżsamo towarzystwo powstało także i w Ameryce. Sumienne, wolne od wszelkiego podejrzenia badania owych towarzystw doprowadziły do wyników, które nietylko nie przemawiają na korzyść spirytyzmu, ale, co gorsza, ogłaszają go za dzieło zwykłego kuglarstwa z jednéj strony i naiwności — z drugiéj. Do takiego wniosku przyszło Towarzystwo badań psychologicznych w Ameryce, którego sprawozdanie, dość obszerne, z robionych w niém doświadczeń zostało ogłoszone w przeszłym roku. Że tak samo mniéj więcéj zapatrywał się na spirytyzm i Balfour-Stewart, prezes towarzystwa londyńskiego, przekonywa o tém jego dzieło, które wspólnie z Tait'em, również znakomitym fizykiem, wydał przed laty, a które jest niejako przeciwstawieniom spirytyzmowi spirytualizmu chrześciańskiego. W dziele tém, którego zagłówek jest *The Unseen Universe* — autorowie oświadczają się jaknajwyraźniéj przeciwko spirytyzmowi.

Powodzenie spirytyzmu na Zachodzie, który zajmuje przewodnie stanowisko w świecie, a szczególniéj wziętość, jaką się on cieszy między przedstawicielami, ścisłéj wiedzy, jest zjawiskiem ciekawém i pod wielu względami pouczającém. Jeżeli bowiem łatwo

zrozumiéć, że ludzie o średniém wykształceniu nie zawsze umieją zdać sobie sprawę z tego, w co wierzą i wierzyć powinni, przyjmują za prawdę to, czego pojąć nie mogą, ale co się im narzuca, jako fakt dotykalny, który się nie daje zaprzeczyć; to jak wytłómaczyć, że uczeni, obeznani dokładnie z warunkami poznania i wymaganiami naukowéj ścisłości, dają wiarę temu, co zostaje w jaskrawéj sprzeczce z głównemi zasadami wiedzy ludzkiéj? Kto chce rozwiązać tę zagadkę, ten przedewszystkiém winien pamiętać, że fakty tego rodzaju, jak spirytyzm, nie dadzą się sądzić ze stanowiska oderwanéj logiki. Przyczyna jego nie leży w przeoczeniu pośrednich ogniw myślenia, w nieprawidłowém zestawieniu przesłanek lub w wyciąganiu z nich wniosku błędnego, ale w warunkach obecnéj doby, oddziaływających na umysły w kierunku, który wytwarza w nich pewne usposobienia, skłaniając je do takiego, a nie innego działania, do takich, a nie innych zapatrywań i wierzeń. Usposobienie to działa w nich bezwiednie, jako nastrój całego ich umysłu — nastrój, z którego nie zdają sobie sprawy, jakkolwiek usiłują go uzasadnić i usprawiedliwić logicznie. Słowem, spirytyzm jest faktem społecznym — i źródeł jego potrzeba szukać głównie w stosunkach społecznych, w dążnościach dzisiejszego czasu, w charakterze współczesnéj cywilizacyi.

Nikt nie zaprzeczy, że cywilizacya w ostatniém pięćdziesięcioleciu uczyniła tak olbrzymi postęp, że ten zdaje się usprawiedliwiać najprzesadniejsze nadzieje, zapowiadając urzeczywistnienie w mniéj lub więcéj odległéj przyszłości wszystkich marzeń, o jakich kiedykolwiek ludzkości się przyśniło. Trudno jednakże nie widzieć, że cywilizacya nasza ze wszystkiemi nabytkami wiedzy, ze wszystkiemi cudami sztuki i przemysłu jest jednostronną. Oskarżają ją o materyalizm. Zarzut ten jest niesłuszny. Nadzwyczajny rozwój przemysłu, którego główném zadaniem jest dobrobyt, zarzutu tego nie usprawiedliwia. Zajęcie się przemysłem jest tak samo dobrém, jak i praca rolnicza; troska zaś o dobrobyt, jeżeli nie pochłania wszystkich sił ludzkości, nie zagłusza i nie paraliżuje szlachetniejszych potrzeb, jest słuszną nawet ze stanowiska wyższych zadań życia. Minęły czasy ascetyzmu, w których głodem i udręczeniami ciała usiłowano podniecać ducha. Przekonano się bowiem, że właśnie ta sztuczna przewaga ducha nad ciałem była główną przyczyną wszystkich zboczeń umysłu, o jakich nam mówią dzieje średniowieczne. W ciele silném duch jest silny. Z drugiéj strony materyalne warunki życia są niezbędne i dla szczęścia ludzkiego, które bądź co-bądź musi być uważane za główny cel doczesnego żywota. A jakkolwiek pojęcie o tém, co ma stanowić

szczęście ludzkie, jest bardzo względném, niemniéj jednakże dobrobyt materyalny jest jednym ze składowych pierwiastków owego pojęcia. Zarzut materyalizmu, robiony naszéj cywilizacyi, jest przedewszystkiém z tego względu niesłuszny, że nie zapomina ona i o stronie duchowéj. Ani nauka, ani sztuka, nie są przez nią zaniedbane i pomijane. Przeciwnie, nauka zajmuje w niéj przewodnie stanowisko — i jéj to właśnie wiek dzisiejszy zawdzięcza wszystkie swe nabytki materyalne. Jednostronność naszéj cywilizacyi nie w tém leży, że w niéj tak ważną rolę odgrywają materyalne sprawy życia, ale w tém, że będąc poniekąd reakcyą przeciwko duchowi, ożywiającemu przeszłe pokolenia, ma ona charakter przeważnie analityczny.

Dotychczasowe życie ludzkości opierało się na podstawach chrześciańskiego spirytualizmu, który, rozdzieliwszy człowieka na dwie połowy — ciało i duszę — téj ostatniéj przyznał rzeczywistą wartość, ciało zaś uważał jako coś zupełnie obcego duszy, co krępuje naturalny jéj polot i przytłacza ją do ziemi. Życie doczesne, polegające na tajemniczém sprzęgnięciu dwóch przeciwnych sobie pierwiastków—znikomego ciała i nieśmiertelnéj duszy, poczytywał za próbę i pokutę, których ostatecznym celem było życie zagrobowe. W duchu tych zapatrywań na naturę ludzką i cele życia uorganizowało się społeczeństwo, którego charakterystyczną cechę stanowiła wzgarda dla interesów materyalnych i skierowanie usiłowań ludzkich ku zadaniom, niemającym bezpośredniego związku z rzeczywistemi potrzebami życia. Rzeczywistość atoli nie daje się bezkarnie lekceważyć. To téż lekceważone i gwałcone na każdym kroku potrzeby doczesnego życia wytworzyły z biegiem czasu stan rzeczy, który wzbudzał niepokój i popychał ludzkość do kroków, nierzadko pogorszających jéj położenie. Przedsiębrane środki zaradzenia złemu nie mogły doprowadzić do osiągnięcia pożądanych skutków, gdyż nie sięgały gruntu, lecz dotyczyły niektórych tylko stron życia, na razie najdotkliwiéj dających się odczuwać. Samo zresztą hasło, które niejednokrotnie dawało się słyszéć w przeszłości, a które w ośmnastém stuleciu stało się powszechném: powrót do natury! —było pojęciem, wysnutém z założeń, zostających w rażącéj sprzeczności z rzeczywistością. Umysł ludzki po dawnemu zostawał w zaklętém kole wyobrażeń i jeżeli kiedy odważył się go przekroczyć, to tylko na to, by uwalniając się od jednéj ostateczności, wpaść w drugą wręcz tamtéj przeciwną. Między spirytualizmem, a materyalizmem wciąż się wahając, nie mógł wynaleść dla siebie stałego punktu oparcia, któryby mu dozwolił rozejrzéć się spokojnie w warunkach rzeczywistości i zdać

sobie wyraźnie sprawę ze wszystkich zagadnień życia. Wprawdzie pojedyncze głosy nawoływały od czasu do czasu ludzkość na właściwą drogę, wiodącą do prawdy—na drogę umiejętnego doświadczenia; wołania te atoli albo odbijały się głuchém echem o umysły, ujarzmione przez dogmat, albo doprowadzały je do ciasnego empiryzmu. Dokładne zrozumienie warunków metody doświadczalnéj nastąpiło dopiéro w bieżącém stóleciu—i temu tylko zawdzięcza ona cały swój postęp w naukach przyrodniczych.

Postęp ten polega nie na nagromadzeniu olbrzymiego materyału empirycznego, ale na tém, że umysł ludzki drogą indukcyi zdołał wznieść się do pewnych uogólnień, na podstawie których mógł już bez wahania wytworzyć syntezę, ogarniającą cały świat zjawisk materyalnych. Do takich uogólnień należą w pierwszym rzędzie: teorya atomistyczna, która, dostarczając wspólnéj podstawy fizyce i chemii, obie te nauki łączy w jedną całość; mechaniczna teorya ciepła, która zastosowana do zjawisk światła i elektryczności, daje początek nauce o jedności sił, będących objawem ruchu; a w końcu darwinizm, który wyjaśniając powstawanie form świata organicznego, rozwiązuje zagadnienie, dotyczące początku wszelkiego bytu i tłómaczy prawa, jakim ulega rzeczywistość w swym rozwoju.

W tym samym atoli czasie, kiedy nauki przyrodnicze, układając się w całokształt wiedzy, oparty na pewnikach, niedopuszczających najmniejszéj wątpliwości, dawały myśleniu stały grunt, na podstawie którego można było wytworzyć jednolity pogląd na cały świat zewnętrzny,—to nauki moralno-społeczne, mające za przedmiot człowieka i organizm społeczny, albo po dawnemu, wysuwając wnioski z założeń apriorycznych, budowały teorye, niemające nic wspólnego z życiem; albo pozostawały na gruncie czysto empirycznym, zadawalając się gromadzeniem faktów i ich analizą. Pozbawione ścisłości, nie zdolne wznieść się do szerszych uogólnień, nie mogły one wywierać wpływu na bieg wyobrażeń, które téż w całości przeszły pod panowanie prawd, zdobytych w zakresie zjawisk świata przyrodzonego. Tym sposobem nauki przyrodnicze zajęły przewodnie stanowisko we współczesnéj nam cywilizacyi—i spowodowały przemianę pojęć i zapatrywań tak na naturę ludzką, jako téż na zadania życia indywidualnego i społecznego. Monistyczny pogląd na świat, znosząc zarówno tak spirytualizm jak i materyalizm, uznał w sprawach cielesnych stronę życia tak samo ważną i konieczną, jak i w czynnościach duchowych; przeniosłszy zaś punkt ciężkości z życia zagrobowego na doczesne, skierował usiłowania ludzkie do celów dostępnych, których głównem zadaniem powinno być szczęście ludzkości, o ile ono da się osiągnąć

drogą powolnego rozwoju, polegającego z jednéj strony na przystosowaniu się ludzkości do warunków świata zewnętrznego, z drugiéj—na przystosowaniu tegoż świata do potrzeb ludzkości. Reformy społeczne i przemysł, za pomocą którego przeobraża się cały świat zewnętrzny, stały się głównem zadaniem czasu, osią obrotową polityki, przedmiotem nauki i sztuki—słowem, ogniskiem, skrupiającém w sobie wszelkie usiłowania ludzkości i usuwającém na plan dalszy zagadnienia, które z niém nie zostają w bezpośrednim związku.

Ten kierunek czasu, kładący za główne, jeżeli nie za jedyne zadanie życia sprawy ziemskie, czyniący rozbrat ze wszystkiemi dążnościami, wybiegającemi po za obręb widomego świata, osadzający myśl ludzką na gruncie pozytywnym—stanął w rażącéj sprzeczności z duchem tradycyi, z istniejącemi urządzeniami i obyczajami towarzyskiemi. Nie mogła się z nim pogodzić, ani filozofia, która w czystym rozumie upatrywała jedyne źródło prawdy i o doświadczeniu odzywała się pogardliwie; ani religia, któréj dogmaty i kult zewnętrzny były doraźném zaprzeczeniem wszystkich zasad, leżących w podstawie nauk przyrodniczych; ani nareszcie etyka, związana jak najściśléj z religijnemi dogmatami i zapatrująca się na życie ze stanowiska średniowiecznego ascetyzmu. Musiała przeto nastąpić walka zacięta i nieubłagana—walka, którą na razie ten tylko miała skutek, że powstał zamęt wyobrażeń, pragnień i dążności, pozbawiający umysł spokoju i niedozwalający mu dojrzéć prawdziwéj drogi postępowania.

Położenie jednostki wśród téj walki było zaiste rozpaczliwe. Nauki moralno-społeczne nie zdolne były dostarczyć jéj jakichś wskazówek, pozwalających dojrzéć, po czyjéj stronie prawda. Zajęte bowiem przeważnie analizą pojedyńczych faktów, nie mogły nawet marzyć o syntetyczném przedstawieniu życia umysłowego i społecznego i wszystkie ich uogólnienia, grzeszące głównie nieokreślonością, miały charakter mniemań tymczasowych, potrzebujących sprawdzenia. Zasady zaś nauk przyrodniczych, stosowane wprost, bezwzględnie do zjawisk umysłowych i tradycyjnych form życia, dawały w bezpośrednim wyniku albo najfałszywsze tłómaczenie tego, co dotąd uważało się za najświętsze dla człowieka, albo ryczałtowe zaprzeczenie całéj spuścizny wieków. Nie wiedząc, czego się trzymać, w co wierzyć i do czego dążyć, umysł mimo woli pogrążał się w pewien rodzaj sceptycyzmu względem wyższych zagadnień życia—i kończył albo na pesymizmie, odmawiającym życiu wszelkiéj wartości, albo na materyalizmie praktycznym, upatrującym ostateczny cel zabiegów ludzkich w interesie osobistym.

Umysły atoli szlachetniejsze, obdarzone większym zasobem sił żywotnych nie rezygnują łatwo z idealnych pragnień serca i zagadnień rozumu, nadających wartość życiu i uzacniających ludzkie przedsięwzięcia. Zaspokojenie popędów serca, wznoszących umysł po nad codzienne zabiegi, nieprzerwane dążenie do rozwiązania zagadnień, dręczących rozum, stanowią wewnętrzną potrzebę natury ludzkiéj, jeden z najważniejszych nabytków dziejowego rozwoju ludzkości—nabytków, które drogą tradycyi i dziedziczności przechodzą spuścizną z pokolenia na pokolenia. Potrzeba ta, silniéj przejawiająca się w jednych, słabiéj w drugich, może być do pewnego stopnia stłumiona bądź kłopotami życia, pochłaniającemi wszystkie myśli, bądź namiętnościami; jednakże w kim ona żywszém odzywa się tętnem, ten nie potrafi jéj zagłuszyć w sobie i musi w jakikolwiekbądź sposób zadość jéj uczynić pod karą moralnych udręczeń. Ale kiedy jedni, zdając sobie jasno sprawę z natury owych pragnień i zagadnień, umieją oddzielić, co w nich jest do osiągnięcia, a co przechodzi możność ludzką, i oszczędzając swe siły na rzeczy pożyteczne, zapanowują siłą woli nad próżną ciekawością, która skierowuje myśl ludzką w sfery niedostępne, gdzie zamiast prawdy, tylko urojenia znajduje; to inni, mniéj świadomi, a bardziéj ufni w ludzkie siły, gubią się w czczych i bezowocnych dociekaniach, które ich wiodą do przypuszczeń, nie tylko nie mających żadnéj podstawy faktycznéj, ale, co gorsza, przeciwnych nieraz najistotniejszym zadaniom życia. Jednym z przedmiotów najbardziéj niebezpiecznych dla dociekań ludzkich jest bezwątpienia świat niewidzialny.

Wiara w świat nadzmysłowy, będąc spuścizną tylu pokoleń, których życie rozwijało się pod bezpośrednim jéj wpływem, pokutuje w każdym z nas, jakkolwiek nie w każdym z jednakową siłą. Opiera się ona nie na samych tylko wspomnieniach z lat dziecinnych i nawyknieniach młodości; źródło jéj kryje się głębiéj; jest niém mianowicie odziedziczone po przodkach usposobienie, uorganizowane warunki umysłowego życia.....

To też nawet najbardziéj nawykli do zapatrywania się na świat ze stanowiska naukowego determinizmu miewają chwile słabości, w których trudno im zapanować na razie nad nieokreślonemi pragnieniami, pociągającemi gwałtownie myśl w sfery świata niewidzialnego i ukazującemi nań jako na początek i koniec wszystkiego. Zostając przez tyle wieków pod opieką religii, która od kolebki do grobu kierowała jego krokami, urabiała w pewnym kierunku jego uczucia i myśli, człowiek nie miał jeszcze czasu pozbyć się swych nawyknień i nauczyć się opierać na samym sobie, poprze-

stawać na tém, co mu wiedza doświadczalna podaje. W poczuciu swéj niezaradności widzi się on tak osamotnionym wobec roztaczającéj się przed nim nieskończoności, że mimowoli wybiega myślą i uczuciem poza granice widzialnego świata, szukając tam pokrzepienia dla siebie i pociechy. Niezawodnie, że wiedza pozytywna, dająca poznać stały porządek świata, wykrywająca niezmienne prawa zjawisk fizycznych i stosunków życia ludzkiego, wystarcza do ukojenia nieokreślonych poruszeń serca, skierowujących umysł w sfery mistycyzmu, i zdolna byłaby rozproszyć wątpliwości, dotyczące ziemskiego przeznaczenia człowieka. Od takiéj atoli wiedzy, któraby rozwiązywała wszystkie niepokojące umysł zagadnienia, jesteśmy jeszcze bardzo dalecy. Wprawdzie nauki ścisłe, wykazawszy, jakim prawom ulegają zjawiska materyalne i jak człowiek za pomocą tych praw zapanowuje nad niemi i nagina je do swych celów, uwolniły nas od przesądnego strachu przed niemi—i pozbawiły naiwnéj wiary w udział duchów w tém, co się dzieje w przyrodzie; ale za to biologia i socyologia, które dotąd bardzo mało postąpiły w zbadaniu czynników życia i praw, jakiemi te czynniki rządzą się, pozostawiając mnóstwo pytań bez odpowiedzi, daje obszerne pole najfantastyczniejszym przypuszczeniom i podtrzymuje tradycyjną wiarę, że przygody życia ludzkiego i wypadki dziejowe zostają pod bezpośrednim wpływem świata niewidzialnego.

Bądź-co-bądź, nie da się zaprzeczyć, że rozwój nauk przyrodniczych, których pewniki są podstawą dzisiejszéj wiedzy, oddziaływując na nasze wyobrażenia i na przebieg samego myślenia, musiał wywołać odpowiednie zmiany w zapatrywaniach i wierzeniach, odnoszących się do świata nadprzyrodzonego..... Wiara w świat nadprzyrodzony, tracąc swą podporę w religii, zmuszona jest szukać jéj gdzieindziéj. Jakoż znajduje ją w pewnych faktach, nacechowanych cudownością, nie dających się podciągnąć pod znane prawa rzeczywistego bytu, wykryte doświadczeniem—w faktach, na których się opiera tak zwany Spirytyzm.

Jakież to są te fakty? Dokładne ich wyliczenie znajdujemy w dziele dr. Pawła Gibier'a, przyswojoném naszéj literaturze przez p. J. Wł. Dawida. Są one następujące:

1) Poruszanie się przedmiotów ciężkich przy dotykaniu ich, ale bez mechanicznego ciśnienia.

2) Stukanie i inne głosy téj saméj natury.

3) Zmiany w ciężkości ciał.

4) Poruszanie się przedmiotów, znajdujących się w odległości od medyum.

5) Podnoszenie się przedmiotów nad ziemię bez dotykania ich.

6) Podnoszenie się ludzi od ziemi.

7) Poruszanie się pewnych drobnych przedmiotów bez dotykania ich.

8) Zjawienia świetlne.

9) Zjawiania się rąk, świecących własném światłem albo widzialnych przy świetle zwykłém.

10) Pismo bezpośrednio otrzymywane.

11) Widziadła o szczególnych kształtach.

12) Wypadki pojedyńcze, zdające się okazywać wpływ rozumnéj siły.

13) Różne zjawiska złożonéj natury.

14) Ruchy igły magnesowéj, w busoli zamkniętéj, pod wpływem siły medyum.

15) Stukanie w stole, podrzucanie noża na wysokość stopy bez żadnego dotknięcia.

16) Bez dotknięcia ze strony medyum ekran potłuczony z trzaskiem i kawałki na kilka stóp rozrzucone.

17) Pismo powstające samodzielnie między dwiema tabliczkami.

18) Magnesowanie stalowej igły.

19) Nadawanie reakcyi kwaśnéj substancyom obojętnym.

20) Ślady rąk i nóg bosych na sadzy lub mące, ślady nie odpowiadające formie rąk i nóg medyum, które obuwia niezrzuca.

21) Zawiązywanie węzłów na rzemykach, których oba końce są przypieczętowane i znajdują się pod rękami medyum i obserwatora.

Taki jest inwentarz znanych dotąd faktów, na których się opiera spirytyzm, usystematyzowujący wiarę w świat nadprzyrodzony na nowych podstawach i dążący do wytworzenia sobie właściwéj etyki. Doświadczenia z krążącemi się stolikami są zeń wykluczone i jako praktyki najniższego gatunku, ubliżające godności prawdziwego spirytysty. Przez nie przemawiają tylko duchy niskie, złośliwe, które na wiarę nie zasługują i od których resztą nic ważnego dowiedzieć się nie można. Prawdziwość wyliczonych powyżéj faktów, została stwierdzoną doświadczalnie przy użyciu odpowiednich przyrządów naukowych przez Crookes'a i Zoellner'a, dwóch znakomitych fizyków, którym nie podobna zarzucić braku dokładnéj znajomości metod doświadczalnych. Na własną rękę sprawdził z nich niektóre Gibier, dr. medycyny i asystent przy muzeum historyi naturalnéj w Paryżu, uczony, który również daje pewną rękojmię, że umié obchodzić się z faktami doświadczalnemi. Głównem zadaniem wszystkich owych spraw-

dzeń, w różnych czasach i przez różnych uczonych dokonanych, było przekonać się ostatecznie, azali wszystkie owe fakty, które spirytyści uważają za sprawy duchów, posłusznych woli medyum, nie są zwykłemi sztuczkami kuglarskiéj zręczności. Ostateczny wynik tych badań przemawia wprawdzie na korzyść faktów, wykazując, że nie są one dziełem kuglarstwa, że dokonywają się mocą czegoś, co na razie nie może być oznaczone i zbadane; ale z drugiéj strony nie dowodzi to jeszcze, żeby zjawiska spirytystyczne miały się dziać za sprawą duchów. Przeciwko takiemu tłómaczeniu, jeżeli można nazwać to tłumaczeniem, oświadczają się jak najwyraźniéj Crookes i Gibier, którzy w zjawiskach spirytystycznych upatrują objawy nowéj jakiejś, nieznanéj dotąd siły przyrody.

W ten sposób dwa uwydatniają się kierunki w spirytyzmie: mistyczny i przyrodniczy. Pierwszym, mającym swe źródło w wierze w świat nadprzyrodzony, zajmować się nie będę. To bowiem, co już powiedziałem o owéj wierze, dostatecznie daje poznać jego naturę; o zwalczaniu go zaś za pomocą rozumowań, mowy nawet być nie może. Wszelka wiara, chociażby najniedorzeczniejsza, może być obalona tylko pośrednio, drogą uboczną, ale nigdy wprost i bezpośrednio. Zresztą, skoro się wykaże, że przyrodnicze tłómaczenie spirytyzmu opiera się na błędach logicznych i doświadczalnych, że fakty, przez nie uznane za objaw nowej siły, nie mogą być za takie uznawane dla braku dowodów, że przeciwnie tak zdrowy rozsądek, jak i pewne okoliczności każą je zaliczyć do rzędu sztuczek, wykonywanych przez zręcznych prestidigitatorów, — gdy się to wszystko wykaże, to się zarazem dowiedzie, że mistyczny kierunek spirytyzmu jest złudzeniem, pozbawioném wszelkiéj podstawy rzeczywistéj.

Przyrodniczy kierunek spirytyzmu stara się uzasadnić swe zapatrywania za pomocą wywodów teoretycznych i dowodów doswiadczalnych. Musimy więc rozpatrzyć się szczegółowo w jednych i w drugich, ażebyśmy się mogli przekonać, że ani zasady, z których on wychodzi, ani doświadczenia, na których się opiera, bynajmniéj nie upoważniają do twierdzień, jakie mu się podoba wygłaszać.

Punktu wyjścia dla jego wywodów teoretycznych, dostarcza mu sama natura wiedzy ludzkiéj. Ponieważ jedyném źródłem naszego poznania jest doświadczenie, przeto wszystkie nasze prawdy, bez względu na stopień ich pewności, są prawdami dla nas, odnośnie do tych grup faktów, które poznaliśmy, ale mogą niemi nie być dla naszych potomków, w stosunku do faktów, które kiedyś mo-

gą być wykryte. Tym sposobem wiedza nasza, będąc usystematyzowaniem prawd, zdobytych drogą indukcyjnego uogólnienia, ma wartość w zakresie doświadczenia nabytego i nie może być bezwzględnie stosowana do doświadczeń przyszłych. Pomimo niezmiernych nabytków wiedzy współczesnéj, byłoby to zuchwalstwem nie do darowania, gdybyśmy chcieli utrzymywać, żeśmy już zbadali całą przyrodę, przeniknęli w głąb najskrytszych jej tajników. W zakresie każdéj gałęzi wiedzy napotykamy jeszcze tyle zagadek, których rozwiązanie przechodzi nasze siły, tyle luk, do których wypełnienia brakuje nam potrzebnego materyału, że jak dotąd wszelkie pokuszenie wykrycia jakiejś prawdy, któraby bezwzględnie dawała się zastosować do wszystkich faktów, jakie przyszłe doświadczenie może wykryć, potrzeba zaliczyć do prostego szaleństwa.

Wychodząc z tego stanowiska, utrzymują obrońcy przyrodniczego spirytyzmu, że wszystkie nasze naukowe pewniki, takie np. jak niezniszczalność materyi, zachowanie energii, ciągłość ruchu, mają znaczenie względne — i nie pozwalają nam odrzucać jakiegoś faktu, który im przeczy dla tego tylko, że się z niemi nie zgadza; że oprócz sił przyrodzonych, które już poznaliśmy, mogą być jeszcze siły nieznane, pozostające z tamtemi w stosunku, którego się nawet domyślać nie możemy.

Co się tyczy pierwszego twierdzenia, to jest ono słuszne o tyle tylko, że ponieważ nasze pewniki naukowe są nie czém inném, jak indukcyjném uogólnieniem faktów, przeto nie mamy prawa odrzucać jakiegoś faktu dla tego tylko, że nie możemy go pod owe uogólnienia podciągnąć; ale jest zgoła fałszywe, jeżeli ma znaczyć, że w obec jednego jakiegoś faktu, przeciwnego owym pewnikom, potrzeba te pewniki odrzucić, a przynajmniéj ich doniosłość ograniczyć. Gdyż najprzód należy dowieść, że to, co uważamy za fakt, jest rzeczywiście zjawiskiem przyrody; powtóre, wykazać doświadczalnie, że sprzeczność jego z naukowemi pewnikami nie pochodzi ze szczególnych warunków, w jakich on powstaje, warunków nie dających się na razie zbadać, ale z saméj jego natury. Historya nauk doświadczalnych może służyć za przestrogę pod tym względem. Z niéj się dowiadujemy, że niejednokrotnie poczytywano za zjawisko przyrody to, co było prostém złudzeniem zmysłów, albo fikcyą wyobraźni; że ogłaszano za wyjątki od powszechnych praw przyrody to, co po bliższém zbadaniu okazało się nowém ich stwierdzeniem. Sama nareszcie logika wskazuje, że prawdy, oparte na doświadczeniu lat tysięcy, przez żaden dotąd fakt niezaprzeczone, muszą się uważać za pewniki dopóty, dopóki nie będzie dowiedzione w sposób, nie pozostawiający najmniejszéj wątpliwości, że pewni-

kami nie są, że co najwięcéj są prawdziwe w odniesieniu do pewnych tylko grup zjawisk albo téż w granicach pewnych tylko warunków. Zanim zaś takie dowody będą dostarczone, musimy tymczasem wszystkim wymienionym pewnikom naukowym przyznawać wartość prawd powszechnych, których powinniśmy się trzymać w naszych badaniach jako jedynéj podstawy niezachwianéj dla wniosków i twierdzeń o tém, co jest i co być może. Pomimo, że nie są one prawdami bezwzględnemi w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, są one w każdym razie postulatami myślenia w obecnéj dobie naszego rozwoju umysłowego.

Wątpliwszą jeszcze wartość ma drugie twierdzenie. Nie ulega zaprzeczeniu, że jak dotąd, poznaliśmy tylko bardzo małą cząstkę zjawisk przyrody. Wniosek zatém, że poznane przez nas siły nie są jeszcze wszystkiemi siłami, jakie przyroda ukrywa w swém łonie, że z czasem mogą być wykryte siły dotąd nieznane, których prawa okażą się przeciwnemi prawom sił naszych, zdaje się zupełnie słusznym, przynajmniéj pod względem logicznym. Konsekwencya atoli logiczna nie zawsze prowadzi do wyników prawdziwych. Rzeczywistość ma właściwą sobie logikę, która bardzo często zadaje kłam wywodom logiki ludzkiéj. Kto pragnie poznać logikę przyrody, ten winien jéj szukać w dziejach jéj rozwoju, opiérać się na doświadczeniu. Tylko w granicach nabytego doświadczenia możemy czynić prawdopodobne przypuszczenia o tém, co być może i czego możemy się spodziewać. Schodząc zaś z gruntu doświadczenia, wkraczamy lekkomyślnie w krainę możliwości, która nie ma granic i w któréj najnieprawdopodobniejsze domysły panują.

Przyjęto powszechnie uważać siłę za postać ruchu, którego przyczyna leży w energii. Czém jest energia? Na to nie możemy dać żadnéj odpowiedzi tak samo, jak i na pytanie: czém jest materya? Wystarczy wszakże dla nas wiedziéć, że jest ona władzą wywierania działania jednéj części materyi na drugą. Warunkiem oddziaływania na siebie oddzielnych części materyi jest ich wzajemne położenie; skutkiem zaś jego—ruch. Tym sposobem różne postaci ruchu, czyli siły, są bezpośredniém następstwem układu świata. Nauka, opiérając się na danych ścisłych, wykazuje, że jakkolwiek stan rzeczy na świecie zmienia się, porządek świata, jego układ pozostaje dotąd ten sam, jaki był od początku. Najlepszym tego dowodem jest to, że do wytłómaczenia wszelkich zmian, o jakich nam mówią dzieje przyrody, wystarczają te same siły, jakie w obecnym jéj stanie odkrywamy. Siły, które dziś znamy, znane już były przed dwoma tysiącami lat; od czasu, jak ludzkość zabrała się do meto-

dycznego zbadania przyrody, żadna nowa siła nie została wykryta i żadne dotąd zjawisko przyrody nie było spostrzeżone, któreby nie dało się wytłómaczyć za pomocą znanych sił, któreby pozostawiało jakąś resztę niewyjaśnioną, każącą się domyślać działania siły nieznanéj. Wszystkie te fakty nakazują nam wierzyć w stałość porządku świata, t. j. że jak dotąd, tak i na przyszłość te same prawa będą rządziły zjawiskami świata i te same siły pozostaną w nim czynnemi. A jakkolwiek wiary téj nie możemy ogłaszać za dogmat, za prawdę absolutną, jakkolwiek nie jest ona bezwzględnie pewną, lecz tylko prawdopodobną, z tém wszystkiém musimy ją uważać za zasadę konieczną, za jedyną podstawę tak naszych rozumowań, które mają na celu poznanie rzeczywistości, jako też postępowania, które ma na widoku wypełnienie praktycznych zadań życia. Gdyby obecnie jakaś nowa siła została spostrzeżona, potrzeba byłoby przypuścić jedno z dwojga: albo że istniała ona od początku świata, tylko że jéj działanie dotąd nie było spostrzeżone, albo że teraz dopiéro objawiła się. Otóż ani jedno, ani drugie przypuszczenie nie jest możliwe. Siły przyrody nie występują oddzielnie w zjawiskach naturalnych, jak to się dzieje w gabinetach fizycznych i chemicznych. Każde zjawisko jest wypadkową kilku sił — w każdym więc zjawisku z dotychczas znanych, a przynajmniéj w niektórych z nich, musiałaby być wykryta reszta, która, nie dając się wytłómaczyć przez siły znane, wskazywałaby na istnienie nieznanéj. Jak dotąd nic podobnego nie zaszło, a trudno przypuścić, ażeby przy dzisiejszéj ścisłości badań przyrodniczych zdolną była jakaś reszta niewytłómaczona zjawisk przyrody wymknąć się uwadze przyrodnika. Napotyka on wprawdzie w swych dociekaniach liczne zagadki, które na razie nie dają się rozwiązać, lecz żadna z tych zagadek nie jest téj natury, ażeby kazała uciekać się do przypuszczania nowych sił. Mniéj jeszcze prawdopodobne jest drugie przypuszczenie. Wystąpienie do działania nowéj siły mogłoby nastąpić tylko wskutek nowego układu świata. Ta nowa siła, oddziaływając na siły istniejące, zmieniłaby ich dotychczasowy stosunek wzajemny, pociągnęłaby za sobą odmianę porządku świata — co wszystko nie mogłoby się dokonać bez mniéj lub więcéj gwałtownego przewrotu. O takim przewrocie ani dzieje przyrody, ani obecny stan jéj nic nam nie mówią. Powié kto może, że był czas, kiedy w przyrodzie były czynne tylko siły fizyczne i chemiczne, a dopiero w późniejszéj dobie jéj rozwoju ukazały się siły: organiczna i psychiczna — a przecież pojawienie się ich odbyło się spokojnie bez naruszenia w czémkolwiek praw, jakiemi się rządzą siły fizyczne i chemiczne. Na to odpowiem, że tak zwane siły orga-

niczna i psychiczna we właściwém znaczeniu siłami nie są, gdyż nie podobna ich sprowadzić do ruchu; są one zjawiskami raczéj, których koniecznemi warunkami są siły fizyczne i chemiczne, objawami powszechnéj energii, któréj istota tak samo jest nam nieznana, jak i istota materyi.

Zwolennicy spirytyzmu na obronę swego twierdzenia ukazują na liczne fakty, znane już w odległéj starożytności, w średnich wiekach, a do dziś dnia wydarzające się na Wschodzie, szczególniéj w Indyach, fakty, które w porównaniu z t. zw. spirytystycznemi, dowodzą w sposób nie dający się zaprzeczyć, że siła, mocą któréj wywoływane bywają zjawiska spirytystyczne, znana jest ludzkości od najdawniejszych czasów, że zatém jest ona tak samo stara, jak i wszystkie inne siły i nową może być nazwana tylko ze względu na to, że dotąd uczeni, pozostający w jarzmie doktrynerstwa, nie chcą jéj uznać, chociaż jéj działanie jest widoczne dla ludzi nie uprzedzonych. Że ludzkość wierzyła dawniéj powszechnie, a dzisiaj wierzy większa jéj część w istnienie sił nadprzyrodzonych, których władza może zmieniać stały porządek świata, nie dowodzi to jeszcze, żeby rzeczywiście tego rodzaju siły istniały; że dla odległéj starożytności, a w naszych czasach dla ludzi nieobeznanych z prawami przyrody mnóstwo faktów, które nauka uznaje za naturalne, mogło uchodzić za nadnaturalne i dotąd uważane są przez wielu za działanie sił nadprzyrodzonych: również nie dowodzi, żeby były jakieś fakty, które są wyjątkiem od praw przyrody, a raczéj ich pogwałceniem. Kto wié, jaki udział biorą w naszych spostrzeżeniach złudzenia zmysłowe, jak trudno najściślejszemu badaczowi ustrzedz się błędów wnioskowania na podstawie faktów, najdokładniéj nawet poznanych, temu zbytecznêm jest dowodzić, że wiara, chociażby najpowszechniejsza, w jakieś fakty, że pospolite postrzeganie, pozbawione metodycznéj dokładności, nie mogą miéć pod względem naukowym znaczenia, gdy chodzi o poznanie rzeczy. Nie jest już dziś tajemnicą, że większa część owych nadnaturalnych wypadków, o jakich nam mówią starożytni dziejopisowie i średniowieczni kronikarze i o jakich dziś jeszcze słyszymy różne opowiadania, były i są albo czystém kuglarstwem, obrachowanêm na otumanienie w stronniczych celach dającéj się wyzyskiwać ludzkości, albo prostém złudzeniem zmysłów, mającém swe źródło przedewszystkiém w niskim stopniu oświaty i w pewnym nastroju umysłu. A jakkolwiek między wyliczanemi faktami, mającemi charakter cudowności, znajdą się i takie, których zagadkowość trudna jest do wyjaśnienia w powyższy sposób, to pamiętać potrzeba, że o tych faktach wiemy z opowiadania ludzi, którzy nie dają żadnéj rękojmi, że powtórzyli

wiernie wszystkie ich szczegóły, że nie dodali do nich czegoś z fantazyi, albo nie ujęli z powodu niedokładnéj informacyi, lub braku pamięci. Bądź co bądź, odwoływanie się do przeszłości i do powszechnéj wiary w świat nadprzyrodzony, na nic się spirytyzmowi nie zda, gdyż, pomijając inne względy, przedewszystkiém o to tu chodzi, czy fakty, które on przytacza na dowód, bądź to istnienia duchów, bądź działania nieznanéj dotąd siły przyrody, rzeczywiście są faktami takiéj doniosłości, jaką on im przyznaje. W obec bowiem faktów dowiedzionych w powyższym zakresie wszelkie przeciwne im rozumowania i wywody teoretyczne muszą ustąpić, gdyż doświadczenie jest jedyną instancyą, która ostatecznie rozstrzyga wszelkie spory, dotyczące istotnego stanu rzeczy. Zapytuję więc, czy fakty, na których się opiéra spirytyzm, można uważać za dowiedzione? czy doświadczenia, robione nad zjawiskami spirytystycznemi, rzeczywiście rozpraszają wszelkie wątpliwości, jakie pod względem zapatrywań na nie ich obrońców nastręczają się zwykłym śmiertelnikom?

P. Gibier, sprawozdawca z obecnego stanu spirytyzmu i jeden z przedstawicieli przyrodniczego jego kierunku, utrzymuje, że po dokonanych doświadczeniach przez Crookes'a, Zoellner'a i przez niego samego, wszelkie powątpiewanie o prawdziwości faktów spirytystycznych byłoby ślepém upieraniem się przy zapatrywaniach z góry powziętych. Mówiąc o doświadczeniach Zoellner'a i Crookes'a, odzywa się o nich w sposób następujący: „Wnioski do jakich dojść można co do Zoellner'a, są też same, co i odnośnie do Crookes'a: albo znakomity ten uczony u końca świetnéj swój karyery został oszustem — sam bowiem w obec ostrożności, jakie zachowywał, ofiarą być nie mógł—albo téż, że mówi prawdę. Co do nas, sądzimy, że przyjąć należy raczéj to ostatnie". W obec takiéj alternatywy, każdy, co się nie zgadza z autorem, znajduje się w położeniu bardzo drażliwém. Nikt bowiem nie może posądzać o oszustwo ani Crookes'a, ani Zoellner'a, a przecież nie podobna uznać za prawdę tego, co mówią o zjawiskach spirytystycznych. Autor oświadcza, że „w obec ostrożności, jakie zachowywali, ofiarą oszustwa paść nie mogli." Otóż pomimo całéj powagi, jaką słusznie się cieszą obaj owi uczeni w naukach doświadczalnych, odważam się twierdzić, że „ofiarami oszustwa być mogli." Kto się pilnie zastanowi nad warunkami czynionych przez nich doświadczeń, ten łatwo się przekona, że doświadczenia te, jeżeli czego dowodzą, to chyba tego, że nawet najwytrawniejsi badacze nie są wolni od uprzedzeń, które gdzieś w zakątku ich mózgu kryją się, czekając na stosowną chwilę, ażeby zapanować nad ich rozumem i kazać im brać za prawdę dowiedzioną to, co bynajmniéj dowiedzione nie jest.

Szczegółowo zastanawiać się nad doświadczeniami Crookes'a, Zoellner'a i Gibier'a nie będę. Rozpatrzę się tylko w warunkach, w jakich zostały one wykonane, wskazując zarazem na te punkty, które powinny były być uwzględnione przy nich, a które zostały całkiem pominięte.

Na dowód, jak dalece wszelkie doświadczenia, dotąd dokonane nad zjawiskami spirytystycznemi, nie zasługują na wiarę, możnaby przytoczyć fakt, że w najświeższych czasach dwóch spirytystów zostało ostatecznie zdemaskowanych: jeden przez arcyksięcia Rudolfa w Wiedniu, drugi w roku przeszłym w Ameryce. Tym drugim jest mianowicie Slade, który służył za medyum w doświadczeniach Zoellner'a i Gibier'a, o którym ten ostatni odzywa się, że zdaje się być człowiekiem uczciwym, niezdolnym do oszustwa. Z tém wszystkiém fakt ten nie rozstrzyga jeszcze o rzeczy. Mógł być Slade oszustem i nadużyć łatwowierności Zoellner'a i Gibier'a, nie dowodzi to wszakże jeszcze, żeby podobnymże oszustem był Home, z którym doświadczenia przeprowadzał Crookes. Potrzeba więc dowieść, że i doświadczenia Crookes'a, lubo nie dostarczają bezpośrednich dowodów oszustwa ze strony Home'a, pozwalają go o to podéjrzywać chociażby dla tego jednego, że nie są przekonywające, że dokonane były w warunkach, które silniej przemawiają za oszustwem, niźli za prawdziwością zjawisk spirytystycznych.

Pierwszém pytaniem, jakie się nastręcza przy badaniach nad spirytyzmem, jest: jaka może być natura owej siły, która jest przyczyną zagadkowych zjawisk? A mianowicie, czy jest to siła fizyczna, przebywająca w świecie zewnętrznym, czy psychiczna, będąca właściwością pewnych tylko ludzi, których wyłącznym ma być przywilejem?

Na pytanie to nie znajdujemy wyraźnéj odpowiedzi w dziełku Gibiera. Z przytoczonych atoli faktów, na których przyrodniczy spirytyzm opiéra swe zapatrywania, możnaby wnosić, że wprawdzie siła owa ma charakter przedmiotowy, ale przebywa w organizmie ludzkim, w którym zachowuje swą odrębność i może nawet uzewnętrznić się, przybierając postać ludzką, czego dowodem jest owa Katie King, która się ukazywała Crookes'owi, za pośrednictwem medyum miss Florencyi Cook i z któréj mógł nawet zdjąć fotografią. Jakkolwiekbądź siła ta nie występuje prawie nigdy samodzielnie; objawia się ona zwykle za pośrednictwem pewnego medyum, człowieka, który tą siłą jest obdarzony i którego woli ona ulega. W każdym razie uległość téj siły nie jest bezwzględna. Ma ona swe sympatye i antypatye i w obecności osób sobie niemiłych powstrzymuje się od działania i staje się nieposłuszną woli medyum,

A ponieważ Crookes wyraźnie powiada, że szczególne fakty zdają się wykazywać wpływ siły rozumnéj, należałoby więc wnosić z tego wszystkiego, że owa siła tajemnicza posiada rozum i wolę. Wychodzi więc na to, że nie jest ona czém inném, jak duchem. Od takiego wniosku powstrzymują się wprawdzie wyznawcy przyrodniczego spirytyzmu, woląc w tym wypadku narazić się na zarzut niekonsekwencyi logicznéj, niż zejść ze stanowiska pozytywnych badaczy. Nie wchodząc w dalsze pod tym względem dociekania, zaznaczam, że siła ta, lubo zachowuje w człowieku swą odrębność, przynajmniéj o tyle, że może się uzewnętrznić za pomocą tak zwanéj materyalizacyi ducha, zwykle przecież tak dalece jest z nim zespolona, że niepodobna na razie wiedzieć, co w dokonywanych za pośrednictwem medyum faktach potrzeba zaliczyć na karb owéj siły, a co na rachunek ludzkiéj zręczności. Wszystkie bowiem zjawiska spirytystyczne z równą słusznością mogą być uważane tak za dzieło tajemniczéj siły, jak i za kuglarstwo, którego próbkę dają nam tak zwani prestidigitatorowie. Pierwszém więc zadaniem doświadczenia nad spirytyzmem powinno być ostateczne wyjaśnienie: jaki jest udział w zjawiskach spirytystycznych woli i umiejętności ludzkiéj, a jaki owéj siły zagadkowéj, za pomocą któréj takie medyum wykonywa rzeczy, zakrawające na cud w znaczeniu średniowieczném? Dopóki te dwa pierwiastki nie zostaną ściśle wyznaczone, dokąd nie będzie stwierdzona obecność tajemniczéj siły w zjawiskach spirytystycznych w sposób, nie pozostawiający najmniejszéj wątpliwości — dotąd wszystkie owe zjawiska, przeciwne przyrodniczym pewnikom i zasadom rozumowym, muszą być uważane za fakty, z któremi nauka liczyć się nie potrzebuje, gdyż nie może im przyznać tego znaczenia, jakie im nadają wyznawcy spirytyzmu. Zajęcie przez naukę takiego stanowiska wobec spirytyzmu jest tém słuszniejsze, że nie brak już nam dzisiaj dowodów, które wykazują, że spirytysta może być tak samo kuglarzem, jak kuglarz spirytystą z tą różnicą, że gdy ten z góry przedstawia się we właściwym sobie charakterze, to tamten występuje w roli nadzwyczajnéj istoty, człowieka obdarzonego nadprzyrodzoną siłą.

Dowodów na to dostarczają nam dwa następujące fakty: przed kilku laty jeden ze spirytystów, popisujący się w Wiedniu w obecności arcyksięcia Rudolfa, został przyłapany na gorącym uczynku, dowodzącym oczywistego oszustwa, posługiwania się kuglarskiemi sztuczkami w wywoływaniu zjawisk spirytystycznych; w roku zaś przeszłym zdarzyło się to samo w Ameryce ze Sladem — z tym samym, który w swoim czasie służył za medyum Zoellnerowi i Gibierowi w ich doświadczeniach. Zdemaskowanie Slade'go nastąpiło

w towarzystwie, zawiązaném wyłącznie w celu zbadania zjawisk spirytystycznych. Na zdemaskowaniu Sladego nie skończyło się. Wezwany jeden z przebywających na miejscu prestidigitatorów potrafił wykonać wszystkie te sztuki, jakiemi się popisywał Slade, przewyższywszy go nawet w zręczności.

Opiérając się na dwóch faktach, mielibyśmy już poniekąd prawo, o ile na to pozwala wnioskowanie przez analogią, zawyrokować, że cały spirytyzm ze wszystkiemi swemi nadzwyczajnościami jest prostém oszustwem, obliczoném na wyzyskiwanie łatwowierności ludzkiéj. Wyrok ten atoli byłby za pośpieszny. Że Slade jest oszustem, nie dowodzi to jeszcze, żeby byli niemi także Home i miss Cook, z którymi Crookes robił doświadczenia, jakkolwiek pewien cień podejrzenia pada i na nich. W każdym razie, zanim będziemy mogli wyrobić sobie pod tym względem jakieś zapatrywanie, musimy zastanowić się nad doniosłością przeprowadzonych przez Crookes'a doświadczeń, mających na celu sprawdzić, czy fakty spirytystyczne są dziełem tajemniczéj siły, czy zręczności ludzkiéj. Otóż, po dokładném rozpatrzeniu się w owych doświadczeniach musimy wyznać, że pomimo całéj ich ścisłości, na jaką pozwalają znane obecnie metody badania, nie są one zdolne rozproszyć nasuwających się wątpliwości i usunąć podejrzenia o oszustwo.

Dla przekonania się, że zjawiska spirytystyczne są istotnie sprawą niezwykłéj jakiejś siły, nie zaś ludzkiéj zręczności, potrzeba przedewszystkiem, zgodnie z wymaganiami naukowego doświadczenia, wyosobnić ową siłę, postawić ją w takich warunkach, ażeby mogła i musiała wystąpić sama niezależnie od woli medyum, które jéj objawami kieruje. Wtedy tylko można się przekonać, że w jéj objawach ludzka zręczność nie ma żadnego udziału, wtedy tylko można z pożądaną ścisłością zbadać prawa, jakiemi się owa siła rządzi. Takiego wyosobnienia owéj siły Crookes nie wykonał, a nawet nie kusił się o to — zapewnie dla tego, że w danym wypadku jest ono czystém niepodobieństwem. Chcąc bowiem to osiągnąć, należałoby chyba pozbawić medyum świadomości, jak to się dzieje w doświadczeniach z hypnotyzmem, ale pozbawiając je świadomości, odbiéra się mu przez to samo możność wywoływania zjawisk, które tylko za jego wolą powstają. Tym sposobem nietylko, że prawdziwość zjawisk spirytystycznych nie została dotąd dowiedzioną, ale nawet dowiedzioną nigdy być nie może.

Wobec tego faktu czysto ujemnego, nabierają ogromnego znaczenia dowody, pouczające, że zręczny kuglarz może doskonale odegrywać rolę spirytysty. Jeżeli teraz zważymy, że w doświadczeniach Crookes'a z Homem i miss Cook każde zjawisko przygo-

towywało się w ukryciu, pod stołem, za zasłoną, przy świetle lampy, jakby dla tego, ażeby zabezpieczyć je od niepotrzebnéj ciekawości, to musimy przyznać, że jakkolwiek nie ma żadnego faktycznego dowodu na potwierdzenie, że Home i miss Cook byli takimiż kuglarzami, jak Slade, mamy prawo uznać ich za takich na mocy prawdopodobieństwa i analogii. Wszystkie bowiem ich cuda wykonywały się w warunkach, jakie towarzyszą zwykłym sztuczkom kuglarskim; co się zaś tyczy ich natury, to pod tym względem nie różnią się one niczém od tych, z jakiemi występował uznany oszust, Slade.

Po tém wszystkiém, cośmy powiedzieli o spirytyzmie pod względem teoretycznym i doświadczalnym, niepodobna go uważać za coś innego, jak za bezczelne kuglarstwo z jednéj strony, a złudzenie i łatwowierność z drugiéj. Jeżeli spirytyzm mistyczny jest nową formą tradycyjnéj wiary w świat nadprzyrodzony — to spirytyzm przyrodniczy, usiłujący wiarę w świat nadprzyrodzony oprzéć na gruncie badań pozytywnych, jest zaparciem się prawd naukowych, ustalonych wiekami, dla przywidzeń, których nic nie usprawiedliwia.

Władysław Kozłowski.





IGNAŚ.

OBRAZEK Z PRUS ZACHODNICH.

I.

Działo się to późną jesienią r. 1882. Noc była ponura, niebo całe pokryte było gęstemi chmurami; ni blask miesiąca ni żadna gwiazdka nie rozjaśniała swém figlarném mruganiem ćmy naokół panującéj. Powietrze przesycone było wilgocią, wiatr zachodni pomiatał z szelestem resztkami zwiędłego liścia. Prócz szumu wiatru i szelestu liścia żaden głos żywy nie przerywał ciszy nocnéj. Psy nawet, skuliwszy się w kłębek, tylko cichem warczeniem przyjmowały każdy szmer podejrzany. Do wyjścia z budy nawet im nie stało ochoty.

Wieś Śliwińce przy bitym trakcie pomiędzy Toruniem a Działdowem pogrążyła się już w śnie głębokim. Przed okiem przechodnia na tle nocném ledwie w ogólnych konturach rysowały się kształty chałup i drzew, ciągnących się wzdłuż drogi. W jednéj tylko niewielkiéj chacie na końcu wsi błyszczało jaskrawe światło. W blasku, padającym przez okno, przechodzień rozróżniał przed domem sadek niewielki z kilku „koszkami“ pszczół, sklepik w ziemi wykopany czyli parsk, jak go w tych stronach nazywają, i obok niego psią budę.

W chacie jeszcze nie spano. Na kominie płonął ogień i rozszerzał w szczupłéj izdebce przyjemne ciepło. Jego migotliwe blaski padały na poczerniałe ściany niskiéj i ciasnéj izdebki. Czasami wiatr silniéj zaszumiał, obluzowane deski w szczycie domu zatrzeszczały, źle opatrzone okienko „zaszczekotało“, przez jego szpary

i poklejone szyby fala jesiennego powietrza dostawała się do wnętrza izby, przejmując chłodem i dreszczem. Natenczas ogień na kominie żywiéj zamigotał i blask jego krwawy padał na twarz Chrystusa cierpieniem zoraną, lecz pełną miłości, odpustową kopią litograficzną obrazu Murilla, wiszącą na przeciwległéj ścianie.

Blask jego krwawy padał i na inną twarz o niemniéj bolesnym wyrazie. Na desce, któréj jeden koniec opiérał się o szeroki gzyms komina, leżało ciało młodéj niewiasty. Skrzyżowane na piersiach ręce, twarz drobna i blada o regularnych, acz przedłużonych rysach, usta wązkie i posiniałe, boleśnie zaciśnięte dodawały jéj wątłéj postaci majestatycznego spokoju i niemal świętości. Blask migocącego ognia ślizgał się po jéj bladéj twarzy, igrał około jéj ust i oczu, zdawać się chwilami mogło, że zmarła żyje, że otwiéra oczy, że się uśmiécha.

Na około zmarłéj na stołkach i zydlach siedziało kilka skulonych, zaspanych bab. Odprawiano tak zwaną pustą noc przy ciele „nieboszczycy“.

„Przez Twój pot, o Jezu drogi,
Wyzwól dusze z męki srogiéj.
. . . . , . . .
. . . . . , ...
O Jezu!“

zanuciła drżącym i piskliwym głosem jedna z obecnych i

„Przez Twój pot, o Jezu drogi,
Wyzwól dusze z męki srogiéj“

zawtórowały jéj podobnymże głosem, budząc się ze snu, towarzyszki.

W głowach nieboszczki, na skrzynce czerwonéj o niebieskich polach, pomalowanych w białe i żółte kwiaty, siedziała z założonemi na kolanach rękami kobiéta lat może pięćdziesięciu. W śpiéwie ogólnym nie brała udziału, owszem, po oczach jéj było widać, że śpiéw ten niesłuchany odbijał się o jéj uszy. Wzrok jéj wlepiony był mechanicznie w przeciwległy komin, ale jéj dusza była widocznie gdzieś daleko.

O czém dumała Jędrzejowa? Ha! wiedziéć trudno. Może pamięć jéj roztaczała właśnie przed oczyma jéj duszy wspomnienie onéj chwili rozkosznéj, kiedy, przed laty trzydziestu, jéj Jędrek, objąwszy ją w poły, zapytał, czy chce być jego? On był forysiem w Śliwińcach, ona służyła w dworze do posługi. On, młody i dorodny, był celem jawnych i skrytych wzdychań śliwinieckich dziewczyn, nad nią nie było urodziwszéj tanecznicy i robotnicy w całéj téj stronie, a oboje mieli się już dawno ku sobie. On wychodził

właśnie z czeladniéj kuchni, ona wracała od doju, kiedy spotkali się w sieni. Mrok już był gęsty. On pochwycił ją wpół i cisnąc do siebie, rzekł głosem drżącym od namiętności:

— Jaguś, abo mi kto co zadał abo co, ale jak cię widzę, to mi się jeno coś tak robi, że to ha!

— Bodajbyś gadał, Jędrek — odrzekła Jagusia, starając się z lekka odsunąć od niego — ale ja ci jednak nie wierzę.

— Bóg widzi, Jaguś, że jak ci powiadam, że bez ciebie, to i życie mi za nic. Chcesz ty być moją?

Jagusia nic nie odpowiedziała, tylko namiętnie przycisnęła się do niego. W następną niedzielę oboje weszli do pokoju pana. Jędrek skłonił mu się do kolan, pocałował w rękę i oznajmił swą prośbę. Rumieniąc się poszła Jagusia jego śladem. Pan Nieżywiecki dobrym był dla swych ludzi panem i ze służby ich kontent. Dał więc swe zezwolenie i przyrzekł „wyszykować“ pustą chałupę. W sześć tygodni późniéj Jędrek wprowadził swą Jagnę do nowego mieszkania.

Jagna była robotnica jakiéj szukać, a nadto przy dworze nauczyła się niejednego, co jéj się teraz przydało. Wstawała do świtu doglądać prosiaków, płótno bielić na bielawie, okopywać kartofle, krowie poddać paszy. Nadto umiała prać, szyć i prasować, więc téż zaradność jéj i umiejętność przemieniły wkrótce ich mieszkanie w skromny przybytek szczęścia, jakie zawitało w ich progi. Jędrek, o ile mu służba pozwalała, był jéj w troskach gospodarczych wierną pomocą. To téż kto przejeżdżał przez Śliwińce, temu czystością i porządkiem wpadała w oczy niewielka chata na końcu wsi, ze starannie utrzymywanym sadkiem na przodku i kilku „koszkami“ pszczół.

Tylko we względzie dzieci jakoś nieszczególnie im się wiodło. Dał im wprawdzie Pan Bóg w pierwszym roku pożycia małżeńskiego córeczkę, ale ta zaledwie trzy dni przeżywszy, pożegnała ten padół płaczu. Odtąd Jędrek niemal co rok woził mądre baby z pobliskiego miasta, ale dzieci przychodziły na świat cherlawe i umiérały po niedługim czasie. Jędroch smutkował z tego powodu, jeszcze więcéj smutkowała Jagna. Nareszcie lepsza dola zajaśniała ich małżeńskim życzeniom: po sześciu latach pożycia Jagna obdarzyła Jędrocha córeczką, która, jak się zdawało, większe zasoby sił żywotnych przyniosła na ten świat ze sobą. Haźbiétka, takie imię nadali jéj rodzice, żyła trzy dni, żyła tydzień, żyła miesiąc jeden i drugi. Jędroch nie wierzył swojemu szczęściu. Ile mógł, wyrywał się od służby do chałupy, aby choć tylko na chwilę rzucić okiem o kołyskę, aby się przekonać, że Haźbiétka żyje, aby ją po-

bujać na ręku. Pan łajał, że Jędroch nie tak już pilnuje służby jak dawniéj, ale w gruncie rzeczy był wyrozumiały na jego rodzicielskie uczucie. Jędroch przepraszał, obiecywał poprawę i brał się ze zdwojoną gorliwością do roboty, aby od siebie odegnać wszelkie inne myśli. Ale gdy kilka godzin nie widział swojéj Haźbiétki, coś go gwałtem ciągnęło do domu. Czas wreszcie, ten niepohamowany koiciel wszystkich uczuć, i jego ojcowskiemu uczuciu przyniósł uspokojenie. Jędroch przyzwyczaił się do swego nowego szczęścia i stał się znowu najgorliwszym i najpilniejszym sługą swego pana.

Życie Haźbiétki potoczyło się zwykłym w tych sferach torem. Do skończenia szóstego roku chowała się w najzupełniejszéj swobodzie z resztą dziatwy wiejskiéj, więcéj na ulicy i polu, niż w domu. Kiedy skończyła rok szósty, ojciec zaprowadził ją do szkoły, skłonił się nauczycielowi do kolan i prosił o zajęcie się dzieckiem. Nauczyciel był to jeden z tych naówczas jeszcze nierzadkich okazów dawnéj daty, którzy przeżywszy na miejscu lat całe dziesiątki, zrastali się ze swoją gminą i wychowywali kilka generacyi. Uczył on niegdyś i Jędrocha. Haźbiétka było to dziecko wątłe o bladéj cerze i nadzwyczaj delikatnych rysach twarzy. Ale w jéj modrych jak dwa bławatki oczach leżał wyraz inteligencyi, zmieszanéj z łagodnością usposobienia, która mimowoli chwytała za serce. Nauczyciel popatrzał na nią z dobrotliwym uśmiechem przez swe duże, w stal oprawne okulary, pogłaskał dziecko po bladém liczku i klepiąc Jędrka po ramieniu rzekł:

— No, już tylko bądźcie spokojni, już my tam zobaczymy co się z nią da zrobić.

Jędrek w znak podziękowania uścisnął nauczyciela za kolana i odszedł uspokojony, zostawiając Haźbiétkę w szkole.

Haźbiétka miała pojęcie bystre. Wkrótce też stała się ozdobą śliwinieckiéj szkoły. W czytaniu i pisaniu wnet prześcignęła starsze dzieci, w katechizmie odpowiadała pewno i śmiało, rachowała szybko i zręcznie, a w śpiewie nie było nad nią. Kiedy dzieci zanuciły w chórze: „Leci po błoniu rycerz na koniu“..... jéj czysty, dźwięczny głosik brzmiał jak napięta struna metalowa i stawał się przewodnikiem dla reszty dzieci. Natenczas nauczyciel, odkładając na bok skrzypce i odsuwając na czoło wielkie, w stal oprawne okulary, wołał z zadowoleniem:

— Tak, tak, dobrze, Elźbietka, dobrze; gdy na egzamin przyjedzie ksiądz proboszcz, będzie może znowu obrazek, będzie i pochwała.

I gdy na egzamin w roli lokalnego inspektora przyjechał ksiądz proboszcz, był rzeczywiście obrazek, była i pochwała, a Jędrzejowe serce rosło.

Gdy Haźbiétka skończyła rok cztérnasty, nie było powodu zatrzymywać ją dłużéj w szkole. W świadectwie osobliwie jéj zachowanie i pilność wzmiankowane były z pochwałą. Trzeba było pomyśléć o dalszym jéj losie. Matka odziała ją w najlepszą suknię i zaprowadziła do miasta. Haźbiétka bez trudności znalazła miejsce na piastunkę. Jędroch dzień cały chodził markotny, ze zwieszoną głową, połykając łzy, które mu się cisnęły do oczu, a gdy wieczorem wrócił do domu, na głos się rozpłakał. „Tęga“ go brała za dzieckiem, zmora smutku dławić go poczęła. Robota mu nie szła od ręki, wieczorami zaglądał do karczmy i widocznie podchmielony, co mu się dawniéj prawie nigdy nie zdarzało, wracał do domu. Raz kładąc się spać, rzecze do swéj żony:

— Wiész co Jagna, abo nie wytrzymam abo co. Bez Haźbiétki jakby pół duszy człowiekowi ubyło. Pójdę i wezmę dziecko nazad, jeśli nie dobrocią, to bez gwałt.

Szczęściem gwałtu nie było potrzeba; na trzeci dzień po téj mowie około południa Haźbiétka wróciła do domu. Do służby miejskiéj okazała się chętną, ale zbyt słabą. Odtąd nie opuściła Śliwiniec. We dworze znalazło się dla niéj lżejsze zajęcie, używano jéj do posyłek, używano do wszelkich prac w domu i ogrodzie, które nie wymagając zbytniego natężenia sił fizycznych, wymagały tém więcéj inteligencyi. Jéj spokojne, łagodne usposobienie, jéj chętność do usług, jéj bezpretensyonalna pracowitość jednały jéj serca wszystkich. Gniewać się na nią było niepodobna. Gdy swojemi modremi, tęsknemi oczyma spojrzała na człowieka, uśmiérzała się największa zawziętość. Nawet sam pan ekonom, otyły, połysiały jegomość, który dzień cały nie rozstawał się ze swoim nahajem, a gdy wieczór nadszedł, wieszał go nad łóżkiem, mawiał nieraz:

— Ej, ty wiedźmo zamówiona, Bóg widzi, jakbym czasem rad dał potańcować mojemu kańczugowi po twoim grzbiecie, za to, że dzień cały nic nie robisz, tylko się szwędasz kołu dworu. Ale powiedziesz po człowieku swemi zaklętemi ślépiami i w mig nie wiem gdzie się gniéw mój podział.

Pomiędzy tymi, w których serce topniało pod działaniem gazelich oczu Haźbiétki, nie ostatni był Kuba, gorzelańczukiem zwany. Sprytny i czupurny, był prawą ręką gorzelanego i, jak mówiono, wtajemniczony we wszystkie kunszta objeżdżania kontroli fiskalnéj. U równych sobie zażywał wielkiéj powagi, nietylko dla swego spry-

tu, ale i dla tego, że był głośny jako najpierwszy „bijaka“ w całéj okolicy. Skąd był rodem, nikt na pewne nie wiedział. Mawiano tylko, iż z ojcem dziadem chodził po żebrach, zanim przybył do Śliwiniec. Staremu Jędrochowi jego umizgi do Haźbiétki nie były na rękę, czuł on do niego wstręt instynktowy. Ale Kuba miał możną protekcyą. Jego orędownikiem był sam pan gorzelany. A pan gorzelany była to osoba wpływowa w Śliwińcach, jego naleganiom trudno było się oprzéć, zwłaszcza gdy za poplecznika swego klienta pozyskał samego pana. Z ciężkiém sercem Jędroch dał wreszcie swoje zezwolenie.

Nie miał on jednakże doczekać się pociechy wnuków. Było to przy zbieraniu potrawu. Rok był nadzwyczaj mokry i wody rozlały szeroko. Gospodarze byli zmuszeni więcéj kraść niż zbierać z pola swe plony. Lud służebny tygodniami całemi wałęsał się bez zajęcia około stajen i gumien, pan ekonom dla ulżenia uciśnionemu sercu chodził sapiąc i spluwając, i sypał piorunami i batogami, gdzie się do tego nadarzyła sposobność, a pan Nieżywiecki, żeby nie słyszéć bijącego w okna dészczu i nie widziéć, co się na polu dzieje, zamknął się w swoim gabinecie i zagłębił z niebywałą żarliwością w lekturze dzienników. Ale za to, gdy słońce dzień jeden ukazało swe jasne oblicze, i konie i ludzie mieli za swe, bo natenczas pan ekonom żartów nie znał.

Wóz Jędrocha za ciężko był naładowany. Na mokréj łące koła zagrzęzły, konie stanęły, nie pomogło ni wiokanie ni bicie. Trzeba było wóz „naddać“. Kilku ludzi schwyciło za koła, sam pan ekonom wziął lejce w ręce, Jędroch zaś, który był jeszcze w sile wieku, podlazł pod oś zadnią i plecami podsadzał. Konie szarpnęły, wóz się poruszył i wyjechano szczęśliwie na grunt stalszy. Ale Jędrochowi, gdy wylazł z pod woza, źle się zrobiło i ledwie z wytężeniem wszystkich sił fizycznych i moralnych wytrzymał do wieczora przy pracy.

— Jagna — rzekł wchodząc wieczorem do domu — abo mi daj wódki z tłustém abo co. Nieraźno mi jakoś; i to krzyż mnie boli i ograżka mnie trzęsie. Oberwałem się dziś przy sianie i ledwie mnie nie ćpi o ziemię.

Jagna wódki nie miała, ale gdy spojrzała na Jędrocha, jakby ją coś za „lelita“ szarpnęło. Wyraz jego twarzy się zmienił, pożółkł i niemal poczerniał.

— Ach, rety Maryo — zakrzyknęła z przerażeniem — mizeroto ty moja, jakże ty wyglądasz?

Jędroch sam ledwie był w stanie się rozebrać. Ściągnęła mu przemokłe buty, położyła go w łóżko, przykryła dwiema pierzy-

nami, zagrzała pokrywkę i obwinąwszy szmatami, położyła w nogi. Haźbiétka pędem poleciała do dworu. Za jéj powrotem zagrzano mu lipowych ziółek, natarto krzyże kamforowym spirytusem. Te starania zdawały sie Jędrochowi przynosić niejaką ulgę. Mniéj stękał, mniéj wyrzekał, skarżył się tylko czasami, że mu tchu brakuje. Nareszcie się zdawało, jakoby usnął.

Haźbiétka poszła spać do alkierza, Jędrochowa, siedząc na skrzynce przy łóżku męża, poczęła drzémać. W tém chory zakaszlał, zakrztusił się i jakby w malignie usiadł na łóżku. Jędrochowa przyskoczyła do niego. Jędroch zakaszlał drugi raz i strumień krwi buchnął z ust jego. „Jezus, Marya, ratunku!“ — krzyknęła Jędrochowa przeraźliwym głosem. Przyskoczyła Haźbiétka, obie kobiéty biegały bezmyślne i bezradne. Jędroch blady leżał na łóżku i ciężko robił piersiami, pierzyna i poduszka były krwią zbroczone. Wtém znowu podniósł się na łóżku, chwycił się za serce, zakaszlał i znowu strumień krwi buchnął z ust jego. Haźbiétka narzuciła na siebie lekką spódniczkę i z płaczem popędziła do dworu. W dworze jeszcze nie spali; pan wysłuchawszy o co rzecz chodzi, kazał co żywo zaprzęgać po doktora. Doktora jednakże nie było potrzeba, nim zaprządz zdołano, Jędroch żyć przestał.

Wesele Haźbiétki odbyło się w trzy miesiące późniéj pod uciskiem rzeczywistego smutku, jaki pierwszy raz zawitał do chaty Jędrocha. Kuba okazał się dla niéj lepszym mężem niż po jego przeszłości spodziéwać się było można. Kochał ją szczérze i miejsce, jak mówią, radby jéj był odmuchnął. Mieszkanie miał w całéj wsi najlepsze, zarobek obfity. Ni łaknąć ni pragnąć nie mieli zatém potrzeby. Haźbiétka téż na swojém gospodarstwie wydobrzała i wypiękniała. Jéj piękne oczy nabrały żywszego blasku, jéj kibić poczęła się wypełniać.

Niestety! jéj szczęście nie było zbyt długie. Urzędnicy akcyzni już dawno śliwinieckiego gorzelnika mieli na oku i wszelkich dokładali starań, aby go schwycić na gorącym uczynku. Razu pewnego zjechała nagle rewizya. Co i jak się stało, o tém nigdy nie można się było nic pewnego dowiedziéć. To niewątpliwa, że urzędnicy odjechali z niczém, ale Kubę przyniesiono martwego do domu. Podobno słysząc, że jedzie rewizya, zbyt nieostrożnie zapuścił się do sklepu, gdzie stały kadzie z zaciérem, i padł uduszony gazami. Więcéj komisya sądowa wydostać nie była zdolna.

Haźbiétka szczerze opłakiwała jego stratę. Mieszkanie jéj dano komu innemu, ona znowu się pomieściła z matką w domu bielonym na końcu wsi, z sadkiem na przodku i kilku „koszkami“ pszczół, niewielkim parskiem i psią budą obok niego. Tutaj po

kilku miesiącach dała życie chłopczykowi. Ale od téj chwili sama poczęła chérlać. Chudła i mizerniała prawie w oczach, jakaś gorączka poczęła na jéj licach wypiekać przelotne rumieńce, w pięknych jej oczach żarzyć się począł jakiś blask nienaturalny. Kaszel uporczywy począł ją męczyć we dnie i w nocy, ostatnich tygodni wcale się z łóżka nie podnosiła. Pan sprowadził doktora. Doktor opukał jéj piersi i plecy, przyłożył ucho do serca, bąknął coś przez zęby o tuberkułach, zalecił od piersi odsadzić Ignasia, jeść jak najlepiéj, pić mocne wina, i odjechał. Haźbiétka rok cały się przemęczyła, wreszcie, przedwczoraj o świcie, Bóg ją odwołał z tego padołu cierpienia.

Jędrzejowa, siedząc w głowach swéj córki z założonemi na kolanach rękami na skrzynce czerwonéj o niebieskich polach, pomalowanych w białe i żółte kwiaty, zaledwie tego była świadomą, gdy ten szereg miłych i bolesnych wspomnień przesuwał się przed oczyma jéj duszy. Jéj ból był nieświadomy i gdyby ją zapytać, co i jak ją boli, nie umiałaby z pewnością tego wypowiedziéć słowami. Ale mimo to był on nie mniéj prawdziwy i głęboki. Wszystkie więc jéj nadzieje, że kiedyś, na stare lata, gdy ręce i nogi już wypowiedzą posłuszeństwo, znajdzie oparcie w swych dzieciach i wnukach, w niwecz się obróciły i sama już pójdzie przez ten świat, który dla niéj stał się nagle tak pustym!

Sama? O nie sama! W kołysce stojącéj obok trumny zakwilił w téj chwili Ignaś, jedyne żywe wspomnienie po jéj dawném szczęściu, jedyny przedmiot, na który się teraz zbiérały wszystkie uczucia jéj skołatanego serca! Jędrzejowa zerwała się ze skrzynki, poskoczyła do kołyski, przewróciła kwilącą dziecinę na drugi boczek i bujając go poczęła mu „bzikać" do uszka. Ignaś usypiał, gdy odezwało się znowu chórem kilka piskliwych głosów.... Ignaś, jakby pojął całą grozę téj melodyi, namiętnym, z głębi duszy pochodzącym, zawtórował jéj płaczem. Jędrzejowa zabujała go mocniéj, Ignaś nie przestawał płakać. Jędrzejowa wyjęła go z kołyski, odziała swoim kabatem, przycisnęła główkę jego do swéj twarzy i kołysząc się górną połową ciała, starała się uspokoić rozpłakaną dziecinę. Ignaś był nie do utulenia. Jego biała, drobna twarzyczka nabrzmiała i niemal niebieskiego nabrała koloru, zanosił się chwilami od krzyku. Jędrzejowa położyła go napowrót w kołyskę, poszukała kilka łatek, owinęła węzełek, owinęła weń skórkę pożutego chleba i wsunęła w usta rozkrzyczanemu malcowi. Ignaś, poczuwszy w dziąsełkach węzełek, począł ssać namiętnie i nareszcie usnął. Ale sen miał niespokojny, przerywany często jakiemiś nieprzyjemnemi marzeniami. Nie otwiérając oczków, zrywał się często i popła-

kiwał. Kowalka Mateuszka, sąsiadka i matka chrzestna nieboszczki, przysięgała Jędrzejowéj, że widziała na własne oczy, jak nieboszczka Haźbiétka, cała w bieli, odedrzwi szła zwolna ku kołysce, jak się pochyliła nad dzieciną i na jéj główkę kładła znak krzyża świętego.

Pierwsze brzaski budzącego się dnia kłócić się poczynały z cieniami nocnemi. Słońce podnosiło się jakoś leniwo, jakby jemu samemu było niesporo patrzéć na obraz niedoli, zalegającéj miejsce, które jeszcze do niedawna było widownią tak prostego, cichego szczęścia. Jędrzejowa na poczęstne zaspanym kmochom zgotowała kawy, ukrajała po kawałku chleba. Trumna dla braku miejsca postawiona była na kant w alkierzu. Wyniesiono ją do przedniéj izby, ułożono w niéj zmarłą z założonemi na krzyż rękoma i obrazkiem na piersiach, wieko postawiono przed drzwiami. Ciasno się zrobiło w izbie, że ledwo ruszyć się było można. Ludzie, przechodzący do roboty, wstępowali i odmawiali za duszę zmarłéj zdrowaśki i wieczny odpoczynek. Nareszcie zajechał przed dom wóz w proste deski, zaprzężony w parę koni. Czas było zabijać wieko. Kowalka Mateuszka wzięła Ignasia na rękę i pochyliła nad trumną, żeby, jak mówiła, dziecko wdróżyło sobie w pamięć obraz swéj rodzicielki. Ignaś na Podwyższenie Krzyża pierwszy swój roczek skończył. Spojrzawszy w blade oblicze zmarłéj, chwilkę się zastanowił, wodził naprzemian oczyma raz po kowalce drugi raz po nieboszczycy, nareszcie ją poznał i z okrzykiem „mama“ wyciągnął do niéj obiedwie rączki. Jędrzejowa zaszlochała, kumoszki końcem fartuchów poczęły oczy wyciérać. Ignaś krzyczał z całéj siły i podrzucając się przedniém ciałkiem na ręku Mateuszki, rwał się w stronę matki. Trzeba go było usunąć. Stelmaszka Błażejowa, jego matka chrzestna, dla bolącéj nogi i tak na pogrzéb pójść nie mogła. Zawinęła go więc w chustę i zaniosła do domu.

Podniesiono na wóz trumnę. Za wozem uszykował się drobny orszak, niemal wyłącznie z kobiét złożony, jedna z obecnych zaintonowała „O gospodze uwielbiona“ i ruszono w pochód. Jędrzejowa milcząc, postępowała za trumną. Kościół parafii, do któréj należały Śliwińce, był o granicę. Przybywszy na miejsce, postawiono trumnę przed drzwiami kościoła na dwóch stołkach, dostawionych przez kościelnego; obecni weszli do kościoła wysłuchać mszy św., która właśnie co była wyszła. Msza była przypadkiem żałobna fundacyi wieczystéj za dusze dobroczyńców kościoła. Odprawiała się z całą pompą. Ustawiony na środku kościoła katafalk gorzał rzęsiście światłem jarzącém i lampkami, woń miry rozchodziła się wokół. Jędrzejowa z głową ku ziemi pochyloną przeklęczała mszę

całą przed obrazem Matki Boskiéj Bolesnéj w bocznym ołtarzu. Jéj usta nie szeptały paciérzy, ale z serca jéj polała się, nieubrana w słowa, jedna z tych modlitw, co to niebiosa przebijają i dochodzą wprost przed tron Najwyższego. Była zmęczona niewywczasem i przebytemi cierpieniami, oczy się jéj mimowolnie kléiły, głowa sennie opadała na piersi. Wtém ksiądz głosem uroczystym zaintonował: *Requiescant in pace*. Jędrzejowa podniosła oczy na obraz Boga Rodzicielki i o dziwo! spostrzegła wyraźnie, że obraz do niéj łzawo się uśmiéchał. Wyprostowała się, złożyła ręce jakby do modlitwy i wpatrzyła się lepiéj: nie, nie myliła się! Matka Zbawiciela uśmiéchała się do niéj litośnie i jakby wskazywała jedném okiem na syna, leżącego na jéj łonie. Zarazem posłyszała jakoby szept cichy w swéj duszy: „Patrz, Jędrzejową, na moje serce mieczami przeszyte, i ucz się cierpiéć!“ Westchnienie głębokie wydobyło się z jéj piersi, ale razem z tém westchnieniem, jakoby nowy spokój, nowa siła wstąpiła w jéj serce.

Msza się skończyła, ksiądz dopełnił żałobnych obrzędów. Potém wyszedł w stule przed kościół, odmówił modlitwy, pokropił trumnę, na wieko jéj posypał garstkę ziemi. Wóz ruszył ku cmentarzowi, gdzie nad otwartą mogiłą czekał już kopacz z łopatą i powrozami w ręku. Zanucono „Witaj królowo“, wyciągnięto z pod trumny drągi i spuszczono ją do dołu. Rozległ się głuchy łoskot grud, uderzających o wieko trumny, obecni cisnęli się do dołu, by zmarłéj ostatnią oddać przysługę. Kopacz jednym zamachem łopaty całe lawiny sypkiéj ziemi zwalać począł do grobu, stukot grud stawał się coraz cichszym, pokład, oddzielający Haźbiétkę na wieki od świata żyjących, stawał się coraz grubszym. Jędrzejowa przeklęczała na cmentarzu, dopóki na miejscu, gdzie doczesna powłoka jéj Haźbiétki napowrót oddana została łonu matki ziemi, nie począł wyrastać grobowy pagórek.

Wstąpiono do karczmy. Żyd karczmarz z poza brudnego szynkfasu z pogardą spojrzał na przybyłych. Jędrzejowa była ubogą wdową, ludzie śliwinieccy znani byli ze swéj trzeźwości w całéj okolicy i z tego powodu jak najgorzéj zapisani w opinii karczmarzy. Poczęstunek był krótki, Jędrzejowa, co miała, sprzedała na chorobę Haźbiétki, więc prócz kwarty wódki i suchych bułek nie stało jéj na inne zbytki. Nie w głowie jéj tam zresztą było zbytkowanie. Przedmiot jedyny, około którego teraz kręciły się jéj myśli, stanowił Ignaś. Ignaś nie dawał jéj spokoju. Coś ją podrywało z miejsca, aby go jak najprędzéj zobaczyć. Błażejowa wiele z nim wyżyła biédy do powrotu Jędrzejowéj. Przeniesiony w obce sobie otoczenie, nie miał u nikogo miru i prawie bez przestanku

płakał. Ale gdy w progi izby weszła Jędrzejowa, wyciągnął do niéj obie rączki, otworzył buzię, w któréj widniały cztery bielutkie ząbki, i podał jéj do pocałowania. Jędrzejowa przycisnęła go do siebie i okryła pocałunkami.

Odtąd Ignaś stał się nieodłączną częścią jéj jestestwa. Gdy była w domu, nie miała spokoju, jeżeli Ignasia nie widziała około siebie; gdy się na czas dłuższy oddalała, zostawiając Ignasia na opiece kowalki Mateuszki lub stelmaszki Błażejowéj, Ignaś był nierozerwanym myśli jéj towarzyszem. Za tę miłość dzieciak równie serdeczném wypłacał jéj się przywiązaniem. Nauczył się wnet chodzić i szczebiotać po swojemu. Gdy zatém Jędrzejowa wracała do domu, z okrzykiem „babyś" rzucał się jéj naprzeciwko i podnosił rączki. Jędrzejowa brała go na rękę i obsypywała pocałunkami, serce w niéj topniało.

Tym sposobem upłynęły niemal trzy lata od śmierci Haźbiétki i pamięć jéj poczęła sie zagładzać pomiędzy żyjącymi. Jędrzejowa rzadko tylko miała sposobność pomyśléć o niéj; szczerbę, wyrwaną w jéj sercu przez śmierć męża i córki, zajął i wypełnił Ignaś. Jędrzejowa na onéj mszy św. przed obrazem Matki Bolesnéj ślubowała sobie w sercu, że mu zastąpi ojca i matkę, i ślubu tego dotrzymywała święcie. Pomimo swéj pięćdziesiątki była jeszcze rześka i do pracy nie leniwa. Ną praniu znała się jak żadna inna, a i w kuchni, gdy się we dworze przytrafiło co nadzwyczajnego, była bardzo do użycia. Przedewszystkiém zaś można się było bezwarunkowo spuścić na jej rzetelność i uczciwość. To téż zajęcia nigdy jéj nie zabrakło. Finansowe następstwa choroby Haźbiétki poczęły się zaciérać, chata Jędrzejowéj znów zajaśniała czystością i porządkiem.

Ignaś rósł i rozwijał się pod czułém okiem swéj babki do zadziwienia. Nauczył się biegać i mówić. Odziany, jak na stan swój, czysto i przyzwoicie, chodził za nią do dworu i na pole. Lubili go wszyscy. I zasługiwał na to. Nietylko bowiem nazwa sieroty jednała mu prawo do współczucia, ale był on sam w sobie dzieckiem na wskróś sympatyczném. W zewnętrznéj postaci był wiernym obrazem swéj matki. Jego modre jak bławatki oczy miały ten sam wyraz słodyczy i inteligencyi jak u nieboszczki Haźbiétki; jego drobna, biała, niemal przejrzysta twarzyczka, jego wiotka, wątła postawa czyniły go, jak mawiano w Śliwińcach, jakby wykapanym po matce. Wraz z temi zaś cielesnemi przymiotami odziedziczył po swéj rodzicielce niejakiś rys melancholijny, widniejący w jego całém usposobieniu. Ignaś lubił oddawać się własnym myślom. Nieraz siedząc, na progu chaty, obracał w swych drobnych paluszkach podję-

ty na ziemi kijek, ale po oczach jego widzieć było można, że myśl jego dziecięca była gdzieś daleko od przedmiotu, w który zdawał się wpatrywać.

— Babulu,—odzywał się nagle, jakby budząc się ze snu,—a czy duża była moja matula.

— O, tak, duża, mój Ignasiu, duża; bez mała większa niż twoja babula, — odpowiadała Jędrzejowa.

— A czy i ja będę duży?

— O, tak, i ty będziesz duży, większy może niż matula..

— A czy wy wiécie, co ja zrobię, gdy będę duży?

— A co ty zrobisz, jak będziesz duży, złoty mój Ignalku?

— Oto będę miał długi bat i cztéry konie, jak nasz Franek, i powiozę was w szklanym wozie do kościoła, jak Franek wozi nasze państwo do kościoła.

Natenczas Jędrzejowa rzucała pracę, przybiegała do Ignasia, brała go na rękę, płakała z radości i całowała i znów całowała i znów płakała. Do Ignasia czuła coraz więcéj niemal bałwochwalcze przywiązanie.

II.

Tymczasem na świecie nastawały dziwne rzeczy. Z urzędu przyszedł rozkaz, ze Śliwiniec i innych wiosek poczęto ludzi ściągać do wójtów i poczęto z nich spisywać długie protokóły: kto, gdzie ich rodził, czy dawno są już tutaj, u kogo służą, czém się zajmują itp., poczęto dokładnie opisywać nos, oczy, włosy, wzrost i urodę. Ludzie przeczuwali coś niedobrego, ale coby znaczyć miały te wszystkie zajścia, na to nie było pomiędzy nimi zgody.....

Zagadka się wkrótce wyjaśniła. Z Berlina nadszedł rozkaz, by wszystkich ruskich poddanych pochodzenia polskiego bez różnicy płci, stanu i wieku wydalić z granic monarchii pruskiéj. W Śliwińcach trzecia część ludzi podpadała pod kategorye nakazem objęte.....

Upłynęło kilka tygodni. Dzień był świąteczny dla Śliwiniec. Parafia miedzianowska, do któréj składu należały i Śliwińce, na Matkę Boską Szkaplerzną obchodziła poświęcenie kościoła a z niém główny swój odpust. Jędrzejowa była starszą w bractwie różańca św., jéj obecność na uroczystéj procesyi i na wielkiém nabożeństwie była niezbędna. Ale wcześnie wróciła do domu. W Miedzianowie w tym roku nie rozwinęło się przed i po nabożeństwie życie jak zawsze. Wiele rodzin dotkniętych zostało wydalaniami; wielu potraciło swych najbliższych krewnych, przyjaciół i sąsiadów, kir

żałoby okrywał serca wszystkich. Upał tego dnia był wielki, tłok w szczupłym kościołku nie mniejszy. Jędrzejowa zatém, opuściwszy ręce na kolana, siedziała i drzémała. Drzwi do sieni były otwarte. Ignaś bawił się w sadku. Jędrzejowa przyniosła mu z odpustu piernik w żółtym papierku na tasiemeczce i piszczałkę glinianą w formie kogutka. Biegał więc po sadku i niemiłosiernie gwizdał. W tém Burek, pilnujący przed oknami sklepiku, zatargał się na swoim łańcuchu i począł wściekle ujadać. Rówcześnie Ignaś, blady i dyszący, z wyraźnemi oznakami przestrachu, wpadł do izby i tuląc się do babki, ukrył swą jasną główkę w jéj fartuchu. Jędrzejowa nie miała jeszcze czasu się upamiętać, gdy błyszcząca postać żandarma ukazała się we drzwiach.

— *Morgen*!—rzekł żandarm, stawiając w kącie izby obok pieca swój karabin.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!—wybełkotała Jędrzejowa i przetarła oczy, nie dowierzając sobie, czy jéj czasem zły sen nie mami.

Był to żandarm obwodowy Fritz Fritzig czyli właściwie Wojciech. Był on bowiem polak, rodem z Warmii, ale zniemczony zupełnie przez szkołę a potém przez długoletnią służbę w wojsku. Nazwę polaka odrzucał jako najcięższą obelgę. Ale po polsku mówił i dla tego wyjmując z za pazuchy gruby notes, odezwał się do Jędrzejowéj w dość czystéj polszczyźnie:

— Wyście Agnieszka Banasiak, czy nie?

Pod Jędrzejową zadygotały kolana, jakby najcięższą zbrodnię miała na sumieniu, oprzéć się musiała o stół, aby nie upaść. Ledwie miała dość siły, aby wyjąkać:

— A tak, Agnieszka Banasiak, z domu Nawrocik, żona nieboszczyka Jędrzeja. Mój ojciec...

— Dosyć!—przerwał jéj żandarm.—Podobno tu macie u siebie jakiegoś polskiego ucikiniera.

Jędrzejowéj aż w oczach pociemniało.....

— Najsłodszy *mi go* Jezu! — zawołała po chwili z przerażeniem.—A skądżeby tu wziąć się miały uciekiniery. Mój nieboszczyk mąż zamarł temu blisko pięć lat, moja córka Haźbiétka już trzy lata jak nie żyje. Wdowa jestem i prócz mnie żywéj duszy nie ma w domu.

— A ten kto jest?—rzekł żandarm, wskazując na Ignasia, który napróżno starał się ukryć we fałdach jéj sukni.

— Ten kto jest?—powtórzyła Jędrzejowa blednąc, i coś jakby żądło węża przeszyło jéj serca.—To wnuk mój, syn córki mojéj Haźbiétki, która umarła, trzy lata temu będą na Wszystkich Świętych.

— A kto był jego ojcem?

— Ojcem jego był Kuba Ćmonik, ten sam, co to był „pomogrem“ w śliwinieckiéj gorzelni, a potém się ożenił z moją córką i umarł nagle,—Panie świeć nad duszą jego!—kiedy zjechała rewizya.

— A skąd on był rodem?

Jędrzejowa się zawahała. Wreszcie rzekła:

— Bóg to wié jedyny, skąd on był rodem. Mówią, że z ojcem swoim chodził po świecie, zwyczajnie jak to biédnemu czasem wypadnie, ale któż to tam może wiedziéć prawdę.

Żandarm nalegał; Jędrzejowa, choć może i wiedziała, zaręczała, że nie wié o miejscu pochodzenia nieboszczyka Kuby. Wreszcie żandarm rzekł:

— Wiécie co, Jędrzejowa? My tu do ładu oboje nie przyjdziemy. Zabierzcie swojego wnuka i pójdziemy do pana amtmana spisać protokół.

Jędrzejowéj tchu w piersiach nie stało. Do pana amtmana spisać protokół? Spisywanie aktów urzędowych jest dla naszego ludu zawsze czynnością złowrogą, tém bardziéj tutaj, gdzie, jak wiedziała z doświadczenia, spisywanie protokółów kończyło się zawsze wydalaniem z kraju. Chwyciwszy więc za rękę żandarma, okryła ją pocałunkami i wołała z płaczem:—Zmiłujcie się, panie żandarmie, nie odbiérajcie mi téj jedynéj pociechy w życiu. Toć i wyście ojciec, i wy wiécie, co to człowiekowi są dzieci. Ignaś, widząc, że babka szlocha, uchwycił jéj się tém mocniéj za fałdy i głośnym zawtórował jéj płaczem. „Babulu!—wołał, — babulu! nie dajcie mnie brać temu człowiekowi“.

Była jedna przelotna chwila, kiedy sam żandarm się zawahał. Ale wnet się pomiarkował. Cóż? gdzie tu prawo? gdzie służba? A niech się dowiedzą u góry, że miał słabą chwilę, w któréj dał się opanować litości? I to jeszcze nad kim? nad marną polską babą i jéj dzieciakiem! Tfu! wstyd się nawet przyznać do tego. Jakby to z niego śmiał się kamrat Wolfgang, który niedawno temu za gorliwość i energią w służbie otrzymał pochwałę i gratyfikacyą? Wyrywając zatém rękę z objęć Jędrzejowéj, zawołał:

— Nie, moja Jędrzejowa, to nie idzie. Zabierajcie się i pójdziemy do amtmana.

Napróżno Jędrzejowa włóczyła się za nim i starała się napowrót pochwycić wyrwaną rękę. Żandarm rękę usuwał i powtarzał swoje.

— Nie, Jędrzejowa, to nie idzie.

Ha! cóż było począć? Przekonała się, że żandarma nie uprosi, poczęła się więc zabierać do wyjścia. Może pan amtman okaże się litościwszym. Wzięła Ignasia za rękę, żandarm przewiesił karabin przez ramię i wyszli. Jędrzejową obeszło cokolwiek, gdy przez wieś przechodziła w towarzystwie żandarma, ale w Śliwińcach do przechadzek z żandarmem tak ludzie byli przyzwyczajeni, że mało kto zwracał na to uwagę.

Pana amtmana w domu nie było; był na polu przy żniwach. Jędrzejowa usiadła w jasnéj, obszernéj sieni przed biurem, Ignasia wzięła na kolana. Dzieciak, zmęczony gorączką i drogą, zarzucił rączki babce na szyję i usnął. Po niejakim czasie w kurtce sportsmena, w czapce dżokejskiéj na głowie, nadjechał pan amtman. Zobaczywszy w sieni kobiétę z dzieckiem i żandarma, domyślił się celu ich przybycia. Przybywali mu nie w porę. Zmarszczył się i coś jakby „*die ferfluchte Pollackei*“ przesunęło mu się przez zęby. Żandarm wyprostował się i zaraportował, że przyprowadza polskiego zbiega do spisania protokółu. Pan amtman machnął niechętnie ręką i poszedł pić kawę. Długo czekała Jędrzejowa, nareszcie pan amtman wrócił, otworzył drzwi do biura i kazał przybyłym wejść za sobą. Jędrzejowa stanęła pokornie u samych drzwi, ledwie śmiała oddychać. Ignaś był u niéj na ręku. Przebudzone ze snu dziecko poczęło popłakiwać.

— Cyt, cyt, synalku—głaszcząc po twarzyczce i uciérając palcem nosek, dogadywała mu Jędrzejowa — nie płacz, nie płacz, robaczku, bo pan się będzie gniéwał.

Ale Ignaś się nie mógł uspokoić. Pan amtman był w złym humorze, płacz dziecka przyprowadzał go do pasyi. Tupnął zatém nogą i krzyknął na dzieciaka, żeby był cicho. Ignaś na dobre się rozpłakał. Pan amtman, czerwony od gniewu, krzyknął coś po niemiecku na Jędrzejową i wskazał ręką na drzwi. Jędrzejowa zrozumiała, że ma wyjść z dzieckiem z kancelaryi. Wyszła więc przed dom i starała się uspokoić rozpłakanego dzieciaka.

Pan amtman w gruncie rzeczy nie najgorszym był człowiekiem i nie bez poczucia sprawiedliwości. Ludzie jego mieli się lepiéj niż gdziekolwiek indziéj w okolicy. Sam potępiał stanowczo wydalania i ze swego zdania nie robił najmniejszéj tajemnicy. Na zebraniach téż, odbytych w téj sprawie przez niemieckich właścicieli ziemskich w Brodnicy i Wąbrzeźnie, zabierał głos i w sposób jak najwięcéj stanowczy potępił rozporządzenie o wydaleniu, jako bezpożyteczne i z zasadami ludzkości, z pojęciami cywilizacyi XIX wieku niezgodne. Ale jako gospodarz z powołania, nie był wielkim przyjacielem pióra. A tu sprawy banicyjne wtrąciły go

w nieskończone korespondencye z władzami cywilnemi, kościelnemi, wojskowemi, powiatowemi, departamentowemi, prowincyonalnemi, centralnemi i to do tego w czasie, kiedy się żniwa rozpoczęły. Więc nie dziw, że się niecierpliwił i gdy mu się tak niefortunnie z Ignasiem nawinęła Jędrzejowa, popuścił cugli swemu złemu humorowi. Ale gdy się dowiedział od żandarma, że nie Jędrzejowa, lecz Ignaś jest owym złoczyńcą, z którym ma spisywać protokół, żal mu się zrobiło i dzieciny i kobiéty. Poszedł więc sam do śpiżarni, przyniósł dzbanuszek mleka i kilka sucharków i zawoławszy Jędrzejową, kazał napoić malca. Jędrzejowa uścisnęła amtmana za kolana i ze łzami wdzięczności ucałowała mu rękę.

Ignaś się uspokoił, zobaczywszy posiłek, i z widocznym apetytem wziął się do jedzenia. Rozpoczął się protokół. Jędrzejowa kłaniając się do ziemi, odpowiadała na wszelkie pytania. Ale gdy przyszło do podania miejsca urodzenia Kuby Ćmonika, zatknęła się, a nareszcie rozpłakała na głos i nic z niéj nie można było wydobyć. Pan amtman, jak umiał, przekładał kobiécie, że zamilczenie na nic się nie przyda, bo rząd ma niezliczone środki dowiedzenia się prawdy; pocieszał nadzieją, że rząd pruski sprawiedliwy jest i litośny; w tym przypadku z pewnością od zastosowania litery prawa do osoby Ignasia odstąpi. Napróżno! Na wszystkie jego pociechy i napomnienia Jędrzejowa miała jedną jedyną odpowiedź tj. płacz. Pan amtman sam był tym widokiem bezmiernéj boleści kobiéty, któréj chciano odjąć skarb jéj jedyny na świecie, mocno wzruszony. Poznał bezużyteczność wszelkich prób wydobycia z niéj prawdy i przestał ją dręczyć. Poprzestano na tém, że zdjęto z Ignasia jak najdokładniejszy rysopis, poczém pan amtman, kładąc rękę na głowę dziecka, rzekł wzruszonym głosem:

— Idźta z Bogiem ludziska i niech was tam Pan Bóg pocieszy.

Już wieś cała we śnie była pogrążona, gdy Jędrzejowa ze śpiącym Ignasiem na ręku, powróciła do domu. Zmęczona była fizycznie i moralnie. Położywszy Ignasia w łóżeczko, padła na kolana przed obrazem Najświętszéj Matki Bolesnéj, który kupiła na najbliższym odpuście po onym pogrzebie Haźbiétki, i gorzko zapłakała. Więc miała stracić to jedyne, co po tylu bolesnych stratach posiadała jeszcze na świecie? Miała oddać swego Ignasia gdzieś w świat nieznany i między ludzi nieznanych na pewną zgubę? Téj myśli serce jéj i mózg jéj objąć nie były zdolne.

— Ty najświętsza Panienko przez swe serce, siedmiu mieczami boleści przeszyte, ratuj mnie, ach! ratuj w mojém sieroctwie — zawołała łkając. I podniosła ręce złożone i spojrzała na obraz, oblany blaskiem wschodzącego miesiąca: Matka Boża łzawo się

uśmiéchała i znów okiem wskazywała na leżące na jéj łonie krwią zlane i ranami okryte ciało swego syna. I znów nieszczęśliwa kobiéta posłyszała szept tajemny w swéj duszy: — Jędrzejowa, patrz na ciało syna mojego i ucz się cierpiéć! — I znów powstała uspokojona i pokrzepiona, zmówiła litanią do Przemienienia Pańskiego i udała się na spoczynek.

Na drugi dzień, kiedy Ignaś jeszcze spał, wstała z tém mocném postanowieniem, aby poruszyć wszelkie sprężyny do uratowania Ignasia. Ale gdzie i jak tutaj począć biednéj kobiécie? Głowa jéj się zawracała, gdy pomyślała o tém. Nareszcie zdecydowała się pójść najpierw do dworu szukać porady i pomocy. Tymczasem Ignaś się obudził. Jędrzejowa pieszczotami okryła wnuka, roznieciła ogień, „zaklepała" polewki i podała chłopcu do łóżeczka. Ignaś smacznie zajadał.

— Ale do amtmana nie pójdziemy dzisiaj; wszak nie, babulu?— rzekł, oddając łyżkę i miseczkę.

— Oj, nie, kruszyneczko kochana, nie pójdziemy — odrzekła Jędrzejowa i wzdrygnęła się boleśnie, bo sceny wczoraj przebyte stanęły jéj żywo w pamięci.

Ubrała Ignasia w co najlepsze odzienie i poszła z nim do dworu.

Przejść przez wieś nie było jéj łatwo: wybiegały z chałup baby, Jędrzejowa po sto razy opowiadać musiała swe wczorajsze wypadki. Przemagało zdanie, że los Ignasia jest przez wczorajszy protokół przypieczętowany, i patrzano ze współczuciem na biédną dziecinę. Pan Nieżywiecki był również o zajściach wczorajszych już poinformowany. Gdy mu zatém dano znać, że Jędrzejowa z wnukiem pragnie z nim się widziéć, przyjął przybyłych z wielką serdecznością. Jędrzejowa ze wszelkiemi szczegółami opowiedziéć mu musiała swoję wczorajszę wizytą u amtmana, cała rodzina, guwernantka i bona z najżywszém zajęciem słuchali jéj opowiadania. Serce im się ściskało na widok krwawéj niedoli biednéj wdowy. To téż pan Nieżywiecki z serca całego byłby jéj pomógł w jéj fatalném położeniu. Ale cóż potém?..... Wstawienie się jego mogło tylko zaszkodzić sprawie, którą zastępywał, w oczach władz pruskich. Więc jéj szczerze powiedział, jak się rzeczy mają, i poradził jéj, aby się z prośbą o pomoc udała do ks. proboszcza w Miedzianowie, jako posiadającego wiele zaufania i wpływu u rządu.....

Ks. proboszcz miedzianowski pił w tym roku wody. Chodził więc po ogrodzie i odmawiał brewiarz, kiedy z Ignasiem weszła do niego Jędrzejowa. Był on z rodu i przekonania niemcem nowszego pokroju i w głębi swéj duszy nie lubił imienia polskiego. We wzglę-

dzie załatwienia tak zwanéj kwestyi polskiéj, o ile ona tyczyła się monarchii pruskiéj, był zwolennikiem zasady wolnego germanizowania, proklamowanéj przez ks. kanonika Fraza na zjeździe katolików szląskich. To téż banicyjnego wyroku bynajmniéj nie chwalił jako niepotrzebnie drażniącego ludność i sprzecznego z interesami kościoła..... Ale przypuszczał, że za tak surowém rozporządzeniem ukrywają się jakieś głębokie plany polityczne, wierzył mocno, że jakobykolwiek było, Bóg wszystko pokieruje na dobre. Wyciąg z artykułu z *Osservatore Romano*, pomieszczony w *Germanii*, w którym ten organ kuryi rzymskiéj dowodził, iż Prusy wydalaniami swojemi spełniają zadanie cywilizacyjne, gdyż wyrzucają z granic swego kraju samych żydów, pijaków i łobuzów, i mowa ks. biskupa Koppa w izbie panów sejmu pruskiego, w któréj ten dostojnik kościoła wyraził przekonanie, że rząd pruski spełnia wydalania, „*im Geiste der Humanität*" nie mało się przyczyniły do uspokojenia jego sumienia. Kiedy sam papież i jego najbliżsi powiernicy co do wydalań takie głosili zdania, cóż jemu, prostemu parochowi, pozostawało, jak wierzyć, że wydalania są zrządzeniem Bożém, karą i przestrogą..... za ich brak uległości względem kościoła. W pokorze serca uchylał się zatém przed wyrokami Opatrzności i gdy ludzie, wychodzący gdzieś aż nad Missouri i Ohio szukać miejsca na grób, którego im odmawiało państwo, kroczące na czele nowoczesnéj cywilizacyi, zakupywali mszę św., modlił się prawdziwie szczerze na intencyą ich powodzenia, ale się do żadnych komitetów, jakie się pozawiązywały w celu osłodzenia niedoli wygnańców nie mieszał.

Gdy mu jednakże Jędrzejowa przedstawiła swą prośbę, zawahał się chwilę......

— Nie, to nie idzie, moja Jędrzejowa—rzekł wreszcie; — moją rzeczą jest modlić się za was i drogą cnoty prowadzić was do dusznego zbawienia, a nie mieszać się w sprawy tego świata. Jeśli Bóg zsyła na was to ciężkie doświadczenie, przyjmijcież je w pokorze serca; kogo Pan Bóg kocha, temu krzyże swe zsyła, jak mówi pismo św.

Ale w Jędrzejowéj serce się buntowało. Mało jéj zależało na tém, co pismo św. mówi. W téj chwili chodziło jéj tylko o uratowanie Ignasia. Pan śliwiniecki jéj powiedział, że ks. proboszcz może jéj pomódz, więc go musi uprosić. Włóczyła się więc za nim, łkając i szlochając, ściskała za kolana, całowała po rękach i powtarzała swoje. Ksiądz chustką ociérał pot z czoła i starał jéj się odczepić. Jędrzejowa go nie puszczała. Szczęściem siostra księdza weszła do ogrodu.

— Uwolnij mnie od téj kobiety! — rzekł do niéj po niemiecku—ona mnie zadręczy.

Siostra poczęła przekładać:

— Jędrzejowa, czy wy Boga w sercu macie, tak jegomości męczyć? Czy nie wiécie, że on chory? A niech no wam umrze i parafia osierocieje, któż wam będzie udzielał sakramenta święte? Oj będzież wam, będzie! A czy nie pamiętacie Jontka karczmarza z Szérokiéj woli? Wołał księdza, wołał i trzy dni nie mógł skonać. Sprowadzić musiano księdza aż z Ociężyna. Jontek już mówić nie mógł, gdy ksiądz przyjechał. Ale ksiądz przeżegnał i dał ostatnie olejem namaszczenie, Pan Bóg się zmiłował i powołał duszę jego na czyścowe cierpienia.

Wymowa siostry księżéj trafiła do przekonania Jędrzejowéj. Jontek za czasów *kulturkampfu*, kiedy to miedzianowska parafia była bez pasterza, dzierżawił karczmę w Szérokiéj Woli. Karczma była przystankiem przemytników w ich wyprawach nocnych, Jontek sam stał na czele szeroko rozgałęzionéj bandy przemytniczéj i znał się na wylot z wszystkimi koniokradami po drugiéj stronie granicy. Mówiono, że niejedna kropla krwi ludzkiéj zrosiła jego ręce. Historyą jego śmierci powtarzano sobie ze zgrozą na kilka mil wokół. Kilku gburów, których zagrody leżały niezbyt daleko od karczmy w Szérokiéj Woli przysięgało nawet na wszystko, że widzieli, jak podczas konania Jontka nocami dyabeł na czarnym koniu uganiał się około karczmy i dopiéro gdy ksiądz wymówił absolucyą, jeździec znikł i tylko coś się zarzegotało i zapach siarki dał się uczuć w powietrzu. Jędrzejowa aż się przeżegnała na wspomnienie Jontka.

— Prawda—pomyślała — a może to i grzéch tak męczyć jegomości?

Opuściła ręce i niemo spojrzała przed siebie. W duszy zrobiło jéj się nieskończenie smutno, uczucie bezmiernéj niedoli, bezmiernego osamotnienia zagłuszyło w niéj wszelkie inne myśli. Więc i tutaj żadnéj nadziei, żadnéj pomocy?

— O Matko Boska Bolesna, pomóż ty mnie, biednéj sierocie, w mojém utrapieniu! — zawołała z płaczem i jakoby do modlitwy wzniosła ręce do nieba. I zdawało jéj się w téj chwili, jakoby z chmur, przesuwających się nad nią, błysnął uśmiéch łzawy Maryi i znowu posłyszała on szept tajemniczy w swéj duszy: — „Patrz na me bóle, Jędrzejowa, i ucz się cierpiéć".

Księża siostra wzięła Jędrzejową i Ignasia do kuchni, nagotowała im kawy, posmarowała kilka skibek chleba i postawiła przed nimi. Ignaś z ochotą wziął się do jedzenia. Jędrzejowéj jakby coś gardło ściskało przy każdym łyku. Kawę wypiła, chleba nie tknęła, ale co zostało, złożyła do kupy i zawinęła w chustkę dla Ignasia.

Do księdza i jego siostry zachowała jednakże żal jakiś skryty. Ledwo się przymusić mogła, by im podziękować, gdy odchodziła. Idąc do domu, ciężko wzdychała. Robota jéj dzień cały nie szła od ręki, rozmowa z ludźmi ją męczyła. Najchętniéj byłaby się zamknęła w komorze, aby się do syta wypłakać. Na drugi dzień było jéj nieco lżéj, ale jakiś smutek cichy, rzewny pozostał odtąd jéj nieodłącznym towarzyszem. Uczuła po raz pierwszy cały ciężar swego wdowieństwa. Gdyby to żył nieboszczyk Jędroch, onby może prędzéj co wymyślił dla Ignasia. Ale jéj wdowie, gdzie jéj tam głowa do tego?

Tak upłynęło kilka tygodni. Jędrzejowa poczęła się nareszcie uspakajać, poczęła wierzyć — że o jéj Ignasiu zapomniano, że może odstąpiono od zamiaru wydalenia go z kraju. Z tego nieba nadziei strąciło ją napowrót w piekło zwątpienia wezwanie, aby się niezwłocznie stawiła przed pana amtmana. Zostawiwszy Ignasia na opiece Błażejowéj, Jędrzejowa sama się wybrała do rezydencyi pana amtmana, Niepruszyc. Pan amtman przyjął ją po ludzku. Spytawszy się o Ignasia, oświadczył jéj, że podług zasiągniętych informacyi z aktów urzędu stanu cywilnego, spisanego przy ślubie Haźbiétki, wynika niewątpliwie, że zmarły mąż tejże Jakób Ćmonik pochodził z miasta X., ***skiego powiatu, że na rekwizycyą władz pruskich jego metryka już nawet nadeszła, że zatém syn jego a wnuk Jędrzejowéj, Ignacy Ćmonik jest niewątpliwie ruskim poddanym i podlega .....wydaleniu.

Jędrzejowéj pociemniało w oczach. Ze słów pana amtmana zrozumiała tylko tyle, że Ignaś ma być wydalony i znowu wybuchła niepohamowanym płaczem. Pan amtman dobre miał serce. Sam jedno jedyne dziecię, złotowłosego chłopczyka, o rumianéj twarzyczce i niebieskich oczkach stracił przed kilku miesiącami. Na wspomnienie swojego Walthera łza wielka spłynęła mu po grubych wąsach; wiedział z doświadczenia, co to jest boleść rodzicielska. Począł więc pocieszać Jędrzejową, wreszcie jéj oświadczył, że sam napisze podanie do ministra, aby na odstąpienie od wygnania Ignasia zezwolił. Minister, było to coś, czego Jędrzejowa nie rozumiała. W jéj zrozumieniu największym mocarzem był król, który mieszkał w Berlinie, a po nim szedł pan landrat, który mieszkał w powiecie, po tym zaś pan amtman, który mieszkał w Niepruszycach. Ale musiało to być coś wielkiego, kiedy aż sam pan amtman chciał do niego pisać, i jeżeli kto, to on jéj może pomódz. A że jéj pomoże, skoro sam pan amtman do niego napisze, o tém także nie wątpiła. Więc uścisnęła pana amtmana za kolana i odeszła uspokojona do domu.

Pan amtman przyrzeczenia dotrzymał. Napisał do Berlina obszerne przedstawienie, wyłuszczył w niém szczegółowo stan sprawy, dodał na końcu, że względy humanitarne przemawiają przeciwko wydaleniu dziecięcia, które jest sierotą i którego naturalną opiekunką jest babka jego Agnieszka Banasiak. Na odpowiedź nie czekał zbyt długo. Pismo, opatrzone stemplem i pieczęcią, na wstępie zawierało ostrą naganę za nieformalność, popełnioną przez pominięcie pośrednich instancyi, daléj następowało kategoryczne oświadczenie, że od litery rozporządzenia w żadnym razie odstąpić nie wolno, a w końcu był strofowany pan amtman za niesubordynacyą, popełnioną przezeń, udzielając królewskiemu ministeryum swych uwag i wskazówek, i dla uniknienia na przyszłość podobnych niewłaściwości, skazywał go na zapłacenie do tamtejszéj kasy powiatowéj kary „porządkowéj“ w ilości 100 marek.

Pan amtman cisnął pismo o stół, mruknął coś pod nosem o „*miserable Bureauweisheit*“, karę zapłacił, nie rzekłszy ni słowa, a Jędrzejowéj nie opuścił. Wezwał ją znowu do siebie, powiedział jak rzecz stoi, ale zarazem dodał, że wkrótce objeżdżać będzie pograniczne powiaty, by się naocznie przekonać o stanie wydalań, pan radca rejencyjny B., decernent w sprawach banicyjnych, że w dniu tym a tym będzie w mieście powiatowém i że Jędrzejowa najlepiéj zrobi, gdy się z prośbą swoją uda do niego, może on jéj jeszcze jako poradzi. Jędrzejowa, gdy przyszła do domu, termin przyjazdu pana regierungsrata krédą sobie napisała na drzwiach tuż pod wielkiém G. M. B., pozostałém po przeszłorocznéj kolendzie.

Dnia oznaczonego dospać nie mogła do rana. Wstała przed wschodem słońca, wyszła na palcach, by nie obudzić Ignasia. Ranek był zimny mglisty, wiatr pomiatał resztkami zwiędłego liścia, Burek skulony leżał w swéj lichéj budzie, drżący od chłodu. Tak wyglądało na świecie w onym dniu, kiedy chowali Haźbiétkę. Wspomnienie Haźbiétki wprawiło ją w nastrój ducha smutny. Powróciła do izby roznieciła ogień i usiadłszy przed kominem, w trzaskający płomień wlepiła wzrok osłupiały.....

Ignaś się obudził. Jędrzejowa serdeczniejszemi niż zazwyczaj okryła go pieszczotami, nakarmiła, odziała i zaprowadziła do stelmaszki Błażejowéj, która była jego chrzestną. Sama wydobyła najlepszą suknię ze skrzynki, zawiązała na głowę bladoróżową wełnianą chustkę szydełkowéj roboty, którą kupiła na ostatnim jarmarku, i szosą raźno puściła się do miasta. Przybyła jeszcze dość wcześnie. Żyd Aron, faktor śliwinieckiego pana, nazwał jéj hotel, w którym stanął pan regierungsrat. Poszła do hotelu. Tu jéj powiedziano, że pan regierungsrat dopiéro co poszedł na land-

raturę. Jędrzejowa skierowała swe kroki ku landraturze. Biura urzędowe mieściły się na górném piętrze. Z bijącém sercem weszła w długi, napół ciemny kurytarz, stanęła pode drzwiami. Musiała odpocząć. Serce kołatało jéj w piersi, klatka piersiowa stała jéj się nagle za wąską; tchu w piersi dostać nie mogła, nogi pod nią dygotały, pot jéj występował na czoło. Pana landrata raz tylko w życiu widziała, kiedy ksiądz biskup przyjechał bierzmować do Miedzianowa. Był u księdza proboszcza na obiedzie w pióropuszu i w suto wygalonowanym mundurze, ze szpadą u boku. Słuszny pan, a cały mienił się złotem, jak święty w obrazku. A teraz miała rozmawiać z panem, który nawet był starszym nad panem landratem. Jak ona, biedna wdowa, z nim się tylko rozmówi? Strach ją przejmował, gdy pomyślała o tém. W izbie ktoś chodził wielkiemi krokami. Widocznie musiał być w wielkiém wzburzeniu, bo Jędrzejową dolatywały raz po raz gniewliwe wykrzykniki.....

W Jędrzejowéj serce zamiérało, nie śmiała nacisnąć na klamkę. Aleć tu chodziło o Ignasia: zebrała odwagę, otworzyła drzwi i weszła do izby.

W izbie nie było ni pana landrata ni pana radcy, tylko sam pan sekretarz powiatowy i u bocznego stołu dwóch pisarków. Pan sekretarz był rodem z okolicy Łasina, syn gbura polskiego Bartłomieja Szymonka. Oddany wcześnie do gimnazyum w Grudziądzu i rzucony w otoczenie czysto niemieckie, wnet począł się wstydzić swego pochodzenia polskiego. Gdy podrósł, z pogardą począł patrzéć na ojca i matkę za to, że tylko mówili językiem polskim, który jak się wyrażał, był tylko językiem „pöbla", ludzi bez wszelkiego „bildunku". W gimnazyum istniał związek tajemny uczniów klas wyższych. Szymonek był gorliwym jego członkiem i zażywał pomiędzy wspólnikami wielkiego szacunku, bo miał głowę mocną i mógł wypić jednego wieczora do trzydziestu kufli piwa. Nieszczęściem istnienie związku doszło do wiadomości władz szkolnych i członkowie jego przypłacili swe małpie naśladownictwo zwyczajów akademickich burszenszafterów wydaleniem z zakładu. Ojciec nie chciał nic wiedziéć o wyrodnym synu, Szymonek musiał sam sobie na chléb zarabiać. Chwycił się zatém niższéj karyery sądowéj, a późniéj, odsłużywszy wojskowość, przeszedł do administracyi. Zobojętniawszy dla narodowości, zobojętniał, jak to w tych stronach Prus Zachodnich bez wyjątku się dzieje, dla religii. Z praktyk kościoła katolickiego począł sobie drwić, ożenił się z niemką ewangieliczką, dzieci wychowywał po ewangielicku i sam w wielkie uroczystości narodowe, chodził do kościoła ewangielickiego. Był członkiem wszystkich „vereinów", a w „kriegervereinie" został nawet

starszym i począł się odtąd pisać Schiemonneck... U pana „regierungsprezydenta“ był jak najlepiéj zapisany i stał poniekąd nie pod landratem, któremu zarzucano opieszałość w zastosowaniu prawa banicyjnego, ale obok landrata. On téż na spółkę z żandarmem Fritzigiem wytropił Ignasia.

Pan sekretarz w strasznym był dzisiaj humorze. Dostał on właśnie od naczelnika ***skiego powiatu pismo,... w którém naczelnik wchodząc w położenie.... dziecięcia, prosi o możność pozostawienia jego w kraju, gdzie ono ma opiekę i dostateczne utrzymanie...

Weszła Jędrzejowa i stanęła pokornie u drzwi. Pan Schiemonneck się zatrzymał, spojrzał na nią swemi buremi, zielonawemi oczami, w których się malowała złość i nienawiść; mróz ją przeszedł, zdawało jéj się, że jéj się serce zatrzymuje w piersiach, słowa wydobyć nie mogła. Pan Schiemonneck mówił po polsku bardzo dobrze, ale słowa polskiego nigdy nie użył, zwłaszcza w służbie. Wrzasnął więc na nią opryskliwie: „*Was will sie*?“ i obracając się w te tropy do jednego z pisarków,—powtórzył: „*Fragen Sie mal das Frauenziemmer*, *was es haben will*?“ Pisarek powtórzył pytanie po polsku:

— Czego chcecie,—kobiéto?

— A bo to dopraszam się łaski prześwietnego sędziego,—rzekła Jędrzejowa, kłaniając się nisko,—bo to ja niby jestem Agnieszka Banasiak, wdowa po Jędrzeju Banasiaku, który był w Śliwińcach kuczerem i umarł pięć lat temu, oberwawszy się przy sianie...

Pan Schiemonneck się niecierpliwił.

— *Lassen Sie das verrückte Frauenzimmer nicht so lange reden und fragen Sie es noch einmal kurz, was es haben will*,—przerwał gniewnie Jędrzejowéj rozpoczęty dyskurs.

— Ale to nas tu nie obchodzi,—rzekł znowu pisarek; macie krótko powiedziéć, po coście tu przyszli?

— A to dopraszam się łaski prześwietnego sądu,—rzekła Jędrzejowa, znowu kłaniając się do saméj ziemi,—jestem wdowa Banasiak i przyszłam prosić wedle mojego wnuka.

— *Und wer ist ihr Enkel*?—zapytał pan Schiemonneck.

— A kto jest wasz wnuk?—powtórzył pytanie pisarek.

— Mój wnuk jest Ignaś,.... Ignaś Ćmonik, syn mojéj córki Haźbiétki...

Pan Schiemonneck nie dał jéj domówić. Imię Cmonik rzuciło w chaos jego myśli światło przypomnienia. Oczy jego zagorzały złowieszczym blaskiem. Z okrzykiem: „*Raus mit diesem verdammten polnischen Vieh*!“ zapieniony złością, rzucił się ku Jędrzejowéj, chwycił ją za ramię, zatopił w niém swe palce i otworzywszy drzwi, po-

czął ją szarpać. Jędrzejowa zgłupiała z przestrachu i wpatrując się błędnemi oczami w pana Schiemonneck, poczęła konwulsyjnie szlochać. Głos pana Schiemonneck, drżący od wzburzenia, i szlochanie Jędrzejowéj rozeszły się po całym domu, pisarkowie w sąsiednich biurach zatrzymali w biegu swe pióra, i nadstawili uszu, kolegę pana Schiemonneck, drugiego sekretarza powiatu, który pracował w biurze na przeciwległym końcu korytarza, aż coś podrywało z miejsca, by pójść i przekonać się, co się dzieje? Cóż? pan radca lada chwila wejść mógł do biura, ruszyć się było nie sposób.

Głos pana Schiemonneck doszedł i do gabinetu, w którym pan radca z panem landratem odbywali konferencyą. Wypadli obydwaj na korytarz zobaczyć, co się dzieje. Na ich widok pan Schiemonneck puścił Jędrzejową i wyprostował się. Jędrzejowa nie przestawała szlochać. Pan radca był to jeszcze młody człowiek, lat co najwięcéj trzydziestu pięciu. Miły i gładki w prywatném obejściu, był w służbie postrachem dla swoich podwładnych. Prócz litery prawa znał tylko jednego jeszcze boga nad sobą, władcę nieba i ziemi, tj. karyerę. Temu bogu na cześć i chwałę umiótł czysto przybytek swojego serca ze wszelkich rzeczy ludzkich, z miłości, litości, żalu i gniéwu, i postawił w niém ołtarz całopalny. Na tym zaś ołtarzu rozniecił ogień nieustający i gdyby bóg jego był zażądał odeń ofiary, jakiéj niegdyś Jehova żądał od Abrahama, pan radca byłby mu bez wahania złożył na swym ołtarzu nietylko syna, ale i żonę i brata i matkę i ojca. Bóg jego mu téż widocznie błogosławił za to zupełne oddanie się jego służbie. Pan radca jeszcze był młodym asesorem, a już go pan regierungsprezydent używał do specyalnych poruczeń. W dwudziestym siódmym roku życia został landratem, a gdy zaledwie skończył lat trzydzieści trzy, został regierungsratem..... W sprawach wydalania rozwinął spryt i energią, które wprawiły w zadziwienie samego regierungsprezydenta.... Pole popisu było dane i na to pole pan regierungsrat rzucił się z całym zapałem swéj „sztreberowskiéj“ duszy. Znał akta wygnańców niemal na pamięć, nic nie uszło jego bystrego oka.

Jędrzejowa zobaczywszy pana landrata z jakimś panem, w którym ani przez myśl jéj nie przeszło, iżby to mógł być on starszy nad panem landratem, uklękła na progu i złożyła ręce jakby do modlitwy.

— Przenajświętszy landracie,—zawołała łkając;—ratuj ty mnie, ach! ratuj w mojém umartwieniu!

Pan landrat był to człowiek już w leciech, słuszny i okazały. Po polsku rozumiał, przez przeciąg swéj trzydziestoletniéj służby

zrósł się ze swoim powiatem, znał w nim niemal każdego człowieka. Z wydalaniami nie mógł wewnętrznie nigdy się pogodzić, gdzie więc mógł, łagodził smutną dolę wygnańców, przedłużał im prawo pobytu, sam komunikował nieraz lokalnemu komitetowi pomocniczemu najwybitniejsze wypadki, w których pomoc jego była potrzebną. Sprawę Ignasia znał i byłby mu chętnie dopomógł. Ale był bezsilny..... Mawiano, że już jest zbyt stary, że w nowe stosunki się nie wżyje, dodano mu niby to do pomocy młodego asesora, a od 1-go kwietnia następującego roku miał być pensyonowany. Wzruszył więc tylko ramionami i oczami wskazał na stojącego obok siebie regierungsrata. Jędrzejowa zrozumiała ten znak niemy i zwróciła swe modły do niego. Czołgając się na kolanach, objęła go za nogi i z płaczem poczęła jąkać swą prośbę. Pan regierungsrat był więcéj zdziwiony niż wzruszony tą osobliwą sceną. Zapytał więc obecnych:

— *Was will sie haben*?

Pan Schiemonneck objaśnił, że prosi o łaskę dla swego wnuka Ignacego Ćmoniaka.

— Tschmonik? Tschmonik? — powtarzał pan regierungsrat, przecierając ręką czoło, jakby coś gwałtem chciał sobie przypomnieć. — *Ach*, *so*, *Tschmonik*! *Nein*, *das geht nicht*, *das geht wirklich nicht..... Sagen Sie's ihr doch*, *dass das nicht geht*.

Sprawa Ignasia głośna była w kołach urzędniczych mianowicie przez zajście..... z panem amtmanem... Osobny „berycht“ odejść o niéj musiał do pana regierungsprezydenta.....

Jędrzejowa została na korytarzu sama, w postawie klęczącéj, z głową pochyloną ku ziemi. Długo trwało, zanim znowu zebrała i uporządkowała swe myśli. Wreszcie zrozumiała, że dla niéj nie ma rady, ciężko wzdychając i łzy ocierając końcem fartucha, zeszła po schodach i wyszła na ulicę. Brzemię boleści tłoczyło ją ku ziemi, blask światła słonecznego raził ją w oczy, w głowie jéj się kręciło, zataczała się jak pijana. Musiała po drodze kilka razy wypoczywać, zanim się dowlokła do domu. I odtąd jakaś choroba wewnętrzna poczęła ją toczyć. Do Ignasia przywiązywała się tém namiętniéj, im bardziéj zbliżał się czas, w którym go miała utracić. Ale zresztą dusza jéj była omdlała, złamana. Jéj dawna chęć do pracy ustąpiła miejsca jakiemuś apatycznemu uczuciu obojętności na wszystko, co ją otaczało, w chacie i naokół chaty widniały coraz wyraźniejsze ślady zaniedbania. Dla kogoż miała pracować, kiedy jéj na stare lata odjąć chciano to, co ją jedynie jeszcze przy życiu trzymało, jéj ubóstwianego Ignasia? Jéj pojęcia się poplątały. W jéj

sercu budzić się poczęła jakaś głucha nienawiść do wszystkich ludzi, odtrącała nawet tych, którzy się do niéj w najlepszéj intencyi zbliżali ze słowami pociechy. Nawet na jegomości czuła w sercu jakąś grzeszną zawziętość, którą napróżno starała się zażegnać wywodami religijnemi. Jéj postać zewnętrzna była wiernym odblaskiem wewnętrznego stanu jéj duszy. Jędrzejowa pochyliła się, pożółkła, włos jéj posiwiał, oczy jéj nabrały jakiegoś błędnego wyrazu, na licach jéj pokazywały się jakieś niezdrowe rumieńce.

(*D. n.*) *X. X.*





MÓZG, MLECZ I PRZYMIOT.

Tajemniczość okrywająca tak zwane choroby sekretne, piętno sromu ciążące niejako nad niemi w pojęciu ogółu, a wreszcie potęga raz przyjętego zwyczaju, skazuje je jak wyrodnego syna na ostracyzm, pozbawia prawa obywatelstwa w literaturze popularnéj perjodycznéj, nie pozwala zabiérać o nich głosu w prasie nielekarskiéj.

Kodeks przyzwoitości nie ma w tym razie na względzie zdrowia fizycznego, lecz odwraca wzrok od pola zasłanego ofiarami. Zamiast oświecać o przyrodzie jadu, jak to czynimy z innemi chorobami, uważamy za stosowne unikać tego przedmiotu i pomijać go milczeniem. A jednak czémże są wszystkie najbardziéj nawet zabójcze trucizny w porównaniu z tym strasznym jadem? On to, jak słusznie powiada Hufeland, zatruwa źródło samego życia, rozsiéwa gorycz w najsłodszych miłości rozkoszach: zabija i niszczy zaród człowieczeństwa, i wpływ swój zgubny aż do przyszłych rozciąga pokoleń. On wciska się nawet w obręb cichéj, domowéj szczęśliwości, odłącza dzieci od rodziców, żonę od męża, kruszy i rozrywa najświętsze związki rodzinne. On przynosi rokrocznie więcéj szkody, aniżeli wszystkie epidemie, przerażające ludność i państwa.

Wobec więc całéj grozy, jaką choroba przedstawia, pomijanie sprawy téj w organach, dla szerokiego ogółu przeznaczonych, z powodu jéj „drażliwości“, jest co najmniéj niewłaściwe tam, gdzie idzie o życie i zdrowie całych pokoleń. Ze względu zaś, że choroba, nawet już dosyć rozwinięta, nie zawsze zdradza się gwałtownemi i baczność obudzającemi objawami, milczenie takie mogłoby tylko szkodę przynieść. Można już bowiem krew mieć zakażoną, nim się na tém poznamy, może choroba zakorzenić się już głęboko, nim się potrzebnego chwycimy ratunku, co większa, zatruwamy drugich, mimo chęci i wiedzy.

Nie idzie oczywiście o to, aby przymiot (*syphilis*) miał stanowić temat salonowych pogadanek; ale trzymanie znów wielkich mass na tym punkcie w ciemności, nie może być bynajmniéj pożytecznêm. Są rany, które aby zagoić, potrzeba je wpiérw otworzyć. Poznanie najpierwszym jest tu warunkiem; z téj téż zasady wychodząc, postanowiliśmy w ogólnych zarysach zapoznać czytelników z cierpieniami organów wewnętrznych, na tle specyficznêm rozwijającemi się, a w szczególności z przymiotem najszlachetniejszych organów, jakiemi są mózg i mlecz pacierzowy.

Wykrycie związku przyczynowego pomiędzy przymiotem, do zwalczenia którego posiadamy odpowiednie środki, a cierpieniem jakiegoś ważniejszego organu, które rozwijając się na innêm, nie specyficznêm tle, stanowczo prowadzić musi do grobu, to prawdziwy tryumf nauki, to kwestya życia i śmierci.

Odkrycie téj doniosłości życiowéj, têm większéj nabiéra wagi, iż nie ma organu w ustroju naszym, któryby na téj drodze nie mógł być napastowanym. A więc mózg i wzrok, serce i mlecz, płuca, nérki, wątroba, organ słuchu, nos i t. d., wszystko to stać się może ogniskiem, w którém straszna sprawa zniszczenia rozgrywać się gotowa.

Związek zachodzący pomiędzy przymiotem a chorobami mózgu, mlecza pacierzowego i organów wewnętrznych, oddawna był już znany.

Pierwszym lekarzem, który zwrócił uwagę na ten związek był Leonicenus, pod koniec XV wieku żyjący. Późniéj nieco, bo w r. 1519, ukazały się spostrzeżenia Ulricha von Huttena, wykazujące wpływ przymiotu na powstawanie paraliżów i apopleksyi. Następnie Massa obserwował newralgie specyficzne. Paracelsus zaś daléj jeszcze rozszerzył zakres odnośnych wiadomości, bo zauważył, że przymiot może stać się przyczyną suchot i wodnéj puchliny.

Nasi lekarze nie dali się wyprzedzić w tym względzie, i możemy się pochlubić, że pierwszy autor dzieła polskiego o przymiocie, Oczko, wygłosił w r. 1581 te same zapatrywania co do przymiotu organów wewnętrznych, jakie nauka dzisiaj przyjęła. Między innemi powiada on, że: „przymiot opanowawszy wszystkie przedniejsze części, zapala i zaraża: jako głowę, serce, płuca, żołądek, nérki, śledzionę;... po wiérzchu zaś wrzody, guzy, krosty, liszaje, dziury, pryszczele, świérzby, z wielkim ułamkiem zdrowia czyni". Dzielnym rzecznikiem tych poglądów był ojciec chirurgii francuskiéj Ambroży Paré, lekarz przyboczny króla Henryka II-go i synów jego Franciszka II-go i Karola IX-go. W dziełach jego stanowiących epokę

w medycynie, a które wyszły po raz pierwszy w Paryżu 1591 roku spotykamy opisy paraliżów i wielkiéj choroby, spowodowanych, specyficzném krwi zakażeniem.

Niestety, poglądy te na razie znalazły wielu przeciwników.

Do wskrzeszenia sprawy téj i posunięcia jéj naprzód w XVIII stuleciu, przyczynił się wielce Astruc, który w r. 1740, naukę o przymiocie starał się oprzéć na anatomii i fizyologii, i pierwszy zwrócił uwagę na zaburzenia cyrkulacyi w mózgu przy przymiocie. Van Swieten zaś, Carrère i Swediaur, uważali przymiot za przyczynę wszystkich prawie chorób przewlekłych.

Przesadne te pojęcia, a przedewszystkiém poglądy objawione w r. 1787 przez Hunter'a, sprzeciwiające się nauce wygłaszanéj przez przytoczonych powyżéj autorów, poparte powagą jego imienia, stały się powodem, że nauka o przymiocie systemu nerwowego, i tyle ważnych dawniejszych spostrzeżeń na długie lata poszły w zapomnienie. Nawet tak ważne odkrycie właściwych tworów przymiotowych w mózgu przy epilepsyi (wielkiéj chorobie) w roku 1779 przez Morgagni'ego dokonane, poszło w niepamięć.

Wprawdzie wkrótce już po Hunter'ze, na którego część winy spada, iż przyczynił się do powstrzymania rozwoju wiedzy o przymiocie organów wewnętrznych, niektórzy lekarze ogłaszali spostrzeżenia swe o paraliżu połowicznym i wielkiéj chorobie przymiotowéj, w drugiéj jednak dopiéro połowie bieżącego stulecia, przymiot systemu nerwowego i organów wewnętrznych, został dokładniéj poznany.

Najdzielniejszymi pracownikami na tém polu z całego zastępu lekarzy najrozmaitszych narodowości, okazali się: Virchow, Leon Gros, Lancereaux, Zambaco, Braus, Heubner, Erb, Fournier, Mauriac, Jackson, Rumf i Kjelberg. Z tych Fournier przyłożył się do wykazania związku przyczynowego między schnięciem mlecza pacierzowego i przymiotem, zasługa zaś wykazania związku pomiędzy chorobami umysłowemi, a w szczególności pomiędzy paraliżem postępowym obłąkanych a przymiotem, należy się Kjelbergowi.

W obec tylu już prac dokonanych, licznych spostrzeżeń, żywych ilustracyi, a wreszcie specyalnych traktatów, monografii itp. opublikowanych we wszystkich ucywilizowanych krajach Europy i Ameryki, trudno byłoby chyba dziś znaléść kogoś, ktoby się ośmielił zaprzeczać wpływu przymiotu na powstawanie chorób mózgu i mlecza.

Tak rozjaśniona pochodnią wiedzy geneza tego procesu patologicznego, otwiéra nowy horyzont lecznictwu. Znajomość przy-

miotu mózgu, mlecza i organów wewnętrznych, daje szanse wyleczenia, a co najmniéj przyniesienia ulgi tym nieszczęśliwym, których cierpienia nawet w samym swym zaczątku, uważane dotychczas były za nieuleczalne. Miliony ofiar, które padały rokrocznie pod ciosem strasznego jadu, dziś, dzięki postępowi nauki, znajdują ratunek i ocalenie.

Lecz nie dosyć jest wiedziéć, które mianowicie organy podlegają sprawie chorobowéj w mowie będącéj, należy prócz tego zapoznać się z ważniejszemi zjawiskami chorobowemi, aby w razie ich wystąpienia, szukać natychmiastowéj pomocy. Do takich zjawisk między innemi należą:

Uporczywe, z głębi czaszki pochodzące, często powracające, niekiedy nie do zniesienia, gwałtowne b ó l e g ł o w y. Skradają się one zazwyczaj jak złodziéj, w nocy, napadają nagle i pozbawiają na długie miesiące snu chorego. Częstokroć bywają tak dokuczliwe, że chorzy odchodzą od zmysłów, zrywają się po kilkanaście razy na godzinę, wiją się na łożu, lub rzucają jak opętani. Trwają one kilka dni, lub, co częściéj bywa, kilka tygodni, a nawet całe lata. Następstwem ich jest brak łaknienia, utrudnione trawienie, rozdraźnienie nerwowe, zmiany w usposobieniu. Chorzy tracą wrodzoną żywość, ogarnia ich smutek, ociężałość i zobojętnienie na wszystko, co ich otacza.

Bóle głowy o tych znamionach, są to właściwie zwiastuny przymiotu mózgowego, głos ostrzegawczy, wzywający do obrony. Niebespieczeństwo jest bliskie; grozi już!

Również częstym objawem zakażenia, jest b e z s e n n o ś ć, występująca bez widocznéj przyczyny. Chorzy dotknięci nią, daremnie usiłują zasnąć. Zdrzémnąwszy się na chwilę, budzą się jakby trapieni przez zmorę. Sen téż taki nie pokrzepia ich, ale przeciwnie nuży; to téż wstając, czują się bardziéj zmęczeni, niż w chwili, gdy się kładli na spoczynek. Stan taki bezsenności może przeciągać się długie tygodnie.

Do wczesnych objawów przymiotu mózgowego, należą z a w r o t y g ł o w y.

Bywają one zazwyczaj przemijające. Początkowo przychodzą raz na miesiąc, późniéj odpowiednio do rozwijających się zmian w mózgu, stają się częstszemi, raz na kilka tygodni, raz na tydzień, a w końcu raz lub parę razy dziennie. Chorzy podczas takiego zawrotu, naraz tracą równowagę, nogi im się chwieją, zaczyna im się kręcić wszystko przed oczami, i żeby nie upaść, chwytają za najbliższe przedmioty, jakie im się pod rękę podsuną, lub opiérają

o mur, latarnię i t. p. Niekiedy zawroty pojawiają się i podczas leżenia, siedzenia, czytania i t. d.

Ponieważ zawroty tego rodzaju bywają zazwyczaj przemijające, efemeryczne, chorzy przeto najczęściéj nie zwracają na nie uwagi, lekko sobie traktując objaw, który jak szybko przychodzi, tak i szybko znika. Lekceważenie jednak to, przychodzi ciężko późniéj odpokutować.

Jako moment wiodący częstokroć do wykrycia początkowego okresu schnięcia mlecza pacierzowego, zawrót głowy bywa niekiedy niesłychanie ważnym i cennym objawem, prowadzącym na trop tak ciężkiego cierpienia, i to w chwili, gdy inne objawy chorobowe mogły jeszcze co do pochodzenia swego wzbudzać pewną wątpliwość lub być utajonemi.

Przymiot niejednokrotnie bywa przyczyną ataków apoplektycznych, podczas których chory nagle pada nieprzytomny i traci władzę w całém ciele. W tych razach po dłuższéj śpiączce, może nastąpić śmierć.

Częściéj daleko przytomność jest zachowaną, a w następstwie ataku takiego, rozwijają się zwykle objawy paraliżu połowicznego. Napady te apoplektyczne okazują wielką skłonność do powrotów i pojawiają się zazwyczaj dopiéro w dalszym przebiegu przymiotu mózgowego, chociaż bywają od tego nierzadkie wyjątki, w których napady te występują jako pierwszy objaw choroby.

Paraliż połowiczny jest najczęstszą formą paraliżu przymiotowego, rozwija się u osobników poniżéj 45 roku życia, niekiedy w 20—30 lat po zakażeniu.

Chory dostaje silnego zawrotu głowy, omdléwa, czuje że pada, i w tym stanie zamroczenia, chwyta się najbliższych przedmiotów, żeby nie upaść. Przytomność nie opuszcza go, widzi co się z nim dzieje, zdaje sobie z tego sprawę, i z największemi szczegółami o tém, co zaszło, opowiada.

Niekiedy paraliż połowiczny rozwija się powoli. Chory początkowo czuje tylko osłabienie w jednéj połowie ciała, które się stopniowo wzmaga i dopiero po jednym, dwóch lub trzech dniach, prowadzi do ubezwładnienia.

W niektórych przypadkach paraliż połowiczny występuje częściowo. W jednym dniu naprzykład ulega porażeniu noga, w drugim ręka, w trzecim połowa twarzy itd.

Paraliże połowiczne przymiotowe bywają zazwyczaj niezupełne, dosyć lekkie i częściowe, to jest nagabują w bardzo nierównym stopniu twarz, kończynę górną i dolną, tak że gdy w jednéj z tych trzech części porażenie może być znacznego nawet stopnia, w innych zaledwie dostrzegać się daje.

Częstokroć paraliż połowiczny występuje podczas snu, i chory przebudziwszy się, ze zdziwieniem spostrzega, że nie może władać ręką lub nogą, albo całą połową ciała.

Zboczenia psychiczne, towarzyszące najczęściéj przymiotowym paraliżom połowicznym, polegają na osłabienia pamięci, zmniejszeniu pojętności, energii i szybkości myślenia, obojętności na wszystko; w wielu atoli przypadkach niéma ich wcale. Poprzedzają one paraliż połowiczny, lub dopiero wraz z nim się rozwijają, i albo nabierają znaczenia ciężkiéj choroby umysłowéj, albo są tak nieznaczne, iż mogą ujść uwagi osób nie znających bliżéj chorego.

Paraliż połowiczny przymiotowy, jako zboczenie czynnościowe w układzie nerwowym, jest wyrazem nie rodzaju zmiany anatomicznéj w mózgu, lecz jéj umiejscowienia, ztąd nie przedstawia on bezwarunkowo właściwych cech. Wszakże charakterystyczne bóle głowy, o których powyżéj była mowa, porażenie niezupełne, napady z zachowaniem przytomności, wiek chorego, a wreszcie obecność zjawisk przymiotowych, lub poprzednie tegoż objawy, przemawiają za naturą przymiotową danego porażenia. Za przymiotem przemawia również skuteczność leków specyficznych, i pomyślne wyniki leczenia, nie możebne przy zaburzeniach mózgu, wywołanych zmianami anatomicznemi innéj przyrody.

Mocno podejrzany, ze względu na swe sekretne pochodzenie, jest p a r a l i ż p o w i e k i g ó r n é j,—tak często napotykać się dający. Powieka opada zwykle stopniowo, opuszczając się z czasem coraz bardziéj ku dołowi, skutkiem czego następuje zupełne zamknięcie oka, albo téż większe lub mniejsze jego przymknięcie. W pierwszym razie roztworzenie oka zupełnie jest niemożebne, tak że chcąc patrzéć, trzeba je sobie palcem otwierać. Na objaw ten przymiotu, chorzy winni szczególną zwracać uwagę i szukać pomocy zawczasu, a nie, jak to najczęściéj bywa, dopiero po upływie długich miesięcy, lub wówczas kiedy pomoc jest zapóźna.

Bardzo pospolitym zjawiskiem przymiotu, jest następujące zaburzenie wzroku. Wpośród niczém nie zakłóconego stanu zdrowia, chory, czytając naprzykład, lub spoglądając na jakiś przedmiot, widzi go na raz podwójnie. Stan taki może trwać minuty, niekiedy godziny, lub znacznie dłużéj się przeciągać. Chorzy podczas przypadłości takich skłonni są do zasięgnięcia rady, ale jak skoro takowe przeminą, uważają to, ze szkodą dla siebie, za zbyteczne.

Z w ę ż e n i e ź r e n i c y jest zjawiskiem nadzwyczaj częstém. Źrenica bywa zwężona i to do tego nieraz stopnia, że zaledwie wielkości ziarnka maku dochodzi. Chory skarży się, że mu ciemno, że wzrok jego jest zamglony.

R o z s z e r z e n i e ź r e n i c y bywa znaczne, ale rzadko dochodzi do tego stopnia, iżby się aż brzeg tęczy krył za brzegiem białkówki. Chory doznaje olśnienia, a widziane przedmioty otaczają się nieraz tęczowemi barwami. Zaburzenie to nader wzrok nadwéręża.

Oprócz z é z o w a n i a, najczęściéj przemijającego, napotykamy przy przymiocie n i e c z u ł o ś ć n a b a r w y; szczególniéj czerwonego i zielonego koloru chory rozeznać nie może.

Powyższe zaburzenia organu wzrokowego są niezmiernie ważne, nietylko bowiem upośledzają wzrok, ale nadto dowodzą najczęściéj istnienia choroby mózgu, na tle zakażenia przymiotowego rozwijającéj się, są więc zwiastunami ciężkiéj choroby, oznaczają groźne niebezpieczeństwo.

Przechodząc stopniowo całą gamę zaburzeń, organ wzrokowy porażony nareszcie zostaje do tego stopnia, iż chory rozeznaje wprawdzie jeszcze światło, lecz pole widzenia wydaje mu się jakby napełnione mgłą, zgęszczającą się tu i owdzie, w postaci grubych obłoków. Objawy te przy użyciu okularów stają się znośnemi i na nieszczęście nie wzbudzają jeszcze żadnego podejrzenia. Nareszcie ostrość widzenia opada. Chory widzi duże przedmioty niewyraźnie lub tylko ich połowę, a w końcu zupełnie ślepnie. Utrata wzroku bywa niekiedy jednostronna i wówczas zdarzyć się może, że chory przez długi czas sam o tém nie wié, dopóki jéj przypadkiem nie odkryje. Ślepota ta zwykle wielkiego przerażenia staje się powodem, rodząc przekonanie, że oko w téj saméj chwili oślepło. Zwykle oślepnięcie bywa obustronne, a zdarzają się przypadki, iż takowe rozwija się bardzo gwałtownie, prawie nagle.

P a r a l i ż n e r w u t w a r z o w e g o częstokroć bywa zwiastunem przymiotowego schnięcia mlecza pacierzowego. Porażona połowa twarzy jest gładka, pozbawiona fałd, zmarszczek, niby odprasowana, obwisła, bez wyrazu. Oko rozwarte i załzawione; usta skośnie przeciągnięte ku stronie zdrowéj, podobnież i koniec nosa. Chorzy mówią, płaczą, śmieją się itp. wyłącznie tylko stroną zdrową, chora pozostaje nieruchoma. Nie są w stanie zmarszczyć czoła, zbliżyć brwi ku sobie, zamknąć oka. Twarz mocno jest wykrzywiona, ponieważ porażone mięśnie pociągnięte zostają przez skurcz zdrowych mięśni. Mowa staje się niewyraźną.

Paraliż nerwu twarzowego cechuje się względną łagodnością objawów, krótkiém trwaniem i łatwą uleczalnością.

B e z ł a d k o ń c z y n d o l n y c h (*ataksia*), stanowi ważny objaw schnięcia mlecza pacierzowego natury przymiotowéj. Początkowo chorzy uskarżają się na osłabienie i uczucie ciężkości w no-

gach, prędko się męczą, szczególniéj nuży ich stanie. Chory, który może godzinami jeszcze chodzić, nie jest w możności kwadransa ustać na jedném miejscu. Stan taki osłabienia, stopniowo zwiększający się, może trwać niekiedy lata, bez wszelkich zaburzeń w koordynacyi tj. kojarzeniu ruchów; doszedłszy jednak wyższego stopnia, staje się powodem, że chód nie jest tak pewny i zgrabny.

Następnie przyłączają się zaburzenia w kojarzeniu ruchów i utrzymaniu równowagi.

Ażeby zachować równowagę przy staniu i chodzeniu, niezbędném jest energiczne i harmonijne współdziałanie wielu pojedynczych mięśni. Jakiéj wprawy i siły potrzeba do téj czynności, widzimy to na dzieciach, które nim się nauczą stać i chodzić, wielokrotnie przedtém upadają. Chorzy téż, dotknięci schnięciem mlecza pacierzowego, nie są wstanie po ciemku lub z zamkniętemi oczami bez chwiania się ani stać, ani chodzić. Chwianie to, zwiększające się zazwyczaj wieczorem, z czasem dochodzi do tego stopnia, że chory pada, idąc z zamkniętemi oczami. Światło więc i wzrok potrzebne są ataktykom dla utrzymania równowagi.

Chód jest tupiący, chory uderza mocno piętą o ziemię. Nogę podnosi wyżéj niż potrzeba, rzuca nią, idzie szeroko, kolana trzyma sztywno; gdy ma się szybko obrócić, traci równowagę.

Ciekawém jest zjawiskiem, że chorzy nie mogący już chodzić, w położeniu leżącém, swobodnie, a częstokroć z zadziwiającą siłą, wykonywują pewne ruchy. Mianowicie zginanie i prostowanie nóg, jest dla nich łatwém. W ataksyi bowiem siła muskularna jest zachowana, brak jest tylko regulatora ruchów. Czynności pojedynczych mięśni są nienaruszone, działanie ich jednak wspólne, zbiorowe, szwankuje.

Do wczesnych i stałych zjawisk bezładu, należy objaw utrudnionego schodzenia ze schodów. Chorzy z obawy upadnięcia, schodzą ze schodów powoli, ostrożnie, trzymając się poręczy.

Bezład, może stanowić jedyne zjawisko chorobowe przez długi bardzo przeciąg czasu, zwykle jednak grupują się około niego i inne objawy z pośród przytoczonych.

W wyjątkowych razach i ręce podlegać mogą bezwładowi, i wówczas nietylko delikatne i drobne przedmioty choremu trudno jest chwytać palcami, ale i grubsze ruchy mogą być upośledzonemi.

Do najważniejszych postaci przymiotu mózgowego należą konwulsye, znane pod nazwą wielkiéj choroby, padaczki lub epilepsyi. Stanowią one zjawisko nieoszacowanéj i niesły-

chanéj doniosłości praktycznéj, będąc bowiem objawem specyficznego cierpienia mózgu, dają się uleczyć. Występują one najczęściéj jako pierwszy objaw przymiotowego cierpienia mózgu. Częstokroć pojawiają się w nocy, podczas snu, i wówczas mogą łatwo przejść niepostrzeżenie. Zwykle jednak w takim razie chorzy nazajutrz skutkiem nadgryzień języka, zdarzających się podczas ataku, uskarżają się na bolesność języka; na poduszkach spostrzegać się dają plamy szarawe, a niekiedy różowawe, od piany z ust pochodzące, na prześcieradle zaś znajdujemy ślady mimowolnego oddania moczu.

Epilepsye przymiotowe występować mogą i bez utraty przytomności, i ograniczać się do jednéj tylko połowy ciała, albo też może nastąpić nieznaczne tylko zamącenie przytomności. Zjawiska te wraz z brakiem krzyku, rozpoczynającym zwykle napad padaczki zwyczajnéj, szczególniéj często napotykają się przy zakażeniu krwi przymiotowém.

Ze stanowiska praktycznego zaś, należy prócz tego każdą padaczkę, któréj przyczyny wyśledzić nie można, uważać za specyficzną.

U t r a t a w ł a d z y m ó w i e n i a (*afazya*) bywa niekiedy pierwszém i jedyném zjawiskiem przymiotu. W okresie wczesnym bywa zazwyczaj przemijająca, przelotna, trwa stosunkowo krótko, od kilku godzin do kilku minut a nawet i krócéj. Występuje najczęściéj nagle, i to w napadach powtarzających się od czasu do czasu.

Ciekawy przypadek w tym względzie, jaki zdarzył się w Paryżu, opisuje Fournier. Pewien chory, idąc ulicą, zawołał fiakra i zajął w nim miejsce. W chwili, gdy miał powiedziéć, dokąd chce jechać, nagle zaniemówił. Woźnica sądząc, że ma do czynienia z człowiekiem, który chce sobie z niego żartować, począł go łżyć, w końcu jednak dowiózł go do stacyi, gdzie mowa w niespełna kwadrans powróciła.

Utraty mowy pod względem stopnia, bywają nader rozmaite. Zupełne, w których chorzy ani jednego słowa wypowiedziéć nie mogą, i niezupełne, nader znów między sobą różne, zacząwszy od zasobu kilku wyrazów, a skończywszy na lekkiém zacinaniu się w mowie.

Częściéj jednak utrata mowy pojawia się w towarzystwie innych objawów, jak apopleksyi, zawrotu głowy, paraliżu, szczególniéj prawéj połowy ciała lub pojedyńczego członka, otrętwienia, zaburzenia w ruchach języka, osłabienia pamięci, pewnego obniżenia władz umysłowych i t. p.

Częstokroć chorzy nie są w stanie powtórzyć głoski lub wyrazu podpowiedzianego, pomimo wysiłków, chociaż, słowa takowe umieją pisać. Innym razem znów tracą prócz tego władzę pisania, i daremnie trudzą się, wykreślając niezrozumiałe znaki na papierze.

Nadzwyczaj często w następstwie przymiotu cierpi pamięć, i to nieraz w pierwszych już początkach choroby. Osłabienie pamięci najczęściéj bywa stopniowe, niekiedy w przerwach, albo nagłe, jakby w postaci napadu. Początkowo pamięć jest zwykle lekko osłabiona, z czasem jednak utrata jéj coraz bardziéj się wzmaga, tak, że może dojść do tego, iż chory zapomina co przed chwilą mówił. Ciekawą jest ta okoliczność, że chorzy fakta dawniejsze niekiedy dobrze zachowują w pamięci, a świeże szybko zapominają.

Ze strony narządu słuchowego napotykamy zjawiska tego rodzaju, jak: szum, świst, brzęczenie, dzwonienie. Jeśli zboczenie jest w wyższym stopniu, następuje upośledzenie słuchu, albo téż głuchota.

Upośledzenie słuchu stanowi niekiedy jedyny i pierwotny objaw zakażenia.

Zboczenia umysłowe, przez przymiot wywołane, są bardzo częste. Występują one powolnie z obniżeniem pojętności i ogłupieniem, lub więcéj ostro, wśród objawów podniecenia mózgu.

Obniżenie władz umysłowych objawia się powolniejszém myśleniem, osłabieniem pojętności i pamięci, brakiem należytego ciągu w myśli, słowie i czynie, z czego powstają rozmaite kroki fałszywe i sprzeczności w postępowaniu.

Z tém obniżeniem władz umysłowych idzie w parze zmiana charakteru, nawyknień i humoru. Chory staje się innym aniżeli był przed tém. Traci zwykły zapał, żywość i zmienia sposób życia. Przedtém pracowity, staje się opieszałym i bezczynnym; gaduła, robi się małomównym, milczącym; niegdyś światowiec, lubiący zabawy, teatr, bale, unika towarzystwa i nie wychodzi z domu. Mniéj go zajmują sprawy własne i najbliższych. Zaniedbuje interesa, stosunki, ubiéra się niedbale, nudzi się, popada w obojętność, apatyę, łatwo podlega wpływom osób otaczających. Chwilami wpada w gniéw, staje się niecierpliwym i unosi się bez przyczyny.

Na tle przytępienia umysłowego wywiązuje się pewne rozprzężenie w słowach i czynach. Chory staje się narwanym, zaczyna jakąś rzecz i nie kończy jéj; tworzy projekt, zajmuje się nim jakiś czas, i lekkomyślnie porzuca go. Wśród mowy urywa naraz zdanie, lub wypowiada rzeczy nie mające sensu. Kładzie się spać i wstaje po kilka razy dziennie, ciągle się ubiéra i rozbiéra, nie

wiedząc dla czego, albo też leży całemi dniami w łóżku i nie chce wstać; zapomina gdzie jest i co ma robić.

Inne postaci zboczeń umysłowych, jak bredzenie, obłęd, szaleństwo, występują mniéj więcéj ostro.

Powyższe zboczenia umysłowe prowadzą najczęściéj do niedołęstwa umysłowego, które prędzéj lub późniéj kończy się śmiercią. Bóle głowy, bezsenność, do których przyłączają się późniéj napady apoplektyczne, epileptyczne i paraliże, stanowią tu prolog do niedołęstwa; zboczenia zaś umysłowe występują dopiéro późniéj. W niedołęstwie zaś zwyczajném bywa wprost przeciwnie; tu zboczenia umysłowe są pierwotnemi objawami choroby.

Zakażenie krwi przymiotowe zdradza się niekiedy urojeniami prześladowczemi. Choremu zdaje się, że go wszyscy prześladują, nienawidzą, przeciwko niemu intrygują.

Wreszcie obłęd przymiotowy może występować pod postacią samobójstwa, lecz zdarza się stosunkowo rzadko.

Nadmienić tu należy, że są przypadki, w których przymiot objawia się wyłącznie i jedynie cierpieniami umysłowemi.

Przy cierpieniach przymiotowych mlecza pacierzowego, nader ważną rolę odgrywają t. z. bóle błyskawiczne w nogach. Charakteryzują się one tém, że nagle się pojawiają i również nagle przemijają. Zdaje się jak gdyby iskra elektryczna przeszywała ciało. Początkowo są one dosyć łagodne, występują w dłuższych przestankach i pojedyńczo. Gdy się choroba rozwinie, powtarzają się częściéj, nieraz co kilka minut, pod postacią jakby paroksyzmów. W tym okresie bywają one częstokroć tak gwałtowne, że stanowią istne tortury dla chorych.

Występowanie bolów tych w przerwach dłuższych i w łagodnéj postaci, jak to ma miejsce z początku choroby, poczytać można poniekąd za zgubę dla chorego. Gdyby bowiem bóle te były z samego początku tém czém, są późniéj, nie pozwalanoby, jak to zazwyczaj bywa, rozwijać się chorobie, ale staranoby się o jéj usunięcie w samym zarodku. Choremu, nie mającemu pojęcia o ważności przemijającego tego objawu i przez myśl nawet nie przejdzie, iż może zachodzić potrzeba szukania pomocy lekarskiéj w tak błahéj napozór rzeczy. Chory naprzykład mógł miéć wczoraj bóle, ale dziś nic nie czuje: wszystko przeszło; — pocóż ma sobie zadawać trud i wzywać pomocy lekarskiéj do rzeczy więcéj już nie istniejącéj!? Ważném przeto jest wiedzieć, że bóle te należą do najstalszych, najczęstszych i najpierwszych objawów schnięcia mlécza pacierzowego, stanowiąc niekiedy lata całe jedyny jego objaw.

Siedliskiem bólów błyskawicznych prawie zawsze są kończyny dolne, z czasem jednak mogą zmienić swą siedzibę i przenieść się na żywot, klatkę piersiową i kończyny górne. Zdarza się nawet niekiedy, iż wbrew swemu upodobaniu, sadowią się one pierwotnie w kończynach górnych. Występy nawet takie nie należą do rzadkości.

Pora dnia nie stanowi dla nich różnicy, napastują tak dobrze we dnie jak i w nocy, chociaż zdają się zdradzać pewną predylekcyę do nocnych debiutów.

Bóle krzyża trwające niekiedy miesiące, innym razem daleko krócéj, o rozmaitym stopniu napięcia, ulegające nasileniom i zwolnieniom, czyli to zwiększające to zmniejszające się, okazujące skłonność do powrotów, są pospolitym objawem przy cierpieniach mlecza natury przymiotowéj.

Zboczenie pęcherza moczowego, w koncercie zjawisk chorobowych, towarzyszących cierpieniom mózgu i mlecza przyrody przymiotowéj, odgrywają niesłychanie ważną rolę.

Do najczęstszych zjawisk ze strony pęcherza moczowego należy pewien rodzaj porażenia niezupełnego tego narządu. Chory urynuje z wysiłkiem, powoli, a musi wyczekiwać nieraz parę minut, nim się strumień ukaże. Najtrudniejszym i najpracowitszym, jest sam początek aktu, zwłaszcza z rana, po przebudzeniu się; pęcherz bowiem, będąc wzdętym całą noc, przez nagromadzony w nim mocz, traci swą sprężystość. Nie wypróżnia się też on od razu, ale w kilku, że tak powiemy, odsłonach. Podczas najpiękniejszych chwil swéj czynności, w samym środku niekiedy, na raz mocz się zatrzymuje i nie płynie, aż dopiéro po kilku sekundach i to na skutek nowego wysiłku, poczém scena ta się powtarza,—zatrzymanie wywołuje nowy wysiłek i tak daléj. Sam zaś strumień jest prawie zawsze nikły, o sile rzutu pozbawionéj energii.

Logicznem następstwem tego wszystkiego jest to, że moczenie trwa długo (5, 10—15 minut), w miejscach zaś publicznych zwraca na siebie uwagę, i staje się niekiedy powodem do żywych nieporozumień.

Niekiedy zatrzymanie moczu bywa zupełne, lubo po pewnym dłuższym czasie, może przeminąć.

Prawie charakterystycznem zjawiskiem jest przypadkowy, mimowolny odpływ moczu, uciążliwy ze względu na warunki czystości, i zdarzający się po za aktem moczenia. Występuje on tak na jawie jak i we śnie. Jest to jeden z najcięższych objawów, i po większéj części znamionuje zaburzenie systemu nerwowego, przedewszystkiem zaś bywa zwiastunem schnięcia mlecza pacie-

rzowego. Znajomość tego zjawiska i poznanie jego właściwéj doniosłości, jest tém większéj wagi, ze względu, iż chorzy pomimo całéj nieprzyjemności, na jaką z tytułu tego są narażeni, przez niewytłómaczone uczucie wstydu, nie spowiadają się zazwyczaj z tego objawu przed lekarzem.

Niekiedy pojawia się parcie na mocz, tak że chory pozywany jest nieraz po 20—30 razy dziennie, i to jakby pod naciskiem kategorycznego rozkazu, niespełnienie którego natychmiastowe, ściąga za sobą nieprzyjemne skutki dla lubiących porządek.

Zdarza się znów i przeciwnie, tj. że chorzy, w okresie zwiastunowym schnięcia mlecza pacierzowego, tracą poczucie potrzeby moczenia, i spełniają akt ten raz na 24 godzin, jedynie rzec można dla zwyczaju. Tracą wówczas zazwyczaj czucie, i dla przekonania się, czy akt ten jest w biegu, czy téż już się ukończył, zmuszeni są posiłkować się organem wzroku lub dotykania.

Bywają również wypadki bolesnego moczenia, połączonego z uczuciem palenia, bolesnością pęcherza i t. z. paroksyzmy podobne do kolek nerkowych lub wątrobowych, a nader dotkliwe.

W czynnościach życia płciowego odgrywają się również sceny wielkiego znaczenia dyagnostycznego. Początkowo czynności te bywają zazwyczaj podniecone. Wybuchy jednak takie porównać można niestety tylko do zapalonéj i szybko gasnącéj słomy. Wkrótce téż ustępują one miejsca osłabieniu, a w końcu niemocy, z nastąpieniem któréj wybija zwykle ostatnia godzina życia płciowego.

Do kategoryi zjawisk poprzednich zaliczają się również zmazy dzienne i nocne, trapiące częstokroć chorego bez wszelkich nawet lubieżnych snów, że tak powiemy na zimno.

Dzięki powinowactwu, jakie odkryte zostało między przymiotem i cierpieniami mlecza, na arenie zaburzeń syfilitycznych, jakkolwiek rzadko, spotykamy się z objawami tego rodzaju. Chory nagle, niekiedy podczas snu, dusić się poczyna, sinieje, dyszy, oddech jego przybiéra charakter gwiżdżący, niekiedy pada i traci przytomność na kilka minut. Do zjawisk tych przyłączają się częstokroć objawy epileptyczne, jak: drgawki, ukąszenie języka i t. p. Na szczęście po kilku minutach, stan ten groźny przemija, przytomność powraca, dyszenie znika, oddech staje się prawidłowym.

Spazm krtani może atoli dojść do tego stopnia, że oddychanie naraz zatrzymuje się. Chory pada bez przytomności i przedstawia istny obraz śmierci. Niekiedy, gdy paroksyzm zbyt się przeciąga, przy ciągle słabnącém biciu serca, może nastąpić rzeczywiście śmierć przez uduszenie.

Do kamertonu objawów przymiotu dostraja się w razach wyjątkowych i kaszel. Występując w tym charakterze, kaszel pozbawiony jest zwykłych zmian anatomo-patologicznych, towarzyszących cierpieniom oskrzeli lub krtani, jest nerwowy, spazmatyczny, suchy, dźwięczny, podobny do kokluszu, niekiedy nagle zatrzymujący się, lub połączony z zaczerwienieniem twarzy, graniczącém z sinicą.

W przebiegu przymiotu systemu nerwowego, występują również przeróżne zaburzenia gastryczne (*crise gastrique*), pod postacią wymiotów, bólów i kolek gastrycznych.

Ważne jest nader zdemaskowanie właściwéj przyrody zjawisk tych i nalepienie właściwéj dla nich etykiety. Zdarza się, że chorzy, nieraz w przeciągu kilku dni, wszystko co zjedzą lub wypiją, natychmiast z wymiotami oddają.

Kurcze żołądka przychodzą w postaci paroksyzmów, ostro. Są niesłychanie dokuczliwe, ale cała scena odbywa się na sucho, bez wymiotów.

Wielkie napady gastryczne przymiotowe, odznaczają się swą ostrością, gwałtownością i nagłością. Chory doznaje uczucia jak gdyby mu żołądek palono rozżarzoném żelazem, lub takowy rozdziérano. Bóle żywota, klatki piersiowéj, kolumny pacierzowéj, czkawka, nudności i wymioty, czynią stan ten tém nieznośniejszym, wstrząsają całym organizmem. Szczególniéj nudności bez wymiotów są straszne. Zdaje się, że piersi pękną, dusza uchodzi. Nie dziw więc, iż wobec takich męczarni, chory jest niespokojny, wydaje okrzyki cierpienia i rozpaczy, zmienia ciągle położenie, przybierając nieraz dziwaczne pozy. Wielkie napady gastryczne gwałtownością swą przypominają kolki wątrobiane lub nerkowe, z któremi pod względem dokuczliwości, walczyć mogą o pierwszeństwo. Przebieg swój kończą zazwyczaj po 1—3 dniach, niekiedy jednak mogą trwać i dłużéj. Początkowo powtarzają się rzadziéj, raz na kilka miesięcy, późniéj raz na miesiąc, a w końcu co tydzień.

Ponieważ przymiot może nagabywać każdą część mózgu, przeto oprócz opisanych mogą występować i inne zboczenia, jak: pląsawica, porażenie opuszkowe, warg, języka i krtani, kurcze drgawkowe palców, rąk i nóg, choroba cukrowa, zaburzenia krążenia krwi atetoza, zwiększone pragnienie itp.

Na zakończenie winniśmy tu nadmienić, że przymiot mózgu i mlecza wybucha najczęściéj w trzy do dziesięciu lat po infekcyi, chociaż zdarzają się wypadki, że takowy pojawia się już w pierwszym roku, lub dopiero w 20—30 lub 40 lat, po zakażeniu.

Objawy powyżéj przytoczone, tak wielką różnorodność zjawisk przedstawiające, i wyradzające częstokroć przeróżne kombinacye i postaci mieszane, obce innym chorobom, nie są wyłączne tylko dla przymiotu, lecz spotykają się i przy innych cierpieniach, nie specyficznych. Ustrój nasz bowiem jest jak maszyna, w któréj gdy jedno z kółek z jakiegokolwiekbądź powodu zostanie nadwérężone lub uszkodzone, powstałe ztąd zaburzenia fizyologiczne zawsze będą podobnie się uzewnętrzniać, a to dla téj prostéj przyczyny, iż nie ma on innego sposobu, że tak powiemy, objawiania swych obrażeń. Kółko zegarka, może być również dobrze zatrzymane przez włos, jak i ziarnko piasku, a skutek bez względu na przyczynę, pozostanie zawsze ten sam. Z tém wszystkiém jednak, u osób, które podlegały już kiedyś zakażeniu specyficznemu, lub takowe w spuściźnie na świat ze sobą przyniosły, objawy powyższe budzić zawsze muszą silne podejrzenie, i skłaniać je, choćby tylko przez zmysł zachowawczy, do szukania rychłéj pomocy. Im bowiem przymiot tkwi dłużéj w organizmie, im wzięto się późniéj i mniéj energicznie do leczenia, tém mniéj spodziewać się należy zupełnego wyzdrowienia.

Tak więc pod zgubnym wpływem przymiotu, nietylko śmierć zatknąć może swój sztandar, ale nawet w pomyślniejszych razach, gdy życie chorego zostanie zachowane, częstokroć groźne zboczenia stanowić mogą zakończenie dramatu, na tle zakażenia krwi rozgrywającego się.

Najsmutniejsze role, jakeśmy to widzieli, dostały się dwu najszlachetniejszym zmysłom, jakiemi są słuch i wzrok.

Najstraszliwsze kalectwo, jakie może dotknąć człowieka, to jest głuchota i zupełna a niepowetowana utrata wzroku, zabiera liczne ofiary, i to częstokroć pomiędzy młodzieżą w kwiecie wieku będącą. Jeśli do tego dodamy takie zjawiska, będące następstwem przymiotu, jak: paraliże, obłąkanie, niedołęstwo, utrata mowy, itp., to uwydatni nam się przerzeczona choroba w całéj swéj ohydzie.

Ażeby od tych ostateczności możliwie się uchronić, trzeba wiedziéć, że nawet rychłe i trafnie zastosowane leczenie specyficzne, w szczęśliwych razach jakby cudów dokonywające, przeciągać się musi, z przerwami wprawdzie, na długie miesiące, a niekiedy i lata. Wytrwałość więc tu jest niezbędnym warunkiem. Wytrwałość ta tém jest konieczniejszą, iż chorzy tego rodzaju, bałamuceni są bardzo często przez osoby otaczające, lub ślepém zaufaniem chorego cieszące się,—które nie mając żadnego pojęcia o działaniu środków merkurialnych, zazwyczaj przy leczeniu takiém niezbędnych,

i przedstawiając je w fałszywém świetle, starają się wszelkiemi sposobami odwieść chorego od prowadzenia kuracyi, będącéj dla niego jedynéni zbawieniem. Tacy niepowołani doradcy, gotujący szkodliwemi swemi pokątnemi radami otwarty grób dla chorego, to mimowolni jego zabójcy. Wpływ ich jednak tak dalece sięga, iż chorzy nie raz z całą lekkomyślnością przerywają kuracyą, od któréj jedynie, jak o tém sami mieli sposobność na sobie przekonać się, doznali polepszenia na zdrowiu. Zdaje się, jakby nad nimi zawisło jakieś *fatum*, które nie pozwala im z całą samowiedzą wydobyć się z zaczarowanego koła cierpień. Epizody tego rodzaju, niestety zbyt często powtarzają się w życiu, by o nich można było tu zamilczéć.

Częstokroć znów zdarza się, że sami chorzy pod wpływem jakichś niewytłómaczonych pożądań, np. że lekarstwo nie jest dosyć przyjemne dla smaku, lub nie odpowiada warunkom kosmetycznym, kaprysza i nie stosują się do przepisów lekarskich, których zbawiennego wpływu zaprzéć nie są wstanie. Słowem, liczne i nie dające się niczém wytłómaczyć momenta, składają się na to, że większość chorych tego rodzaju, wobec możliwego ratunku, ginie, dla braku wytrwałości.

Należy również tu pamiętać, że aczkolwiek dzielne są środki specyficzne, mają one jednak granice swego działania, i że w przypadkach zaniedbanych, mogą działać wcale niedostatecznie. Podobnież trzeba miéć na pamięci, że pogorszenia i powroty, nastąpić mogą nieraz po bardzo długim czasie. Czas ten trwać może miesiące, lata nawet, tak że pod tym względem, nigdy przymiotowi zbyt ufać nie można.

Tylko rozwój samowiedzy w narodzie zdziałać może, iż chory szukać będzie ratunku wówczas, kiedy tenże jest możliwy, nie czekając, aż wskutek zakażenia krwi, zwyrodnienie jakiegoś ważniejszego organu dosięgnie takiego stopnia, że o restytucyi nie będzie już mowy. Lekarzy zaś obowiązkiem jest wygłaszać i objaśniać te prawdy, zdobyte naukowém spostrzeganiem, tak ażeby one weszły w krew i soki społeczeństwa, i stały się jego nabytkiem.

Dr. Kadler.





FILOZOF W WIĘZACH REAKCYI.

Dostało mi się, za pośrednictwem p. Włodzimierza Spasowicza, 14 wielce ciekawych listów najoryginalniejszego myśliciela naszego, Bronisława Ferdynanda Trentowskiego, pisanych w latach 1856 — 1862 do Aleksandra Zdanowicza, który naówczas słynął w Wilnie jako jeden z najlepszych nauczycieli w praktyce i jako autor dzieł pedagogicznych.

Nie ma wątpliwości, że nie są one w komplecie, mianowicie widoczny jest brak początkowych, gdy się znajomość dopiéro zaczynała; pierwszy bowiem chronologicznie, jaki mam przed sobą, odznacza się już objawami pewnéj zażyłości i mówi o kwestyach omawianych oczywiście poprzednio.

Z tego powodu pobudka, która wywołała korespondencyę, nie jest wyrażona w żadnym z zachowanych listów. Domyślać się jéj tylko można ze wzmianek i napomknień.

Zdanowicz, który wydawał książki elementarne już od r. 1829, poświęcał się głównie językowi francuskiemu i historyi powszechnéj, ale filozofią nie zajmował się zgoła. Wiedział o niéj zapewne tyle, ile ukształconemu ogólnie człowiekowi wiedzieć wtedy wypadało; znał jako historyk różne fazy, którym „nauka mistrzowska“ ulegała, lecz w zgłębianie systematów, mianowicie nowszych, wcale się nie zapuszczał, gdyż natura jego umysłu, stroniąca od abstrakcyj, zamiłowanie i praktyka długoletnia od takiego zatrudnienia go odciągały.

Tymczasem nakładca głównych jego dzieł historycznych, Zawadzki, wydał w r. 1852 tom drugi dzieła Józefa Kremera p. n. „Wykład systematyczny filozofii“ według metody i na podstawie systematu Hegla. Tom ten, zawierający filozofią natury i ducha

ludzkiego wyszedł w chwili bardzo niepomyślnéj dla uprawy umiejętności niezależnéj. Umysły, które przed rokiem 1850, choćby dla mody tylko, interesowały się gorączkowo zagadnieniami filozoficznemi, teraz w dobie reakcyi polityczno-religijnéj, jaka w całéj nastąpiła Europie, a więc i u nas odbiła się także, odwróciły się od nich z niechęcią. Jedni poczytywali filozofią tylko za bezpłodne marzycielstwo, a inni pod wpływem gromów przez duchowieństwo rzucanych na naukę niezależną wogóle, w szczególności zaś na bezbożne, panteistyczne wywody filozofii niemieckiéj, patrzeli na nią, szczerze czy obłudnie, jako na rzecz dla wiary i porządku społecznego w najwyższym stopniu zgubną, boć „nie ma nic gorszego nad pychę rozumu", ośmielającego się analizować nawet objawienie.

Wobec takiego nastroju umysłów, coraz potężniéj się przejawiającego, nakładcy dzieła Kremera chodzić musiało o to, iżby ktoś, mający popularność i wziętość, a w prawowierności swéj nieposzlakowany, przekonać się starał inteligentniejszych czytelników, że dzieło owo nietylko nie zawiéra w sobie nic przeciwnego religii chrześcijańskiéj, lecz owszem zwalcza straszny panteizm i uczy prawdziwéj mądrości. Zwrócił się tedy do Zdanowicza i uprosił go, ażeby się takiéj pracy podjął. Zdanowicz nie odmówił i spełnił zadanie swe sumiennie.

Przeczytawszy oba tomy „Wykładu systematycznego filozofii" (pierwszy był wydany r. 1849 w Krakowie), przedstawił jasno i popularnie znaczenie filozofii wogóle, a następnie rozkład i treść „Wykładu" Kremera. Ze względu na duchowieństwo, wychwalał filozofią scholastyczną, a ze względu na poglądy domorosłych myślicieli wziął w opiekę filozofią nowożytną, usiłując okazać nieprawdziwość „ogólnego u nas przekonania", że się nauka ta „błąka w krainie nierzeczywistości, że goni za czczemi marami, że z praktycznem życiem zostaje w wiecznym rozbracie, że zatém jest poprostu łamigłówką, przez Niemców wynalezioną, przydatną tylko dla próżniaków, szukających pozoru uczoności w jakimś ciemnym, dziwnie pogmatwanym języku". W końcu z naciskiem zauważył, że filozofia Kremera „nie zagraża żadném niebezpieczeństwem naszéj moralności, naszym prawowiernym uczuciom, owszem dostarcza umysłowi naszemu potężnéj, bo loicznéj, broni, skoro nań zewsząd natrą przykre wątpliwości, skoro myśli sceptyczne, jakby złe duchy, przyjdą mu wydzierać pewność prawd odwiecznych, a z niemi razem i pokój serca". Co więcéj, Zdanowicz sądził, że filozofia ta mogła wyświadczyć niemałą przysługę „kapłanom, mającym nieraz do czynienia ze sceptykami, co utracili wszelką wia-

rę, wskutek jakiéjś fałszywéj zasady, z któréj się wysnuł cały wątek ich rozumowania"; albowiem prawdy przez Kremera rozwinięte wskażą księżom „drogę loiczną, jak trafić do przekonania takich obłąkańców, jak wydobyć ich ze strasznéj przepaści duchowéj, do któréj się przecież dostali, nie przez złość lub głupotę, ale najczęściéj przez błędne, nieloiczne rozumowanie".

To wyjaśnienie i zalecenie filozofii Kremera, napisane przez Zdanowicza, wydał w początkach r. 1854 Zawadzki i rozsyłał je prawdopodobnie nakształt katalogu swoim kundmanom. Tak przynajmniéj wnosić wolno z napisu téj broszury: „Księgarnia i Drukarnia pod firmą Józefa Zawadzkiego w Wilnie. Aleksandra Zdanowicza (Naucz. Hist. w Wileńs. Dworz. Inst.) Sprawozdanie o dziele ped tytułem: Wykład systematyczny filozofii obejmującéj (!) wszystkie jéj części w zarysie przez Józefa Kremera" (str. 38, a na ostatnich dwu stronicach nieliczbowanych, spis niektórych nowszych dzieł, wyszłych nakładem Zawadzkiego).

Cel, zamierzony ogłoszeniem, nie został osiągnięty. Wiadomo, że po latach wielu musiano zniżyć cenę tomu II „Wykładu filozofii", i że do dziś dnia jest jeszcze wiele jego niesprzedanych egzemplarzy. Narazie niechęć do filozofii wogóle, a potém odwrócenie się od filozofii idealistycznéj w rodzaju Kremera, sprawiły ten niepożądany dla nakładcy skutek.

Zdanowiczowi atoli zajęcie się sprawozdaniem z dzieła Kremera natchnęło trochę zamiłowania do „mistrzyni nauk", a że jako pedagog znał naturalnie „Chowannę" Trentowskiego, która w swoim czasie tak wielki wśród młodszego pokolenia obudziła była zapał, ponieważ cenił wysoko rozum i styl jéj autora, postanowił zwrócić się do „ojca Bronisława" z prośbą o wskazówki dalszego kształcenia się w filozofii, zwłaszcza, że zajmował się wtedy ułożeniem planu „Encyklopedyi Nauk".

Sposobność ku temu nastręczyła mu się niebawem. W tym samym roku 1854, kiedy wychodziło z druku owo „Sprawozdanie" z dzieła Kremera, inny księgarz wileński, Maurycy Orgelbrand, powziąwszy myśl wydania słownika języka polskiego, powierzył jéj uskutecznienie Zdanowiczowi. Ten, zgromadziwszy naprzód siły miejscowe, uznał między innemi za potrzebne w zamierzoném dziele spółpracownictwo Trentowskiego, jako filozofa, który najwięcéj wyrazów nowych do języka polskiego wprowadził i mógł najlepiéj określić termina filozoficzne wogóle.

Oto najprawdopodobniejsza geneza stosunku listowego, jaki się pomiędzy Zdanowiczem a Trentowskim zawiązał i trwał długie lata, wywołując z obu stron uczucia przyjaźni serdecznéj i poważania zarazem.

I.

Trentowski od r. 1849 znajdował się w bardzo smutném położeniu i duchowém i materyalném. Zajęty od r. 1841 pisaniem dzieł i artykułów w języku polskim, zaniechał wykładów niemieckich, miewanych przedtém w charakterze docenta w uniwersytecie freiburskim, a więc zagrodził sobie drogę do posuwania się wyżéj w karyerze profesorskiéj, przestał pisać po niemiecku, a więc jako autor nie mógł sobie zdobyć stanowiska w kraju, w którym mieszkał. Pensya roczna za dzieła w języku polskim, zapewniona mu przez hr. Edwarda Raczyńskiego i dra Karola Marcinkowskiego, po śmierci tych mężów przestała go dochodzić. Pośpieszył mu wówczas (we wrześniu 1847 r.) ze szlachetną pomocą Zygmunt hr. Krasiński, który cenił w nim pomimo różnicy w pojęciach religijnych, bystrość, śmiałość i szlachetność, lubił go „dla widnokręźnéj potęgi umysłu i śmiałéj serca prawości“ (1). Pomoc ta wszelako niezawsze dochodziła regularnie naszego filozofa, a gdy się zdarzały większe wydatki, nie była wystarczająca. Poniósł przytém bolesną stratę Trentowski przez śmierć najprzód najstarszéj córki, a potém następującego po niéj syna; pozostała mu tylko druga córka. Wpadł z wielkiego natężenia umysłowego w chorobę długotrwałą, która nic zgoła robić nie dozwalała i pozostawiła po sobie rozdrażnienie nerwowe, wybuchające od czasu do czasu bardzo gwałtownie i odejmujące możność pracy. O pisaniu przez lat kilka po r. 1849 nie mogło być mowy. Nawet z wydawnictwami naukowemi, które od tego roku wychodziły w kraju, trudno mu było się zapoznać, bo na kupowanie i sprowadzanie dzieł nie starczyło pieniędzy.

Odezwanie się kogoś z kraju musiało być bardzo miłe dla téj duszy gorącéj, która, niewolna wprawdzie od wad, skłonna do przesady i uwielbienia dla siebie, zachowała przecież wśród obcych całą serdeczność swojską i tęskniła niewymownie, która, wedle wyrażenia Krasińskiego, była „szczerą, istną złotą, prawdziwą naturą polską“, we wszystkiém, „co ją znamionuje w jéj szlachetności i braterskiéj miłości“ (2). Zdanowicz przesłał mu drukowane sprawozdanie swoje z filozofii Kremera oraz rękopiśmienny zarys encyklopedyi nauk i pytał go o niezrozumiałe dla siebie kwestye, a nadto donosił o nowo wyszłych książkach treści filozoficznéj. Trentowski z prawdziwém wylaniem duszy przesyłał mu odpowiedzi. Widać to i z dłu-

---

(1) Listy Zyg. Krasińskiego, Lwów, t. III, str. 173. — (2) Tamże, str. 181.

gości pierwszego dochowanego listu (4 arkusze listowego papieru zwięzłém pismem zapełnione) i z tych serdecznych wybuchów i rozumowań, któremi swe wyjaśnienia przeplata. Ileż uczucia, przenikniętego myślą filozoficzną, mieści się w tych słowach list zagajających: „Dziękuję jaknajserdeczniéj za okazywane mi wciąż najlepsze chęci i za rzetelną życzliwość. Oby dopuścił Bóg, bym mógł kiedy przytulić Pana do wdzięcznéj i gorącéj piersi! Jest to już cielesność. Prawda. Ale warunki żywota tego są tak urządzone, że nie stopi się dusza z duszą inaczéj, jak za pomocą uścisku. On ich małżeństwem, zewnętrznym miłości i jedni wyjawem. Dlatego téż on także potrzebny. Co większa! On ubija gościniec do porozumienia się wzajemnego. Tam, kędy przechodzi Miłość, wyrastają i z opok kwiaty, a ciemnice rozjaśniają się słońcem. Głowy się poswarzą. Lecz gdy serce zapuka przy sercu, i między głowami będzie jednozgodność". I w dalszym ciągu korespondencyi taż sama ze strony naszego filozofa przebija się sympatya dla oddalonego Zdanowicza i jego rodziny, toż samo pragnienie ujrzenia ich osobiście i ugoszczenia ich w swoim domu, taż sama troskliwość o wszystkie szczegóły, gdy np. z powodu wiadomości o śmierci syna Zdanowicza na skrofuły, podaje z doświadczenia szczegółowe rady o uchronieniu od choroby pozostałych dzieci. Chociaż nawet spodziewane dochody z prac przesyłanych na ręce Zdanowicza chybiały, gdyż niepodobna było znaleźć na nie nakładcy; chociaż wskutek tych i innych zawodów, widnokrąg życia filozofa chmurzył się coraz bardziéj: on w niczém tonu nawet listów nie zmieniał, tchnąc dla korespondenta jednaką przychylnością i miłością.

Jest to rys najmocniéj pociągający w téj korespondencyi, bo świadczy wymownie, że filozofowanie bynajmniéj nie wyziębiło w Trentowskim duszy, a cierpienia i zawody osobiste nie wykrzywiały i nie paczyły jego poglądów na stosunki z ludźmi, gdy widział, że oni nic temu podmiotowemu jego stanowi nie winni. Podniosły punkt widzenia umiał filozof zachować, a serce miał zawsze dla uczuć szlachetnych otwarte.

W udzielaniu objaśnień na zapytania Zdanowicza jest Trentowski hojnym i stara się najpopularniéj je wyrazić, chociaż zastrzega, że do dokładnego zrozumienia filozofii, jak każdéj nauki, potrzeba umysł przygotować mozolnemi studyami i samodzielném, długoletniém myśleniem. I tak podawszy na trzech stronicach (w liście z 12 kwietnia 1856 r.) wywód znaczenia „fenomenologii" jako nauki, przedstawiwszy następnie, jakby sam wziął się do obrodienia téj części filozofii, kończy spostrzeżeniem, że Zdanowiczowi

trudno będzie zrozumiéć należycie dzieła filozofów polskich, dopóki się nie odda filozofii całkowicie. „Tylko wołowa praca— powiada z naciskiem — wiedzie tu do celu. Mylą się ci bardzo, co sądzą, że dość miéć jeniusz, by filozofować. O, to wystarczyło Talesowi i siedmiu mędrcom! Ale dziś potrzeba wypić cały Atlantyk, nim dobierze się ustami smaku wód przy Filadelfii. Jeżeli w krainach umiejętności tak trudno li czytać; jakież więc muszą być trudności, chciéć pisać? I czy dziwna, że Polacy, dla których filozofia kacerską i niemiecką widzi się strawą, a katechizm dotąd wystarczał, krzyczą na Cieszkowskiego, na Kremera, na Libelta i na mnie, że piszemy ciemno?"

Widząc zaś w Zdanowiczu „i usposobienie i szczerą chęć do filozofii", chciałby mu w pracy nad nią dopomódz i wskazać drogę dalszego postępowania. „Jakbym rad — pisał — żebym ja sam lub kto inny mógł panu podać rękę i wyprowadzić go na bity samodzielności gościniec. Gdybyśmy tylko przez rok jeden mogli być razem! Wtedy przeszedłbym z panem rzeczy główne. I mam nadzieję, że otworzyłbyś skrzydła i począł o własnéj sile latać. Najgorszą dziś panu przeszkodą jest, że zajęty jesteś czém innéni całkowicie, a filozofii poświęcić możesz li zbywające od obowiązków innych chwilki. Ona tymczasem, jak każda umiejętność i sztuka, wymaga całego człowieka, całego żywota, wszystkich dni i nocy naszych".

Ażeby go zachęcić do pracy, przytacza siebie za przykład, podając bardzo interesujący a dotychczas nieznany szczegół o swoich studyach filozoficznych.

„I ja niegdyś — powiada — tak się biedziłem około filozofii, jako dziś Pan, aż Daub (1) mi to objawił w Heidelbergu, co ja Panu teraz piszę. I Bogu dzięki, żem go posłuchał! Tak się rzecz miała. Było to w roku 1831 (2). Słuchałem prelekcyi u Dauba. Zapoznałem i zaprzyjaźniłem się z nim. Poświęciwszy się filozofii, chwyciłem błędnie za ostateczne jéj naówczas wyjawy, za pisma Hegla. Tak z każdym dziać się zwykło, bo smaczniejszy owoc niż gałęzie i korzenie! Ale tak nie idzie. Codzień przychodziłem do Dauba, prosząc go o wyjaśnienie rzeczy, których nie rozumiałem i naówczas rozumieć nie mogłem. Długo czynił on to cierpliwie. Wreszcie rzekł mi: Widzę, iż masz usposobienie i szczerą chęć do filozofii; radbym ci więc dopomódz prawdziwie i skutecznie.

---

(1) Karol Daub (1765—1836) należał do szkoły Hegla, wykładał w Heidelbergu filozofią i teologią; prelekcye jego wyszły pośmiertnie w Berlinie 1838 — 1844 w 7 tomach.

(2) Data ta wyraźnie wypisana w liście. Biografowie twierdzą, że Trentowski w r. 1832 był w Królewcu, a dopiéro potém udał się do Jeny i Heidelberga. Czyby się sam autor pomylił? Niemożliwém to nie jest; ale nasuwa się i inne przypuszczenie, to jest przeniesienie krótkiego pobytu w uniwersytetach: królewieckim i jenajskim na miesiące: październik i listopad 1831 roku, a przesiedlenia się do Heidelberga i rozpoczęcie studyów na grudzień tegoż roku.

Jak? Pozwól, niech cię wyegzaminuję przódy, a może dam ci dobrą radę.—Poddałem się pod egzamin, który trwał parę tygodni. Okazało się, żem dość umiał filozofią Greków, Rzymian i Scholastyków. Daub rzekł: Bardzo to mało. To nie wystarczy do zrozumienia Hegla.—Pochodził po pokoju, podumał, mówił wreszcie: Kazałbym ci uczyć się loiki Wolfa przedewszystkiém; lecz to mogłoby cię zrazić. Weź tedy Kantowską *Kritik der reinen Vernunft* i czytaj! Jeżeli zrozumiesz ją, tom się w sądzie mym o tobie pomylił.—Począłem czytać tę krytykę. Kilka kartek poszło dobrze, lecz daléj ani rusz! Nic nie rozumiem. Czuję, że potrzeba mi przódy zapoznać się bliżéj ze szkołą Wolfa, z któréj Kant wychodzi. Rzucam więc Kanta, a czytam Wolfa. Ale i Wolfa nie rozumiem, bo on wychodzi z Kartezyusza, Bakona, Lokego. Ciskam więc Wolfa, a czytam Kartezyusza. Późniéj Bakona, Lokego, Leibnica itp. Dwa lata upłynęło, nim wrócilem do Krytyki Kanta, którą wtedy zrozumiałem bez najmniejszego trudu. Drugie dwa lata upłynęło nad innemi dziełami Kanta, nad Humem, Fichtem, Jakobim, Szellingiem, nim przystąpiłem do Hegla. Tak tedy dopiero aż w cztery lata, po wielkich pracach, podołałem to strawić, co chciało się mi zaraz na początku połknąć i spożyć. Tak było ze mną; tak musi być z każdym. Są szczeble w wyjawach mądrości ludzkiéj, co chwila wyższe. Trzeba je przechodzić zwolna. A droga naturalna od dołu do góry. Kto czyni odwrotnie, kark skręci, lub dostanie ochwatu, ciśnie wszystko w kąt i nazwie głupstwem wierutném.“

Przytaczając ten przykład ze swego życia Trentowski przewidział możliwe podejrzenie ze strony Zdanowicza i zaraz je uprzedził, dodając do powyższego opowiadania: „Czemu to piszę do ciebie, ukochany Panie? Nie dlatego, ażeby cię odstraszyć, ażeby cię powstrzymać może od tego, byś mnie tak nie trapił, jak ja trapiłem Dauba; ale raczéj dlatego, by wskazać ci trudności, najdujące się w rzeczy saméj, które Ty sam przezwyciężyć musisz, a których, dopóki się to nie stanie, ani Kremer, ani ja, ani nikt w świecie nie potrafi ci usunąć. Miéj więc pobłażanie dla moich tłómaczeń listowych! Choć będą najjaśniéj napisane, mogą Ci wydawać się ciemne. Co gorsza, pomącą Ci może dawniejsze, dobre i czyste pojęcia, lub skierują w stronę, o któréj ani marzą. Jeżeli popracujesz przez parę lat nad filozofią, ale w źródłach samych, biorąc do rąk oryginały, Platona i Kanta np. a odczytasz list ten znowu, o, zobaczysz, iż zupełnie inaczéj rozumiéć go będziesz, niż dzisiaj! To samo się ma i z innemi filozoficznemi pismami.“

Ze Zdanowicza nie zdołał Trentowski zrobić filozofa; ani czas poświęcony pracy pedagogicznéj i około Słownika języka polskiego, ani zdolności autora „Wypisów francuskich“ i „Rysu chronologiczno-historycznego“ nie sprzyjały temu. To też w późniejszych listach nie spotykamy już długich i szczegółowych wywodów, jak w tym pierwszym o fenomenologi: tylko doniesienia o pracach zamierzonych i dokonywanych oraz o stosunku filozofii do prądów chwili ówczesnéj.

Ostatnia okoliczność, która się do zawiązania stosunków listowych pomiędzy Zdanowiczem a Trentowskim przyczyniła, to

jest opracowanie terminologii filozoficznéj dla Słownika, zamierzonego przez Orgelbranda, już urzeczywistnioną została przez naszego filozofa. Donosi on 12 kwietnia 1856 r. że Orgelbrandowi poświęcił razem aż pięć pełnych miesięcy do wyrazów dla Słownika, a odsyłając nie miał czasu odczytać; przypuszczając, że będzie tam dużo *lapsus calami*, prosi Zdanowicza, by je przy druku ponaprawiał. „Gdybym był przewidział—dodaje—iż tyle czasu mi zabiorą, nie zaprzągłbym się był do nich. Lecz dziś rad jestem, żem mu (Orgelbrandowi) dopomógł. Gdyby jakich dziesięciu literatów, każdy od siebie, to uczynili, co ja; Słownik mógłby być bardzo drogocenny.“ Nie wiemy, czy Trentowski dostał co za swoję pracę, ale wiadomo, że redakcyi Słownika nie zadowolnił, tak że ta wydając ostatni zeszyt, do którego dołączona była przedmowa, dopiero w r. 1861, zamieściła publiczną skargę na filozofa. „O filozofii i mitologii—powiedziano tu—z żalem tylko odezwać się musimy. Chcąc tak ważny przedmiot, dawném piórem prawie nietknięty, mieć w należytém obrobieniu, udaliśmy się w tym celu do Br. Trentowskiego. Ten nam uroczyście przyrzekł działy pomienione jasno i krótko opracować; donosił wyraźnie, że powyciągał wszystkie wyrazy filozoficzne z dzieł swoich, Cieszkowskiego, Kremera, Libelta, Bukatego i innych; warował przytém, ażeby materyały jego w całości bez skróceń były zachowane, na cośmy, nie szczędząc kosztów, przystali. Słownictwo jego filozofii, równie jak mitologia, opracowane zostały w sposób encyklopedyczny, dla słownika za obszerny i zbyteczny; nie mogąc jednak nic już począć, wolał wydawca raczéj umieścić tę pracę, chociażby jako materyał dla przyszłych pracowników, niż pomijając ją zupełnie, zostawić ogromną lukę w gałęzi nowo rozrastającéj się nauki. Lecz mało tego, okazało się po niewczasie, bo ledwie wtedy, gdy już druk znacznie się posunął, że p. Trentowski, prócz własnych książek, nie przewartował ani jednéj z prac rzeczonych wyżéj pisarzów, dla dania nam używanéj przez nich terminologii; dostarczył tylko własne, przez siebie objaśnione wyrazy. Gdyśmy się spostrzegli, iż zawiedziono nasze zaufanie, a przez to dział filozoficzny pozostał wielce niekompletnym,—staraliśmy się, ile jeszcze czas był po temu, pomnożyć zbiór najważniejszych wyrazów filozoficznych wypisami z dzieł najważniejszych“ (1).

Ciężkie to oskarżenie nie zostało, o ile mi wiadomo, sprostowane za życia filozofa publicznie, choć w samém jego sformułowaniu widniała wyraźnie wielka niewłaściwość. Przypuściwszy bo-

(1) Zob. „Słownik języka polskiego“, Wilno, 1861. Przedmowa, str. VII.

wiem, że się rzeczy tak miały, jak przedmowa do Słownika przedstawia, winić wypadnie nietylko autora spisu wyrazów filozoficznych, ale także i redakcyę Słownika, że spisu tego się przejrzała należycie przed oddaniem do druku, że nie zwróciła uwagi Trentowskiego na braki, lubo miała po temu czasu dosyć; pierwszy bowiem zeszyt Słownika wyszedł w połowie 1856, a ostatni w 1861 r. Tymczasem redakcya, na której czele, jak wiemy, stał Zdanowicz, bynajmniéj tego nie zrobiła, jak to widać z listów Trentowskiego, które tu rozpatrujemy. A oprócz tego i przedstawienie sprawy w przedmowie niezupełnie zgodne było z faktami.

W czasie druku pierwszych zeszytów donosił mu jedynie Zdanowicz, iż niektórzy uczeni wileńscy, a mianowicie Stanisław Mikucki, krytykowali objaśnienia mitologiczne podane przez naszego filozofa. Trentowski, otrzymawszy dwa pierwsze zeszyty Słownika i list Zdanowicza, odpisał 8 marca 1857 r. w te słowa:

„Uderzyło mię to bardzo, iż w nich (dwu zeszytach) jest tak wielkie mnóstwo artykulików moich. Jeżeli tak będzie i w dalszym ciągu, to, zaiście, więcéj się wam do dzieła tego przyłożyłem, niż sam o tém wiedziałem, i pojmuję ten zaszczyt, iż imię moje najduje się także na tytule dzieła (1). Dziękuję bardzo za to, iż nic nie wykreślacie z moich artykulików. Czasami tylko napotyka się błąd drukarski, np. zamiast Taliesin, wieszcz celtycki, wydrukowano Takesin... I ja wiedziéć nie mogę, czego właściwie pan Mikucki żąda. Ja miałem do mitologii litewskiéj, oprócz źródeł łacińskich i niemieckich, Narbuta. Jeżeli Narbut i inni pomieszali przymiotniki bóstw z bóstwami samemi, jeżeli zamienili je w bóstwa osobne, których nie było, to i ja popadłem w ten błąd. Niech pan Mikucki napisze co o tém i raczy mi przesłać robotę, a korzystać z niéj będę, nim samo dzieło (2) wydam. Zresztą muszę zrobić uwagę, że ani pan Mikucki, ani nikt sądzić nie może pracy méj mitologicznéj z przesłanych Wam wyjątków. Moim celem była nie kronikarska praca o wyjaśnienie (!) bóstw pojedyńczych, ale o filozoficzną myśl wiary, która, jak naturalna, w artykulikl słownikowe nie przeszła, a daje się poznać dopiero w saméj Bożycy.“

Po tym liście, z którego jak i z innych widzimy, że Trentowski był skłonny do poprawiania artykułów swoich, jeżeli mu wskazywano omyłki, oraz że za warunek konieczny nie musiał położyć zużytkowana wszystkiego, co przesłał, jeżeli uważał za potrzebne podziękować, iż nic nie wykreślała redakcya,—nie spotykamy już najmniejszéj wzmianki o téj sprawie aż do roku 1863. Będąc w Paryżu,

---

(1) W napisie czytamy: „Słownik... wypracowany przez A. Zdanowicza, M. B. Szyszkę, J. Filipowicza, W. Tomaszewicza, F. Czepielińskiego i W. Korotyńskiego, z udziałem Bronisława Trentowskiego“. Tak jest na tytule ostatecznym przy ukończeniu dzieła; może w pierwszych zeszytach nazwisko Trentowskiego było nawet spółrzędnie z innemi wymienione.

(2) Trentowski ma tu na myśli swoję Bożycę, nad którą od wielu już lat pracował.

Trentowski zasłyszał, iż były jakieś krzyki i żale za to, że obrobił tylko swoje wyrazy filozoficzne a zapomniał o Libelcie, Kremerze etc. Wzmiankował więc o tém w liście do Zdanowicza z 6 czerwca 1860 r. i dodał: „Jest to nieprawda. Ale nie moja to wina, że oni mało wprowadzili wyrazów nowych. Wiem, że krzyczą także na nowe wyrazy wogóle, mianowicie zaś na moje i że gniewają się na was, iż przyjęliście je do Słownika. Nie dbajcie na to! Przesądy pogrzebane były z pokoleniem teraźniejszém, a to właśnie, co dziś je gniewa, będzie najpiękniejszą wnet Słownika tego zaletą.“ I znów upłynęło dwa lata blisko, aż dostał wreszcie Trentowski dokończenie Słownika a z niém przedmowę. Łatwo zrozumiéć, że ustęp o sobie odczytał „z zadumieniem niemałém i ze smutkiem“; ale podziwiać potrzeba spokój, z jakim napisał o tém 18 kwietnia 1862 r. do Zdanowicza, wiedząc, że on jako redaktor brać musiał udział w układzie owéj przedmowy. Wyraża się jak najłagodniéj, by nie urazić Zdanowicza. Chociaż ton oskarżenia był tak szorstki, Trentowski odpowiada na nie poważnie:

„Jam dokonał poruczonego mi zadania z największą sumiennością. Tu świadkiem mym Bóg. Przytoczyłem każdy wyraz nowy, tak Kremera jak Libelta. Prawda, że wyrazów takich niewiele, bo oni trzymają się pospolitéj mowy i nie wdają się w rzeczy wymagające nazwy osobnéj. O Bukatym nie było ani wzmianki w liście Orgelbranda. I słusznie. On napisał ówczas jednę tylko broszurę: Polska w Apoteozie i w Apostazyi, któréj treść bardziéj polityczna niż filozoficzna. Dziś nawet, zwłaszcza co do języka, nie może uchodzić za powagę leksykograficzną. Nie wiedziałem więc, co znaczą te żale do mnie. Przez pół dnia przeglądałem Słownik co do filozoficznéj terminologii. Pod wyrazem um, rozum etc. etc. znalazłem nareszcie coś, co mi rzecz rozjaśniło. Dano tam, obok mego pojmowania umu, rozumu, pojmowanie ich Kremerowe i Libeltowe. Gdyby mi napisano to wyraźnie, że chcą takie pojmowania jednego i tego samego starego wyrazu co do różnic między Kremerem, Libeltem i mną oznaczyć, to byłbym rad to uczynił. Ale tego się nie domyślałem, a wymagano krótkości. Proszę Cię więc, drogi Aleksandrze, racz mnie z téj strony przed Orgelbrandem i innymi oczyścić. Gdybym był w Wilnie i na miejscu z wami, nie mogłoby zajść takie nieporozumienie. O, jakże ważna jest, nawet w najdrobniejszych rzeczach, osobista na miejscu obecność!“

Słowa te wyjaśnienia odznaczają się taką prawością i szczerotą, że zaufać im chyba można i oskarżenie zawarte w przedmowie do Słownika uważać za niesłuszne w znacznéj przynajmniéj części. Trzeba jeszcze tylko nadmienić, że Trentowski, pracując nad spisem wyrazów filozoficznych w końcu r. 1855 i na początku 1856, nie znał dwu najważniejszych dzieł tj. „Wykładu filozofii“ Kremera i „Systemu umnictwa“ Libelta, gdyż oba otrzymał dopiero od Zdanowicza i Piaseckiego w 1856 i 1857, jak się to z listów w tym czasie pisanych okazuje. Rzecz więc naturalna, że wyrazów tu zawartych, a w „Systemie umnictwa“ zwłaszcza było ich dużo, nie mógł zaciągnąć do słownika.

II.

Ta robota słownikowa naraziła filozofa tylko na zadraśnięcie uczuć czysto osobistych; zarzuty przez nią wywołane dotykały wprawdzie jego pojęcia obowiązku, to też bolały go niewątpliwie, ale nie rozgoryczyły względem ludzi, bo były tylko wynikiem, jak sądził, przykrego „nieporozumienia", bo nie okazywały jakiegoś złego nastroju wśród ogółu inteligencyi.

Inaczéj się rzecz miała z pracami, w których poglądy swoje na sprawy tego świata wygłaszał, bo się zaraz spotkał z przeciwdziałaniem, znamionującém zwrot duchowy, dla filozofa najdotkliwszy. Podczas gdy Trentowski chorował, świat się znacznie zmienił: to co dawniéj wywoływało zapał przynajmniéj w pewnéj ruchliwéj części społeczeństwa, teraz przestało interesować a nawet zaczęło być uważaném za złe i szkodliwe. Niewątpliwie filozof nasz wiedział o tém, choćby z gazet i posłuchów, lecz odczuł całą różnicę, od tak niedawnego czasu zaszłą, wówczas dopiero, gdy się sam pismami swemi zetknął z czytelnikami i krytyką. Może zważając głównie na zmiany w usposobieniu polityczno-społeczném Europy, nie spodziewał się zbyt szorstkiego starcia. Od r. 1850 zwyciężał wszędzie prąd przeciwny radykalizmowi politycznemu i społecznemu; a Trentowski od samego początku swéj działalności był wyraźnym i stanowczym przeciwnikiem „czerwieńców" europejskich wogóle a naszych w szczególności, i pragnął liczyć się do „białych". Już w pierwszéj swéj politycznéj rozprawie „Stosunek filozofii do cybernetyki" (1843) wypowiedział on swoje pod tym względem wyznanie wiary, nie żałując jaskrawo nieprzychylnych barw na odmalowanie radykałów, a późniéj w „Wizerunkach duszy narodowéj" (1847) bez ogródki wystąpił przeciwko towarzystwu demokratycznemu na emigracyi, tj. tak zwanym Wersalczykom, stale ich przezywając demagogami, socyalistami i komunistami głupimi albo nikczemnymi, oraz wyśmiewając ich teoretyków i przywódców, Alcyatę i Darasza. Z ogólnego stanowiska był on wprawdzie stanowczym przeciwnikiem szlachty dziedzicznéj, zowiąc ją „zbutwiałém, do grobu zagasłych wieków należącém ciałém"; ale ze względów narodowych stawał w obronie szlachty polskiéj. Z téj tedy strony spodziewał się, że poglądy jego nie będą w dysharmonii z dążeniem tak zwanéj „demokracyi szlacheckiéj", która naówczas w kraju coraz butniéj głowę podnosiła, starając się zepchnąć ze stanowisk krańcowo-arystokratyczne i krańcowo-demokratyczne żywioły.

Zapomniał atoli na chwilę, że z tym zwrotem łączyła się najściśléj powaga i znaczenie duchowieństwa, które z badaniami nie-

zależnemi, z tak zwaną „filozofią bezpośrednią“ tj. nie opartą na teologii, nic nie chciało mieć spólnego. Wówczas tylko „filozofie chrześciańskie“, „filozofie katolickie“ znajdowały uznanie, a wykłady religii—rozgłos. Trentowski zaś był i pozostać chciał myślicielem zupełnie swobodnym a o hierologii z równym wstrętem i oburzeniem się wyrażał jak i o „czerwieńcach“. Tutaj żadnego kompromisu być nie mogło. Kto nie z nami, ten przeciwko nam—to hasło każdéj hierologii. Filozof nasz, jak tylko na tym punkcie zetknął się z prądem panującym, doznał zaraz niepowodzenia.

W Krakowie przy jednéj z gazet założonéj w końcu r. 1848 przez zachowawców, wytworzyło się kółko pragnące szerzéj i szczegółowiéj w rozprawach naukowych rozwijać poglądy zachowawczo-katolickie i z początkiem r. 1856 zaczęło wydawać „Dodatek miesięczny“, starając się zespolić w nim wszystkie wybitniejsze siły literacko-naukowe, jakie wówczas posiadaliśmy. Politykę uprawiał tu Maurycy Mann, jeden z głównych organizatorów koła konserwatywnego, feljeton literacki obrabiał wytrawny stylista Lucyan Siemieński, a artykułów zasadniczych dostarczali znani ze swych ultra-katolickich przekonań Maurycy hr. Dzieduszycki, Zygmunt Golian. Niewiadomo z czyjego natchnienia, może przez Zygmunta Krasińskiego, który, zachwycony będąc polityczno-społecznemi poglądami Trentowskiego, sądził, że wartoby go zbliżyć z kołem zachowawców, został nasz filozof zaproszony do spółpracownictwa w tym nowym miesięczniku. Zamówiono mianowicie u niego rozprawę o filozofii Kremera (1), który wtedy wykładał ten przedmiot w uniwersytecie jagiellońskim.

Trentowski, który naówczas od lat ośmiu żadnéj nie ogłosił rozprawy, chętnie przyobiecał artykuł. Mając na myśli Krasińskiego zapewne, i przez niego w części natchniony, uważał się za członka grona, które miało oddziaływać przeciw fałszywemu kierunkowi oświaty i dążeń społecznych. „My tutaj—pisał do Zdanowicza—umówiliśmy się (niektórzy najznakomitsi pisarze nasi, zwłaszcza filozoficzni, i ja) powstrzymać, p r z y n a j m n i é j u n a s, zły kieru-

(1) Jeszcze przedtém napisał był Trentowski jakiś artykuł do „Dodatku“. Dowiadujemy się o nim z listu Z. Krasińskiego (w III tomie, str. 342), przyczém jest wyjaśnienie, dlaczego nie był drukowany, w tych słowach: „Pisano do Krakowa o twój artykuł. Chyba Mann w liście swym do ciebie ciemno się wyraził. Istotny powód niewydrukowania jest ten, że po wydrukowaniu cenzura rządowa byłaby do dziennika srogo się wzięła; były tam rzeczy, których cenzura austryacka nigdyby nie zniosła. Zatém oni, doskonale o tém wiedząc, drukować w żaden sposób nie mogli“. Że tu nie może być mowy o artykule: „Hegel i Kremer“, widać z daty tego listu: 22 septembra 1856, gdy Trentowski rozprawę o Kremerze posłał dopiero w listopadzie tego roku, jak widać z listu do Zdanowicza z 8 marca 1857.

nek materyalny piśmiennictwa nowoczesnego i nadać mu uderzenie inne. Już wiele artykułów podobnych napisali oni..... Ja pierwszy atoli występuję najodważniéj". Niebawem wszelako miał się rozczarować pod tym względem najzupełniéj.

Jeszcze się nie zabrał do pisania rozprawy, bo czekał na dzieło Kremera najważniejsze: „Wykład systematyczny filozofii", które mu Zdanowicz nadesłać przyrzekł,—a już poczuł na swéj myśli więzy reakcyjne. Kremer, dowiedziawszy się o projektowanéj analizie filozofii swojéj, napisał do Trentowskiego list obszerny, zaklinając, aby go tylko „nie nazwał nigdzie Hegelianinem, albowiem to szkodziłoby mu bardzo i u rządu austryackiego i w opinii rodaków". Filozof nasz, donosząc o tém Zdanowiczowi (w liście z 12 kwietnia 1856 r.), dodaje: „Dobrze, iż mnie przestrzegł; inaczéj nie myślałbym o tém wcale. I prawiłbym, że on, acz stał się sam, za pomocą ducha polskiego, czém innném, tj. wyznawcą Boga osobistego; wychodzi przecież z filozofii Hegla i dotąd zatrzymał jéj r a m y". Cieszyło to jednak Trentowskiego bardzo, iż hegelianizm utracił u nas wiarę całkowicie, ponieważ uważał go oddawna za „studnicę mądrości czerwieńców", powiadając, że „na nim nauczyć się można burzyć świat nic więcéj".

Przekonać się miał niebawem, że ta radość z upadku hegelianizmu w kraju była zawodną, gdyż wraz z hegelianizmem utraciła w kraju wszelkie poważanie i filozofia niezależna.

Przeczytawszy „Wykład systematyczny filozofii", napisał Trentowski rozprawkę p. n. „Hegel i Kremer" i odesłał ją w listopadzie roku 1856 do Krakowa. Starał się tu okazać, że Kremer szczęśliwie i zwycięsko pokonał panteizm Hegla, że pogodził filozofią jego z chrześciaństwem, a zarazem zadał jéj śmiertelny cios. „Kto twierdzi—pisał tu—że filozofia Kremera nie różni się od filozofii Hegla, wyjąwszy chyba polszczyznę, nie wié, co mówi, bredzi jak dziecko. Ale i ten popada w błąd i sądzi o rzeczy bardzo powierzchownie, kto mniema, że metoda i dyalektyka Heglowska panuje w Kremerze. Jako żywo nie!.. Hegel i Kremer trzymają, zaiście, w ręku t e ż s a m e k a r t y, ale g r a i c h w p r o s t s o b i e p r z e c i w n a. Obadwa idą na górę, kędy przemieszkuje prawda, jedną drogą, oglądając po niéj, iż tak rzekę, te same miasta, sioła, lasy, łąki i błonia, lecz mają szkła inne, przez które patrzą się na rzeczy... Duch Kremera nurtuje w Heglu, nie nakształt czerwu, niweczącego to, czém się sam tuczy, jak czynić to zwykli rozwalacze pospolici, lecz iście nakształt cherubina, zapalającego iskrę niebiańską we wszystkiém, co godne żywota, oddychającego miłością zgoła wtedy, gdy przykłada do szyi smoka płomienisty miecz śmierci i za-

bija. On ceni Hegla wysoko, ofiaruje wszystkie mądrości jego skarby i przerabia całą naukę jego na pożytek rodaków, ale tak, iż Hegel blednieje zwolna i umiéra, a konając, wykrzykuje, jako Pankracy w Komedyi Nieboskiéj: *Galilaee, vicisti!*" (1).

Ażeby zaś czytelnikom, nieprzywykłym do rozbiorów abstrakcyjnych, uprzystępnić obrazowo stosunek Kremera do Hegla i różnych jego zwolenników, mianowicie krańcowych, jak Feuerbach, Ruge, Strauss, przytacza Trentowski następne porównanie:

„Jedna ze świętych staro-egipskich klechd tak prawi: Ozyrys panował długo nad ludem od siebie wybranym ku szczęściu jego i zbawieniu, jako król Egiptu. Zły B a b i s, zwany od Greków Tyfonem, postanawia go zabić. Dopomaga mu do tego etyopejska królowa A z a, podarowawszy mu A r k ę z arcykosztownego drzewa, drogocennemi kamieniami wysadzaną, iż na największego ze śmiertelnych była za ogromna, a tylko Ozyrys sam, położywszy się do niéj, mógł całkowicie wypełnić ją sobą. Ozyrys, zwabiony od Babisa, kładnie się do Arki. Gdy to uczynił, prą go S p i s k o w i, sieką ciało jego na kawałki, a zamknąwszy je w Arce, rzucają w Nil. Ale nie dopięli celu, gdyż Bóg nie może być zabity, a po śmierci zmartwychwstanie. Arka popłynęła z Ozyrysowém ciałem na morze Śródziemne i wylądowała na brzegach Fenicyi przy mieście B y b l o s i e. P t a k i jéj strzegą, kwiląc i wrzeszcząc bardzo nieprzyjemnie. W r z o s przyjmuje ją u siebie, rozrósłszy się tak cudownie, iż się w nim zmieściła. Przybywa nakoniec I z y d a, otwiéra Arkę i wskrzesza Ozyrysa.

Ozyrysem porównania tego jest „B ó g o s o b i s t y, uszczęśliwiający długo chrześcijański świat; Babisem złym zaś — d u c h c z a s u n o w e g o, wszechbożeński i bezbożny; królową Azą — U m i e j ę t n o ś ć w o g ó l e, a Arką jéj — H e g l o w s k a i d e a b e z w z g l ę d n a. Spiskowymi, zabijającymi, zamykającymi w Arce Ozyrysa są n i e m i e c c y h e g e l i a n i e l e w i c y; ptactwem, kwilącém i wrzeszczącém bardzo nieprzyjemnie—h e g i e l c z y k i p o l s k i e. Wrzosem, przyjmującym Arkę w siebie, są wszystkie pisma uczciwe, które zdając sprawę o filozofii Heglowskiéj, ocalały ile sił pojęcie o Bogu prawdziwym; Izydą wreszcie, otwierającą Arkę i wydobywającą z niéj żywego Ozyrysa — f i l o z o f i a p r a w d z i w a, w której pojęcie o Bogu osobistym odnosi nad wszechbożeństwem Heglowskiém walne zwycięstwo—a (do) takowéj filozofii należy także f i l o z o f i a K r e m e r a" (2).

Zdawałoby się, że takie oznaczenie stanowiska Kremera i filo-

(1) Zob. pismo zbiorowe „Na dziś" Kraków, 1872, t. I, str. 154, 155, 131. — (2) Tamże str. 151, 152.

zofii prawdziwéj nie powinno było przynajmniéj razić zachowawczo-religijnéj redakcyi zwłaszcza gdy dodam, iż Trentowski niętylko wycieczki żadnéj wolnomyślnéj w całéj rozprawie nie zrobił, lecz owszem przy każdéj sposobności mówił z największém poważaniem o religii wogóle, a o chrześcijaństwie i katolicyzmie w szczególności.

Stało się inaczéj. Rozprawa Trentowskiego nie przypadła do smaku redakcyi. Dlaczego, nie wiemy napewno; domyślać się tylko można, iż wstręt do Heglizmu był wśród niéj większy, niż u naszego filozofa, bo ten, lubo potępiał całość, widział tu przecież „rzeczy wiekuiste i czcigodne, a pierwiastki zachowawcze“ i głośno oświadczał, jako „niéma umiejętni w Niemczech, na któréjby nie uczono filozofii podług Hegla, już z powodu, że w chwili téj braknie innéj, lepszéj i powszechnie uznanéj, a nie każdy nauczyciel podoła mieć własną“ (1). W Krakowie widocznie, chociaż uczono z heglowska, nie chciano się do tego przyznawać, tak, że nie pomogło nawet zapewnienie Trentowskiego, iż w „Bryzgowskim Freiburgu katolickim“ Sengler wykładał filozofią według Hegla „z zadowoleniem powszechném i k o ś c i o ł a“.

Być może, iż i sam Kremer wpłynął na redakcyę, że by rozprawy Trentowskiego nie drukowano w Krakowie, dlatego, że w niéj, chociaż chlubne, ale ciągłe było zestawianie z nienawistnym Heglem. Na takie przypuszczenie naprowadza ustęp z listu Trentowskiego do Zdanowicza pod datą 8 marca 1857 roku. Powiada tu, że przy końcu grudnia 1856 r. otrzymał list od Kremera, w którym ten prosił go, aby pozwolił mu rozprawę o sobie odebrać z redakcyi krakowskiéj a przesłać Zdanowiczowi celem wydrukowania jéj albo w Wilnie albo w Warszawie, bo owo pismo obiega tylko Galicyą, a on wolałby, ażeby krytyka tam wyszła, gdzie drukowane były dzieła etc. Oczywiście chodziło Kremerowi o to, aby ta krytyka jaknajdaléj od miejsca jego działalności się ukazała i jaknajpóźniéj do Krakowa doszła... Trentowski zgodził się na propozycyą i około Bożego Narodzenia 1856 r. napisał bilecik do Zdanowicza, przesyłając go na ręce Kremera, który miał artykuł wraz z listem swym do Wilna wyprawić. Do 25 stycznia 1857 r. Zdanowicz jeszcze nie otrzymał przesyłki. Więc Trentowski 8 marca przypuszczał, że albo Kremer „rzecz tę zaspał albo ją może gdzie do Warszawy wyprawił“. Widocznie wkrótce potém rozprawa Trentowskiego doszła do Wilna, bo już o przesyłaniu jéj niéma mowy w listach późniejszych.

(*D. n.*) *Piotr Chmielowski.*

---

(1) Zob. „Na dziś“ t. I, str. 146 i 145.



INSTYTUCYE OPIEKI SPOŁECZNÉJ

NAD DZIEĆMI NIEPRAWEMI I OPUSZCZONEMI.

Poruszona w roku zeszłym przez pisma nasze myśl założenia drugiego domu podrzutków w Królestwie Polskiém, bądź to w Warszawie, bądź na prowincyi, skłoniła prof. Ant. Okolskiego do obszerniejszego rozbioru kwestyi: czy zakłady takie są wogóle potrzebne i czy nie możnaby znaleść innych skuteczniejszych środków zabezpieczenia losu nietylko podrzutków, ale wogóle dzieci, pozostawionych bez opieki? Pracę swoję w téj sprawie ogłosił szan. autor w styczniowym i lutowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiéj“ z r. b. Ponieważ obudziła ona w prasie naszéj dość żywy interes, przeto nie od rzeczy będzie poświęcić jéj i w „Ateneum“ słów kilka.

Przedewszystkiém szkicuje p. O. krótki pogląd historyczny na domy podrzutków, a następnie rozpatruje tę instytucyą ze stanowiska miłosierdzia chrześciańskiego, moralności, ekonomii, wreszcie z punktu widzenia korzyści dla samych podrzutków i interesów społeczeństwa. Ze wszystkich stanowisk na pytanie, czy domy podrzutków są pożyteczne, daje autor odpowiedź stanowczo przeczącą. Sprawdźmy jego argumentacyą, a może to bezwzględne potępienie zdołamy cokolwiek złagodzić. Zastrzegam się tylko zaraz na wstępie, iż nie jestem bynajmniéj bezwarunkowym obrońcą, a témbardziéj zwolennikiem domów podrzutków, lecz nie mogę się zgodzić ze zdaniem, jakoby instytucye te nie przynosiły ani dzieciom opuszczonym, ani społeczeństwu żadnéj korzyści.

Domy podrzutków są, jak wiadomo, dwojakiego rodzaju. Jedne z nich mianowicie posiadają t. zw. „koło“, czyli takie urządze-

nia, dzięki którym osoba, podrzucająca dziecko, nie jest nawet widziana; inne, przeciwnie, wymagają koniecznie od matki wylegitymowania się. Zwolennicy tych zakładów chcą przez nie zapobiedz dzieciobójstwom, spędzaniom płodu i podrzuceniom. Przeciwnicy ich, a z nimi prof. Okolski, dowodzą, że nadzieje te są złudzeniem. I jedni i drudzy przytém powołują się na statystykę, często nawet na jedne i te same cyfry, tylko różnie je wyjaśniają. Tak np. na poparcie swego zdania o bezużyteczności domów podrzutków cytuje prof. O. za M. Block'iem tablicę stosunku dzieciobójstw do liczby mieszkańców we Francyi od r. 1826 do 1870. Te same zaś cyfry posłużyły prof. uniwersytetu paryskiego Pawłowi Cauvès'owi (1) za dowód wprost przeciwny.

Skąd pochodzi ta tak dziwna różnica poglądów?

Gdyby łatwość pozbycia się ciężarów utrzymania dziecka wpływała na zmniejszenie liczby dzieciobójstw,—rozumuje prof. Okolski,—to nadewszystko wpływ taki musiałyby wywierać domy podrzutków z kołami, jako najdogodniejsze dla obojętnych na los dziecka matek. Tymczasem statystyka tego nie potwierdza. We Francyi bowiem w r. 1826 było 217 domów podrzutków z kołami i 56 bez kół; w r. 1868 pozostało tylko 25 kół na 170 zakładów ogółem, a w r. 1871 znajdujemy zaledwie 7 kół; jednocześnie zaś liczba dzieciobójstw od r. 1826 do 1860 stale wzrastała, a od 1860 do 1870 przeciwnie zmniejszała się. Mianowicie: na początku pierwszego okresu miało miejsce 1 dzieciobójstwo na 10,174 urodzeń; na końcu jedno na 4073 urodzeń, a w pięcioleciu 1866—70 jedno na 4824 urodzeń. Największe więc zmniejszenie liczby dzieciobójstw w drugim okresie, twierdzi prof. Ok., przypada na czas największego zmniejszenia ilości kół. Nie trudno tu dostrzedz, że tym sposobem szanowny nasz uczony nie zwraca wcale uwagi na dłuższy i ważniejszy okres pierwszy, w którym różnice cyfr są daleko wybitniejsze. Po zmniejszeniu ilości kół z 217 na 25, liczba dzieciobójstw wzrosła $2\frac{1}{2}$ raza, co właśnie zaznaczył prof. Cauvès. Że następnie liczba ta cokolwiek się zmniejszyła, pomimo dalszego zmniejszania ilości kół, należy to przypisać wpływowi usiłowań społecznych w innym kierunku, a mianowicie: instytucyom pomocy dla matek-panien, które to instytucye w owym czasie licznie we Francyi tworzyć poczęto.

Należy tu jeszcze dodać, że wogóle liczba skonstatowanych

---

(1) *Précis du cours d'économie politique, professé à la faculté de droit de Paris.* Paryż, 1888 r., Tom I, str. 442.

sądownie dzieciobójstw jest bardzo niepewną podstawą do wnioskowania. Przeważna bowiem ilość wypadków téj zbrodni pozostaje w ukryciu i wchodzi do rubryki statystycznéj dzieci nieżywo urodzonych, oraz zmarłych wkrótce po urodzeniu, zwłaszcza w drugim tygodniu, wskutek zamorzenia głodem. Otóż we Włoszech w latach 1874—77 było w prowincyach, posiadających domy podrzutków z kołami, 7 do 8 dzieci martwo urodzonych rocznie na 100,000 mieszkańców, w prowincyach zaś, pozbawionych kół, 11 do 13 na 100,000 m. Podobnież przedstawiała się śmiertelność dzieci w pierwszym miesiącu po urodzeniu: w pierwszych umiérało 3, w drugich 4 takich niemowląt na 100,000 mieszk., kiedy tymczasem w dalszych okresach życia już takich różnic nie dostrzeżono (1).

Wreszcie nie potrzeba się uciekać do statystyki, żeby konieczność takich zjawisk udowodnić. Co skłania matkę do dzieciobójstwa? W przeważnéj większości wypadków chyba nie dzika żądza mordu, ale chęć pozbycia się dziecka lub utajenia faktu, którego rozgłoszenie się wywołuje przykre dla kobiéty następstwa. Kiedy więc dom podrzutków z kołem daje matce możność osiągnięcia w zupełności zamierzonego celu bez popełnienia morderstwa, to czyż podobna przypuścić, żeby w wielu wypadkach nie zdołał on skłonić kobiéty do zaniechania zbrodni? Gdyby nawet wszystkie matki, zdolne do dopuszczenia się dzieciobójstwa, były całkowicie wyzute z wszelkich uczuć przywiązania do dziecka i litości nad jego cierpieniem, to i wtedy jeszcze przemawiałby do nich za zaniechaniem mordu egoizm, gdyż zbrodnia ta surowo jest w społeczeństwach cywilizowanych karana.

Inaczéj zupełnie ma się rzecz z kwestyą spędzania płodu i podrzucania. Spędzenie płodu daleko trudniéj może dojść do wiadomości władz sądowych, aniżeli dzieciobójstwo, a przytém opinia ogółu nie uważa go bynajmniéj za czyn równie karygodny, jak to ostatnie; z tego powodu nie wydaje mi się rzeczą prawdopodobną, żeby łatwość umieszczenia dziecka w domu podrzutków mogła oddziaływać rzeczywiście na zmniejszenie ilości spędzeń. Co zaś do podrzuceń, to do nich, naturalnie, domy podrzutków, zwłaszcza z kołami, mogą tylko zachęcać. Jest to fakt, przemawiający bezwarunkowo przeciwko tym zakładom. Tym sposobem bowiem powiększają one to zło, którego skutkom mają zapobiegać. Ta

(2) Dr. L. Pfeiffer, *Die proletarische und die criminelle Sänglingssterblichkeit in ihrer Bedeutung für die wirthschaftlichen Zustände in Europa*, w tomie 38 *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik* Conrada.

też właśnie czarna ich strona powołała do życia instytucye pomocy dla ubogich matek, które prof. Okolski słusznie stawia na piérwszém miejscu pomiędzy środkami dobroczynności publicznéj, mającemi na celu zabezpieczenie bytu niemowląt.

Co jednakże robić z dziećmi, których matki stanowczo nie chcą wychowywać i porzucają je na ulicy? Prof. O. żąda, żeby policya starannie dochodziła rodziców podrzutka i żeby prawo pociągało ich do surowéj odpowiedzialności. Na to chętnie się zgadzamy. Kto dał życie dziecku, winien dbać o jego wychowanie. Lecz co robić z niemowlęciem, którego matki nie udało się odnaléść? Autor nasz chce, żeby się niém zajęła odpowiednia gmina, oddając je na wychowanie do rodzin prywatnych za wynagrodzeniem.

Czy ten środek wszakże byłby korzystniejszy, niż umieszczanie w domu podrzutków, pozwalamy sobie wątpić. Sam pr. Ok. przytacza kilka cyfr, dowodzących, że śmiertelność dzieci oddanych na wieś na wychowanie jest znacznie większa, aniżeli w domach podrzutków. Cytaty jego moglibyśmy jeszcze znacznie pomnożyć. Co więc skłoniło szan. autora do przełożenia téj formy opieki nad podrzutkami nad specyalne dla nich zakłady, nie umiemy odgadnąć?

Przesadna niechęć prof. Ok. do domów podrzutków pochodzi, zdaniem mojém, stąd, iż wybrał on niewłaściwy punkt wyjścia do oceny tych instytucyi. „Zakłady te — pisze szan. profesor — wtedy tylko możnaby uważać za odpowiadające swojemu celowi, gdyby zabezpieczały życie podrzutków, gdyby śmiertelność między dziećmi, do nich przyjętemi, była jeżeli nie mniejsza, to przynajmniéj taka sama, jak między dziećmi wychowywanemi zewnątrz zakładu, prawemi, lub naturalnemi. Statystyka wszakże pokazuje, że dzieci tych umiéra daleko więcéj, a więc przez przyjęcie do zakładu położenie ich nietylko się nie polepsza, ale przeciwnie—pogorsza“. Ani z założeniem, ani z wnioskiem powyższym zgodzić się nie możemy. Dzieci oddawane do domu podrzutków są zazwyczaj wycieńczone i chore. Na domy te więc należy patrzéć, jak na szpitale; a nikt przecież nie zechciałby twierdzić, że szpitale wtedy tylko możnaby uważać za instytucye pożyteczne, gdyby śmiertelność w nich była mniejsza od śmiertelności ogólnéj ludzi po za szpitalem.

Słuszność takiego poglądu na domy podrzutków potwierdza fakt, iż w wielu tych zakładach śmiertelność dzieci, począwszy od trzeciego roku życia, jest znacznie mniejsza od śmiertelności dzieci tegoż wieku wśród ludności wogóle. Fakt ten objaśnia wprawdzie prof. Ok. inaczéj, twierdząc mianowicie, iż wśród podrzutków jednostki słabsze wymiérają zaraz w pierwszéj dobie życia, pozostałe

zaś organizmy silniejsze lepiéj się opiérają wpływom wrogim zdrowiu, aniżeli dzieci troskliwie wychowywane przez rodziców, lecz zapatrywanie to nie jest dostatecznie umotywowane. Gdyby ono było słuszne, to powinnoby się sprawdzać we wszystkich analogicznych wypadkach, a więc np. kraje, w których śmiertelność dzieci w pierwszym roku życia jest bardzo znaczna, powinnyby ich w późniejszych dobach wieku tracić mniéj, aniżeli te, w których niemowląt umiéra niewiele. Tymczasem statystyka przeczy temu. A oto dowód.

Na 10,000 dzieci każdéj z wymienionych poniżéj pór życia umiérało (1):

	w wieku 0—1 roku;		1—5 lat;		5—15 lat
w Norwegii	1160	—	291	—	72
„ Szwecyi	1500	—	311	—	69
„ Danii	1500	—	234	—	74
we Włoszech . . .	2540	—	537	—	82
w Austryi.	3030	—	406	—	73
„ Bawaryi	3722	—	398	—	74

Porównawszy pierwsze trzy kraje z ostatniemi trzema przekonywamy się, że większéj śmiertelności niemowląt we Włoszech, Austryi i Bawaryi odpowiada zarazem i większa na ogół (chociaż, co prawda, nie w jednakim stosunku) śmiertelność dzieci starszych. Prawidło to nie zawsze się sprawdza przy porównaniu dwóch pojedyńczych krajów, gdyż warunki miejscowe wywołują w tym względzie rozmaite kombinacye, ale w żadnym razie cyfry powyższe nie pozwalają na przyjęcie poglądu prof. Okolskiego, żeby wielka śmiertelność niemowląt miała przez usunięcie organizmów słabszych zmniejszać śmiertelność dzieci w następnych dobach życia.

Jeżeli więc w domach podrzutków umiéra dzieci maleńkich więcéj, a starszych nad dwa lata mniéj, niż w domach rodzicielskich, to muszą ten fakt powodować ujemne przyczyny, działające wyłącznie w pierwszych czasach po przyjęciu podrzutka do zakładu. Przyczynami takiemi są przedewszystkiém choroby podrzutków, pochodzące już to z rozpustnego życia matki, lub przykrych jéj przejść w czasie ciąży, już z zaziębienia, lub głodu dziecka i t. p., następnie zaś niedostateczne zaspokojanie potrzeb niemowlęcych podrzutków i nie dość troskliwa opieka nad nimi, skutkiem nie wystarczającéj ilości mamek, ochmistrzyń, służby i wszelkich środków materyalnych w zakładach. Przyczyny pierwszéj kategoryi nie dadzą się usunąć, lecz nie przemawiają one wcale

---

(1) Prof. J. Janson. *Statystyka porównawcza Rosyi i państw zachodnio-europejskich*, tom I, str. 229.

przeciwko domom podrzutków, bo działają zupełnie niezależnie od ich istnienia, lub nieistnienia. Domy podrzutków właśnie po przyjęciu dziecka skutki tych przyczyn łagodzą, o ile to jest w ich mocy. Co zaś do przyczyn kategoryi drugiéj, to na nie zaradzić można, czy to przez lepsze uposażenie zakładów, czy téż przez ograniczenie liczby przyjmowanych dzieci. Zdaniem mojém, zarówno ze stanowiska humanitarnego, jak z punktu widzenia zdrowego rozsądku i korzyści społecznéj, lepiéj by było 1000 dzieci odmówić przyjęcia, ażeby tysiąc wychować starannie, aniżeli z 2000 przyjętych uśmiercić 1500, lub nawet więcéj, a pozostałe kilkaset uczynić cherlakami.

Jak zaś znakomite rezultaty na téj drodze osiągnąć byłoby można najlepszym dowodem dzieje domów podrzutków we Francyi. W r. 1815 z ogólnéj liczby 111.177 wychowańców zakładów tamtejszych umarło w ciągu roku 18.512, czyli 166,5 na 1000, tymczasem w r. 1853 z pomiędzy 129,176 zeszło ze świata tylko 10,543, czyli 81,6 na 1,000, a więc stosunkowo przeszło 2 razy mniéj. Świetne to polepszenie śmiertelności otrzymano bardzo nie wielkim kosztem, gdyż wydatek przeciętny na jednego podrzutka wynosił na początku tego okresu 60 kilka franków, w roku zaś 1853 zaledwie 74 fr. rocznie (1). Podobnież w wiedeńskim domu podrzutków, dzięki ulepszeniom, w ciągu lat 16 zmniejszono cyfrę śmiertelności o 40%.

Na argumenty te jednakże prof. Okolski odpowiada, iż po zaprowadzeniu nawet wszelkich możliwych ulepszeń cyfra śmiertelności podrzutków nie spadnie nigdy do poziomu cyfry ogólnéj śmiertelności dzieci w danym kraju i stąd wnosi, że dla dzieci opuszczonych „przyjęcie do zakładu powiększa tylko szanse śmierci“. Że w najlepiéj urządzonych i najhojniéj uposażonych domach podrzutków umierać zawsze będzie, skutkiem zaznaczonych już przez nas specyalnych przyczyn, więcéj dzieci, aniżeli w domach rodzidzicielskich, to nie ulega wątpliwości, i dlatego wszystkie te środki, które wpływają na powiększenie liczby podrzuceń, jak np. koła, oraz wszelkie formy przyjmowania dziecka do zakładu bez żądania dowodu, iż matka nie może wychowywać go przy sobie, uważamy na równi z prof. Ok. za szkodliwe. Jakkolwiek środki te, jakeśmy się starali dowieść, zmniejszają poniekąd liczbę dzieciobójstw, to jednakże z drugiéj strony przynoszą daleko większą szkodę, niż pożytek, przez zachęcanie do porzucenia dziecka. Nie możemy się

(1) Dr. Fr. S. Hügel. *Die Findelhäuser und das Findelwesen Europa's.* Wiedeń, 1863, str. 155. Tablica śmiertelności i wydatków na domy podrzutków we Francyi.

wszakże zgodzić z szan. naszym uczonym na to, żeby dla dzieci, pomimo wszelkich środków zmierzających do ograniczenia ilości podrzuceń, raz przez matki opuszczonych przyjęcie do domu podrzutków miało tylko zwiększać szanse śmierci. Jeżeli dziecko takie jest chore, zarażone, zaziębione, lub zagłodzone, to przecież nieprzyjęcie go do zakładu nie poprawi wcale jego zdrowia. Przeciwnie, zanim się znajdzie jakaś litościwa osoba, któraby je przyjęła na wychowanie, lub zanim odpowiedni organ władzy administracyjnéj wyszuka dla niego płatną wychowawczynię, daleko prędzéj jeszcze może ono zemrzéć, niż w domu podrzutków. Że śmiertelność dzieci u takich płatnych wychowawczyń jest większa, niż w zakładach dla podrzutków, już o tém wzmiankowaliśmy. To téż lud we wszystkich krajach ochrzcił je wstrętnie wymownem mianem „fabrykantek aniołków.“

Występując w obronie zakładów specyalnych dla dzieci, przez rodziców opuszczonych, nie mamy bynajmniéj zamiaru podawać ich za najlepszą wogóle instytucyą opieki społecznéj nad dziećmi, takiéj opieki potrzebującemi. Do dzieci téj kategoryi należą przedewszystkiém dzieci nieprawe. One to stanowią główny kontyngens podrzutków. Pochodzi to w części stąd, że opinia poczytuje kobiécie za hańbę zadawalanie potrzeb płciowych po za legalnym związkiem małżeństwa, w części zaś stąd, że kobiety ubogie, zmuszone pracować na chléb po za domem, lub zajęte stale w domu obcym, nie są w możności wychowywać dziecka przy sobie. Pierwsza z tych przyczyn mniejsze ma znaczenie, gdyż działa głównie w nielicznych wyższych sferach społeczeństwa, gdzie przytém wypadki macierzyństwa zdarzają się kobietom niezamężnym wogóle rzadziéj, niż w warstwach niższych. Lud nasz na nielegalne stosunki miłosne kobiet stanu wolnego patrzy zazwyczaj pobłażliwie i najczęściéj nie rodziców, ale jedynie niewinne dzieci niesprawiedliwém karze potępieniem, przywiązując pojęcie hańby do nadawanego im przezwiska „bękartów“. Sąd opinii i dlatego jeszcze nie może być wystarczającą pobudką do porzucenia dziecka dla kobiet z warstw ludowych, że zazwyczaj nie mają one możności ukrycia błędu przed otoczeniem, a więc pozbycie się dziecka nie przynosi im żadnéj w tym względzie korzyści. Natomiast druga przyczyna podrzucań—ubóstwo matki i niemożność wychowywania dziecka przy sobie—gra tu rolę bardzo ważną i decydującą. W takich zaś razach jednym racyonalnym i skutecznym środkiem przeciwdziałania podrzuceniom jest zapewnienie opieki i pomocy społecznéj matkom.

Do celu tego powinno społeczeństwo dążyć dwiema drogami: pośrednią i bezpośrednią. Pośrednia polega na ustanowieniu prawa

dochodzenia ojcostwa naturalnego; bezpośrednia—na organizowaniu instytucyi publicznych i prywatnych, dostarczających potrzebnéj pomocy ubogim matkom tych dzieci, których ojcowie nie żyją, lub nie są w możności zapewnić dziecku dostatecznego utrzymania, albo, wreszcie, nie mogą być wykryci.

Prawo dochodzenia ojcostwa naturalnego ma wielu przeciwników. Głównym ich argumentem jest twierdzenie, jakoby prawo to oddziaływało demoralizująco na kobiéty i dawało zepsutym z pośród nich jednostkom szerokie pole do wyzysku. Jest w tém zdaniu część prawdy, lecz więcéj jeszcze jednostronności zapatrywania. Bezwątpienia groza poniesienia całego ciężaru następstw nielegalnego związku może nie jedną kobietę powstrzymać od błędu, lecz czyż z drugiéj strony zapewnienie zupełnéj bezkarności mężczyznom, którzy zazwyczaj występują w roli kusicieli i napastników, nie znosi całkowicie znaczenia tego hamulca? Kobiéta w większości takich wypadków jest tylko ofiarą niedoświadczenia życiowego, a nierzadko także szlachetnego zaufania w uczciwość zamiarów i szczerość przysiąg uwodziciela. I ona to właśnie, niewinna i skrzywdzona tylko w gruncie rzeczy, ma wyłącznie ponosić karę za swą naiwność, kiedy właściwy winowajca zostaje uwolniony od wszelkiéj odpowiedzialności za rzeczywisty występek? Zdaniem naszém, żadne względy nie mogą wystarczyć do obrony takiéj niesprawiedliwości. Co do zarzutu, że prawo dochodzenia ojcostwa naturalnego daje kobietom zepsutym możność wyzysku, to rzeczą jest prawodawcy obmyślenie środków, któreby temu zapobiegły. Nie chcemy zaprzeczać, iż przy największéj nawet ostrożności prawodawców i sumienności sędziów w téj sprawie nadużycia są zawsze możliwe, ale niéma takiéj ustawy ludzkiéj, którаby była wolna od wszelkich stron ujemnych. Wreszcie, według naszego zapatrywania, fakt, iż pewna liczba mężczyzn, podejrzanéj w każdym razie moralności, płaciłaby alimenty dla nie swoich dzieci, gdyby nawet mógł być uważany za zjawisko ujemne, byłby złém daleko mniejszego znaczenia, aniżeli zupełne uwalnianie jednéj ze stron biorących udział w błędzie od wszelkiéj kary i wszelkich obowiązków. Podobnież patrzy na tę kwestyą i prof. Okolski, który rozpowszechnioną w wielu krajach niechęć do prawa dochodzenia ojcostwa naturalnego nazywa bez ogródki przesądem.

Powiedzieliśmy, iż w tych wypadkach, w których rodzice nie są w możności zabezpieczyć bytu dziecięciu, winno im przyjść z pomocą społeczeństwo. W tym celu wprowadzono we Francyi w r. 1837 z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych zwyczaj udzielania zasiłku pieniężnego ubogim matkom (*secour aux filles-mères*).

Zasiłek taki wypłacano przez pierwsze 2 do 3 lat po urodzeniu dziecka. Wynosił on przeciętnie około 100 franków. Pomoc ta, pomimo całéj swéj szczupłości, zdołała powstrzymać wiele matek od porzucenia dzieci, czego wymownie dowiodły zmniejszające się z roku na rok cyfry podrzutków. Kiedy środek ten wydał tak świetne rezultaty, nadano mu moc prawa ustawą z d. 5 maja r. 1869. Obok tego powstały téż we wszystkich większych miastach Francyi liczne towarzystwa prywatne t. zw. *sociétés de charité maternelle*, mające to samo zadanie. Z Francyi piękna ta instytucya przeszła wkrótce do innych krajów i dziś jest już wszędzie dość rozpowszechniona. I u nas w Warwszawie, jak wiadomo, istnieje jedno takie towarzystwo i działa bardzo pożytecznie, chociaż, niestety, w zbyt szczupłym zakresie z powodu braku środków materyalnych. Byłoby rzeczą ze wszech miar pożądaną, żeby instytucye takie potworzono we wszystkich większych miastach prowincyonalnych.

Prof. Okolski gorąco przemawia za temi instytucyami, starając się zbić wszelkie stawiane im zarzuty. „Nie ulega wątpliwości, mówi on, że pozostawienie dziecięcia przy matce umoralnia ją, gdyż (?) często prowadzi do małżeństwa z ojcem tegoż i przyznania go w następstwie za prawe (1). Na potwierdzenie tego faktu nie potrzeba się nawet odwoływać do Francyi, ale do spostrzeżeń czerpanych z naszego kraju, w którym fakty takie zwłaszcza po wsiach wcale nie są rzadkością. Nie można téż twierdzić, ażeby zasiłek pieniężny, udzielany matce, działał demoralizująco na kobiéty, żeby go można uważać za premium, nagrodę za niemoralność, cóż bowiem może działać bardziéj demoralizująco, jak domy podrzutków, które gotowe są w każdym razie do przyjęcia i ukrycia na zawsze dowodu błędu i upadku kobiéty? Jakąż kobietę należy wyżéj postawić pod względem moralnym, czy tę, która, otrzymując zasiłek, własną pracą i poświęceniem, często wśród braku najpotrzebniejszych rzeczy, stara się o utrzymanie i wychowanie swego dziecka, czy téż tę, która odrazu pozbywa się tego ciężaru, oddając je do domu podrzutków? Zdaje się, że co do tego dwóch zdań być nie może.“ Daléj dowodzi szanowny profesor cyframi, że pomoc matkom daleko mniéj społeczeństwo kosztuje, aniżeli utrzymanie podrzutków, gdyż dzieci podrzucone pozostają w zakładach przez lat 10 do 12, tymczasem matki pobierają zasiłek tylko przez lat kilka. Ten argu-

(1) Według mnie, wychowywanie dziecka umoralnia matkę, bez względu na to, czy wyjdzie ona, czy nie wyjdzie za mąż za kochanka. Małżeństwo kochanka z taką kobietą możnaby tylko uważać za umoralnienie się jego nie jéj. Ją umoralnia już dostatecznie samo spełnianie ciężkiego dla niéj obowiązku macierzyńskiego.

ment jednakże nie wielkie ma znaczenie, gdyż jak sam autor następnie dodaje, pomoc świadczona matkom powinna by być hojniejsza i trwać dłużéj, aniżeli to się w obecnych instytucyach praktykuje. Silniéj daleko za udzieleniem pomocy matkom przemawia ten fakt, iż śmiertelność dzieci u takich matek jest znacznie mniejsza, aniżeli w domach podrzutków. Rzecz to bardzo naturalna, bo dobréj matce nie dorówna nigdy w troskliwości i staraniach najbardziéj poświęcona wychowawczyni. Przed przyznaniem jednakże zasiłku należałoby, zdaniem naszém, o każdéj matce zasięgać dokładnych wiadomości nie tylko co do jéj materyalnego położenia, lecz i co do prowadzenia się moralnego i w razie stanowczo złéj opinii pomocy odmawiać. Naturalnie, że, mówiąc o dzieciach nieprawych, nie możemy tu miéć na myśli jakiejś idealnéj moralności ich matek, ale chodzi nam jedynie o grube przeciwko niéj wykroczenia. Pomimo to wszystko, co prof. Okolski pisze o dodatnich stronach „pozostawienia dziecka w téj sferze społecznéj, w któréj się urodziło i żyć będzie późniéj“, i on zapewne zgodzi się z nami, że opieka macierzyńska prostytutki, pijaczki lub złodziejki nie wyszłaby dziecku na dobre i że w takich razach należy przełożyć nad nią dom podrzutków.

Streszczając ostatecznie swój pogląd na instytucye opieki nad ubogiemi i nieprawemi dziećmi, uważamy, że na pierwszém miejscu w tym względzie stać powinny środki prawodawcze, zmuszające nietylko matki, ale i ojców, czy to znanych, czy domniemanych, do ponoszenia kosztów wychowania swego potomstwa; dla dzieci, których rodzice z powodu ubóstwa nie są w możności swoimi środkami wychowywać, lecz matki w razie otrzymania niewielkiéj pomocy chętnieby się zgodziły ten trud podjąć, najodpowiedniejszym sposobem rozstrzygnięcia kwestyi jest udzielanie im skromnych zasiłków pieniężnych, o ile nie staje temu na przeszkodzie ich zbyt niemoralne prowadzenie się; wreszcie dla dzieci porzuconych, lub nie mogących pozostawać przy matce, czy to z powodu jéj choroby, czy rodzaju zajęcia, czy nakoniec głębokiego upadku moralnego, najwłaściwszém schronieniem są dobrze urządzone i starannie dozorowane przez ludzi szczerze poświęconych sprawie specyalne zakłady wychowawcze. Umieszczanie dzieci u płatnych karmicielek na wsi uważamy za bezwarunkowo najgorszy i żadnym wymaganiom nie odpowiadający sposób załatwiania się społeczeństwa z podrzutkami. Według nas, nie jest to właściwie opieka nad opuszczonemi niemowlętami, ale łatwe pozbycie się kłopotu bez uwagi na los dziecka.

W. Wścieklica.



Z OBCEGO ZAGONA.

System der Ethik mit einem Umriss der Staats-und Gesellschaftslehre. Von Friedrich Paulsen a. o. Professor an der Universität Berlin. Berlin, 1889. (Dwie części, razem stronic XII + 868 in 8⁰).

Przyglądając się spółczesnéj literaturze filozoficznéj widzimy, że ze wszystkich jéj części najwięcéj są uprawiane: psychologia i etyka, mniéj logika, a najmniéj metafizyka. Tym razem zajmie nas etyka profesora Paulsena. Jest-to dzieło najświeższe co do czasu, i być może najgruntowniejsze z tych, jakie się ostatniemi laty w tym przedmiocie ukazały.

Zaraz tedy z początku dobrze będzie obejrzéć jego zewnętrzny układ i treść. Składa się ono ze wstępu i czterech ksiąg. We wstępie, jak to zwykle bywa, mamy wyłożone: pojęcie i zadanie etyki, jéj miejsce w systemie nauk, metodę, zakres. W pierwszéj księdze autor przebiega treściwie, ale dostatecznie dzieje etyki, to jest pojęć moralnych u dawnych Greków i Rzymian; następnie w chrześciaństwie i u ludów germańskich; daléj, poglądy na życie w wiekach średnich i nowożytnych. Nie pominięto tu żadnego bardziéj znanego nazwiska w zakresie filozofii moralnéj. Charakterystyka ludzi i pojęć zwięzła, obiektywna. Najlepiéj może udał się rozdział, zawierający etykę chrześciańską w przeciwieństwie do greko-rzymskiéj. Etyczne pojęcia dwóch tych światów stanowią z sobą kontrast zupełny: jedne mają na celu człowieka i szczęście jego na ziemi, drugie troszczą się także o jego szczęście, ale zaziemskie. Obowiązki i cnoty dwóch tych światów, lubo się podobnie nazywają, jak np. męstwo, albo mądrość, ale w obu zupełnie odmienne przywiązują do nich znaczenie. Męstwo Greka i Rzymianina przejawia się w napaści, lub czynnym odporze: męstwo chrześcianina w cierpliwości i bierném raczéj znoszeniu, niż zadawaniu krzywdy.

Księga druga nosi tytuł: Zasadnicze pojęcia i kwestye zasadowe. Rozważa zatém autor pojęcia dobra i zła etycznego, ostatecznego celu, czyli dobra najwyższego; przy téj sposobności w osobnym rozdziale traktuje pesymizm podając jego krytykę i ocenę. Z kolei zastanawia się nad tém, co jest obowiązek, a co sumienie. Tu znowu zdarza się sposobność mówienia o egoizmie i altruizmie. Autor nie bardzo wierzy proroctwom H. Spencera, który zapowiada powolne zamieranie w ludziach instynktów samolubnych, a wzrost sympatyi i uczuć altruistycznych. Niepodobna odmówić słuszności krytyce, rozwiéwającéj ten uniwersalny optymizm angielskiego filozofa. Ostatnie trzy rozdziały téj drugiéj księgi poświęca Paulsen rozważeniu pojęć cnoty i szczęścia, wyłożeniu stosunku etyki do religii, oraz spornego między uczonymi problematu o wolności woli.

Księga trzecia obejmuje szczegółowy, treściwy wykład cnót i obowiązków, tak względem siebie jak i względem społeczeństwa. Przedmiot to, jak wiadomo, najmniéj ponętny, chociaż bardzo ważny. Weźmy np. obowiązek mówienia prawdy, a z drugiéj kłamstwo i rozmaite jego maski. Dobrze i rozumnie napisany jest ustęp wykładający obowiązek mówienia prawdy przez wszystkich, którzy publicznie i przed publicznością w téj lub innéj formie występują. Autor nazywa ten obowiązek publiczną służbą w interesie prawdy. Obok tego punktu zastanawia się jeszcze nad pytaniem, dlaczego nowe prawdy i ich apostołowie zwykle są prześladowani. Hasłem tych pionierów jest *plus ultra*, daléj a daléj. Nie powstrzymuje ich żadna powaga, żaden choćby najbardziéj uświęcony przesąd. Powinnyby im narody płacić wdzięcznością i zdarza się to czasem; ale najczęściéj nagrodą ich za życia męczeństwo. Paulsen dowodzi, że jest-to psychologiczna konieczność ze względu na zastarzałe i zakorzenione poglądy i pojęcia, z któremi do walki występują nowe, grożące, jak się zdaje ich przeciwnikom, zupełném wytępieniem ideałów, najprzód w sferze teoryi, a potém i w czynach; walka zatém jest nieunikniona. Dodajmy do tego interesa prywatne, którym te nowe pojęcia zapowiadają szkodę; urządzenia szkolne, wojskowe, polityczne, które podkopują, a zrozumiemy pobudki do oporu i zaciętości, z jaką występują obrońcy tych urządzeń. Chodzi tu nie o mary i cienie, lecz o własną skórę; całe legiony obsługujących te instytucye żyją z nich i przez nie coś znaczą, a więc każdy wróg owych urządzeń właściwie dobiéra się do kieszeni stróżów istniejącego porządku rzeczy. W tym samym rozdziale 10 trzeciéj księgi zadaje sobie autor pytanie, czy tępienie błędu we wszelkich okolicznościach jest moralnym obowiązkiem człowieka? Pytanie

bardzo interesujące i rozmaicie rozstrzygane. Filozofowie odpowiadają na nie bezwzględnie: tak; politycy z pewnemi zastrzeżeniami. Nasz autor również staje po stronie tych ostatnich, rozważając gdzie, kiedy i do kogo można wystąpić z taką bezwzględnością—bo prawdy nie są jako monety, gotowe, z rąk do rąk przechodzące, lecz muszą być przez samego ich odbiorcę przemyślane; gdy mu zaś błędne jego na pewien przedmiot poglądy zburzymy, a innych, lepszych nie damy, to usługa taka niewiele warta. Jest-to w dziele Paulsena punkt, nad którym trzebaby dłużéj się zastanowić i całą argumentacyą przytoczyć, ażeby czytelnik sam mógł wyrobić sobie zdanie, o ile rada jest słuszną.

Ostatnia, czwarta księga zawiéra przedmioty wielkiéj wagi, wkraczające w życie społeczne i polityczne, nosi zaś tytuł: Formy życia społecznego. Do tych form zalicza autor: rodzinę, własność i państwo. Było to dobrym zwyczajem dawniejszych moralistów, że i te przedmioty wciągali do swoich roztrząsań, na prawdę bowiem o moralności może być mowa dopiéro w życiu społeczném. Społeczeństwo to przez swoje instytucye religijne, prawne, ekonomiczne i polityczne wytwarza etykę. Otóż, rodzina, własność, państwo są zasadniczemi formami teraźniejszéj organizacyi społecznéj, które jak z jednéj strony wytwarzają normy etyczne w historycznym swoim rozwoju, tak z drugiéj stanowią pole, na którém się owe teoretyczne normy urzeczywistniają. Dlatego etyka nie może pomijać rodziny, własności i państwa i ograniczać się tylko na kilkunastu abstrakcyjnych formułach, czy maksymach, zakazujących lub nakazujących.

Rozważając rzeczone formy bytu społecznego, autor miał sposobność dotykania wielu i ważnych przedmiotów. Tak np. mówiąc o rodzinie, potrzeba było zastanowić się nad stosunkiem rodziców i dzieci, rodziców i szkoły; nad formami małżeństwa, rozwodami, bezżeństwem, emancypacyą kobiéty, prostytucyą i t. p. Traktując o własności, Paulsen zamieścił obszerny rozdział o socyalizmie, wraz z krytyką tych usiłowań, dążących do zniesienia własności indywidualnéj i do radykalnéj zmiany w dotychczasowéj produkcyi ekonomicznéj. Krytyka jest umiarkowana, nie ślepa na ciemne strony spółczesnego życia gospodarskiego, ale téż widząca niepraktyczność i niewykonalność zalecanéj jako panaceum kolektywnéj produkcyi.

Najwyższą z form życia społecznego jest p a ń s t w o. W poglądach na jego istotę i zadanie odróżniamy dwa kierunki: liberalistyczny i absolutystyczny. Piérwszy za zadanie państwa uważa obronę prawną, polegającą na tém, żeby państwo broniło swoich

obywateli od szkody, tym bowiem sposobem najlepiéj służy ich pomyślności. Innemi słowy, zadanie państwa jest negatywnéj natury; pozytywną troskę o pomyślność obywateli winno im samym zostawić. Drugi, absolutystyczny kierunek pragnąłby w ręce państwa oddać wszelkie sprawy dotyczące szczęścia obywateli, gdyż ono najlepiéj wié, co im potrzebne, a co szkodliwe. Dwa te wręcz sobie przeciwne poglądy panują w nowożytnéj teoretycznéj polityce. Przedstawicielem absolutyzmu jest Tomasz Hobbes, liberalizmu Jan Locke; po nich i za nimi oba kierunki, aż do naszych czasów, mają swoich wielbicieli. Postawione na ostro przeciw sobie w teoryi oba poglądy, w praktyce muszą być łagodzone, i żaden z nich nie daje się przeprowadzić z całą konsekwencyą, albowiem rządzenie ludźmi polega na wzajemnych ustępstwach ze strony obu kierunków. Uwaga na tę okoliczność prowadzi do zastanowienia się nad wzajemnym stosunkiem państwa i społeczeństwa, do rozważenia, o ile i gdzie interwencya państwowa znajduje usprawiedliwienie.

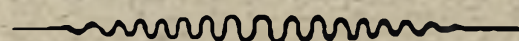
Odpowiedź na to pytanie doprowadziła teoretyków również do dwóch przeciwnych sobie poglądów. Humboldt idąc za Kantem, zakreślał granice akcyi państwowéj w tych słowach: „Państwo winno się powściągać od wszelkiéj troski o pozytywne dobro obywateli i dbać jedynie o ich bezpieczeństwo tak wewnętrzne jak i względem zagranicy“. Podobnie mniéj więcéj rozumuje J. St. Mill. Pogląd taki jest wyrazem liberalizmu. Przeciwny mu i zaczynający teraz wszędzie, nawet w Anglii, przemagać, pragnie, by państwo interweniowało w licznych wypadkach, gdzie chodzi o pomoc i obronę bezbronnych a wyzyskiwanych.

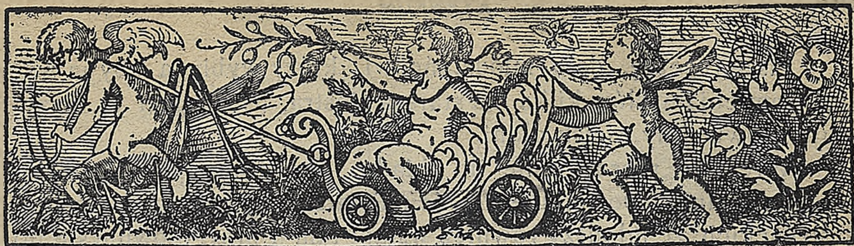
Wobec spornych poglądów na granice akcyi państwowéj w stosunku do obywateli, autor wskazuje następującą drogę pośrednią: Akcya państwowa tém jest k o n i e c z n i e j s z a, im ważniejsza jest sfera działania dla życia ogółu, im mniéj jest prawdopodobieństwa, ażeby się téj akcyi podjęli obywatele wzięci pojedyńczo, lub nawet w niewielkich grupach. Powtóre, akcya państwowa tém jest m o ż l i w s z a, im rzeczy mające się dokonać są jednorodniejsze, im mniéj osobiste a łatwiejsze do skontrolowania i wymuszenia. I tak, sprawy zagraniczne, a więc wojna i pokój, oraz bezpieczeństwo wewnętrzne, a więc wymiar sprawiedliwości, muszą koniecznie należéć do atrybucyi państwa. Jakoż, sprawy te oddawna leżały w ręku państwa; ale nowożytne, rozwinięte państwo wciągnęło w zakres swojéj działalności inne jeszcze zadania, mianowicie, komunikacye, kulturę krajową, wychowanie młodzieży, naukę i sztukę, opiekę nad ubogimi, sprawy sanitarne, policyą

obyczajów i politykę kościelną. Oprócz tego, zostaje bardzo ważna sfera obejmująca finanse. Słowem, z tego wyliczenia widać, iż zakres akcyi państwowéj wzrósł niepomiernie, a wszystkie wskazane wyżéj zadania, wkładane na państwo, stanowią tyleż spornych kwestyi o granice jego interwencyi. Obywatelom mogłoby nic nie pozostać do roboty, jeno założyć ręce i czekać na opatrzność państwową: byłby to kwietyzm najzgubniejszy, nietylko dla obywateli, ale w końcu i dla państwa. Nasz autor stara się wyrażoną powyżéj ogólnikową formułą zapobiedz przewidywanym takim następstwom. Zgodnie więc z nią powiada, że „rozległa sfera życia umysłowego, domowo-rodzinnego i towarzyskiego, jako indywidualno-osobistéj natury, jako taka, gdzie przymus nicby nie wskórał, winnaby zostać po za akcyą państwową“. Przyznajemy, że obmyślenie sposobu, jakimby można i siłę państwa utrzymać, i swobodzie indywidualnéj zbytecznie arteryi nie podwiązać, należy do bardzo trudnych zadań naszego czasu. Zdaje nam się, że teoretycy dzisiejsi pod wpływem socyalistycznych rekryminacyi, a może w przewidywaniu niebezpieczeństw z tamtéj właśnie strony grożących, wpadają w ostateczność przeciwną teoryom liberalizmu, i powoli konfiskują moralność indywidualną na rzecz wszechmocy i wszechwiedzy państwowéj. W autorze, którego dzieło roztrząsamy, znać wpływ uroku wszechmocnego kanclerza i politycznych powodzeń pruskich, które teoretycy przypisują głównie téj żelaznéj organizacyi państwowéj, duszącéj wszystko i wszystkich. Ze strony etycznéj oceniane te powodzenia mogłyby doprowadzić do innego poglądu na granice interwencyi państwowéj, niż ten, jaki, mimo wszelkich omówień, ze słów autora wynika.

Bądź-co-bądź jednak, dzieło Paulsena warte jest czytania; zawiera ono całą etykę w sposób jasny, zwięzły, umiejętnie wyłożoną. Co ważniejsza, autor nie uważa za możliwą etyki, którаby na wszystkie wieki i wszędzie miała być obowiązującą. Każdy typ rodu ludzkiego wymaga osobnéj skali moralnéj; jak Anglik jest czémś inném, niż Chińczyk lub Negr, tak dla każdego z nich inne prawidła moralne mogą być obowiązujące. Sfera obowiązującéj moralności schodzi się zawsze ze sferą cywilizacyi z któréj powstała. Zadaniem jéj może być tylko pociągnięcie ogólnych konturów postępowania dla jednostek należących do danéj epoki cywilizacyjnéj; kontury te zaś mogą być najrozmaiciéj zwężane lub rozszerzane.

Sygma.





PACYENTKA MOJEGO WUJA.

Przypominam sobie — mówił do mnie pewnego razu po obiedzie, mój wuj, doktór medycyny — jedno dosyć osobliwe zdarzenie z mojéj praktyki. Opowiem ci je, jeżeli masz ochotę słuchać. Jako literatowi może ci się to nawet przydać. Akurat — nowelka.

Wyobraź sobie (ulubione wyrażenie mojego wuja), iż przed paroma czy téż kilkoma laty zostałem zawezwany błagalną depeszą do choréj na wieś. Wyjeżdżam pierwszym pociągiem, na stacyi zastaję już oczekującą na mnie karetę na saniach a było to tak jakoś w środku zimy—i po godzinie jazdy — takiéj, wiész „co koń wyskoczy“, staję u celu podróży.

Ciemny wieczór. Ze świateł tylko w oknach domyślam się dworu okazałego, może pałacu. Wchodzę. Przedsionki, szerokie schody, wysokie komnaty—jedném słowem: pałac.

Mam wszakże na to zaledwie parę spojrzeń czas rzucić, gdyż w pół minuty byłem przy łóżku choréj.

Wyobraź sobie młodą, delikatną, dosyć piękną dziewczynę z policzkami rozpalonemi jak czerwone żelazo, z uchylonemi ustami, przez które wychodzi palący oddech, puls szybki i nieregularny, gorączka w wysokim stopniu—słowem, zapalenie płuc.

Naprzeciwko mnie, z drugiéj strony łóżka stoi rodzina choréj. Ojciec, stary bardzo człowiek, z siwą brodą, z twarzą pełną zmarszczek, ale wyprostowany jak żołnierz na mustrze. Przy nim brat choréj, dwudziestoletni chłopiec, sympatycznéj powierzchowności, daléj młoda siostrzyczka, lat może dwunastu i wreszcie oparta o krawędź łóżka najstarsza z obecnego rodzeństwa siostra, wysoka, smukła, z twarzą surową, poważną, nakazującą szacunek.

Wszyscy patrzą we mnie z niepokojem.

Z chorą jest źle, niebezpieczeństwo wisi nad nią, ale nie spadło jeszcze. Mam nadzieję, że się to dobrze skończy. Dzielę się tém z ojcem, który ściska mi silnie rękę.

Piszę receptę, daję młodzieńcowi, który wybiega aby ją wysłać, zamieniam słów kilka ze starszą siostrą, uspakajam ją, otrzymuję znowu silny uścisk dłoni.

Wreszcie proszą mnie do obiadu. Za stołem poznaję bliżéj trochę rodzinę. Dowiaduję się, że najstarszy syn służy w ułanach austryackich, że młodszy również wstąpi tam i przygotowuje się do egzaminu oficerskiego... i powoli czuję się owianym tą atmosferą, jaka tu panuje.

Stara to rodzina, wysoko ceniąca swój klejnot szlachecki, przechowująca tradycye dawne i zalety. Jestem człowiekiem nowym, demokratą, ba! pochodzę z chłopów, jak wiész o tém—jednak zanim podano legominę, byłem duszą, przyjacielem tych ludzi. Uprzejmi, szlachetni, nie dumni nawet wobec lokajów, którzy usługiwali nam do stołu, szacunek, jakim otaczali ojca, który mógł wypływać tylko z miłości, stosunek ojca do dzieci poważny i czuły zarazem, cześć z jaką syn objaśniał mnie o treści starego obrazu, przedstawiającego jego przodka—wszystko to mimowoli wkradło się do mojéj duszy, jak ciepły strumień i ogrzało ją sympatyą.

To téż raczéj aby przyjemność zrobić tym miłym ludziom, niż dla rzeczywistéj potrzeby oświadczyłem, że noc przepędzę przy łóżku choréj.

Ofiarę moję przyjęto z wdzięcznością, która mi odrazu za nią zapłaciła.

Panna Marya (imię starszéj siostry), która pełniła obowiązki pani domu, kazała mi natychmiast wnieść do pokoju choréj szezlong, fotel, stoliczek z napojami — nawet stołeczek pod nogi. Pan domu przyniósł mi kilka starych druków lekarskich, pamiętających XVI wiek, a syn jego ofiarował się grać ze mną w szachy, choćby do rana. Przesadzano się w uprzejmościach.

Wreszcie zostawiono lokaja w przyległym pokoju na moje usługi, w stajni zaś parobka i osiodłanego konia, gotowych do wyruszenia każdéj chwili po lekarstwo, gdyby się okazała tego potrzeba.

O jedénastéj pożegnałem ojca i siostry, o dwunastéj zaś brata, któremu dałem dwa maty i pozostałem sam — z chorą. Zbadałem raz jeszcze jéj puls, gdy usłyszałem lekkie pukanie do drzwi. Domyśliłem się, iż mnie wywołują. Otworzyłem drzwi i ujrzałem pannę Maryę, która dała mi znak, abym podszedł. Opuściłem pokój choréj.

— Panie — rzekła do mnie cichym głosem panna Marya — może pan się zdziwi, że po raz drugi proszę o zdanie co do mojéj siostry, ale... wiem, iż panowie nie zawsze bywacie szczerymi.

Może to i dobrze, ale błagam pana na wszystko, powiédz mi prawdę, czy ona będzie żyła? Błagam, błagam pana. Nie krępuj się pan niczém. Ja mam dosyć siły na przyjęcie jaknajgorszéj wiadomości. Wiedziałabym jak postępować z ojcem, z bratem, siostrą — oni ją tak kochają bardzo.

— Pani — odrzekłem — przysięgam na honor nie lekarza ale człowieka, że będę zupełnie szczerym. W téj chwili nie mogę przyrzec, że siostra pani nie umrze, ale tém bardziéj nie mógłbym ręczyć, iż umrze. Nie można obecnie nic przewidziéć, dopóki nie nastąpi najwyższy stan choroby; po nim będzie albo gorzéj, albo lepiéj. W obu razach najsumienniéj będę panią informował.

Gorący uścisk dłoni był odpowiedzią na moje objaśnienie.

„Oto rodzina—myślałem sobie wróciwszy do pokoju choréj — prawdziwa rodzina, instytucya święta, oparta na miłości. Czyż może być piękniejszego co nad stosunki takie. Jak oni się kochają wszyscy—zadrościć im tego szczęścia“.

Zabrałem się do wygodnego ułożenia w fotelu. Przysunąłem go bliżéj łóżka choréj, podstawiłem sobie stołeczek pod nogi, przykręciłem płomień u lampy, usiadłem — i zacząłem myśléć o pewnéj rzeczy, która mnie uderzyła odrazu, ale nad którą nie miałem czasu dotychczas się zastanowić.

Był to—wzrok choréj.

Odkąd jestem lekarzem, a spory to przecież kawałek czasu, nie spotkałem się nigdy z takiém wejrzeniem, z takim wyrazem oczu. Czy wiész co się w tym wzroku malowało? Oto oczy te wyznawały mi — nienawiść.

Wyobraź sobie—nienawiść. Nie byłem w stanie pojąć tego.

Lekarz, który przychodzi wyrwać chorego śmierci spotyka się najczęściéj ze spojrzeniem pełném niepokoju, czasami nadziei lub wdzięczności, czasami zupełnéj obojętności a nieraz i nieufność zauważyć się daje.

Tu zaś mylić się nie mogłem. Pierwsze wejrzenie, jakie rzuciła na mnie chora dziewczyna, tchnęło wyraźną niechęcią, poprostu — odpychało. Następne były już tylko zimne i zacięte.

Zastanawiało mnie to, jak każda rzecz niewyjaśniona, ale nie łamałem sobie nad tém zbytecznie głowy. Byłem trochę znużony, śpiący,—oparłem więc głowę o fotel i zdrzémnąłem się.

Jak długo drzémałem, nie pamiętam.

Nagle —wyobraź sobie — czuję jakby mi jakieś zimne cielsko oplątywało szyję. Przebudzą to mnie—czuję wyraźnie jakiś mroźny powiew. Otwiéram oczy — pierwsze moje spojrzenie pada na łóżko—puste!

Zrywam się. Odwracam. Wyobraź sobie co widzę.

Moja pacyentka w koszuli rozpiętéj, z piersią odkrytą, z nagiemi ramionami stoi przy oknie otwartém na oścież.

Porywam ją na ręce drżącą, skotniałą, niosę na łóżko, okrywam kołdrą i biegnę zamknąć to nieszczęśliwe okno.

— Dla czego pani to zrobiła—zapytuję szorstko choréj.

Odwraca się odemnie i milczy. Powtarzam pytanie łagodnie. Ani słówka. Nagle zrozumiałem wszystko, wszystko i otwarcie okna i te jéj spojrzenie.

— Ach—rzekłem—więc pani popełniasz samobójstwo, pani się zabijasz własnowolnie, nie chcesz zdrowia i życia?!

Nie poruszyła się.

Poszedłem do stoliczka i położyłem rękę na dzwonku. Wszedł lokaj.

— Dowiédz się—rzekłem do niego—czy śpi panna Marya.

Chora jednym szybkim ruchem ciała usiadła na łóżku. Odwróciła twarz do mnie.

— Nie, nie,—zawołała—odpraw go pan, późniéj! późniéj! Chcę panu coś powiedziéć. Proszę.

Skinąłem na lokaja. Wyszedł. Gdy pozostaliśmy sami, zapytała mnie cichym, lękliwym głosem.

— Co pan chcesz zrobić?

— Czuję się w obowiązku donieść rodzinie, że popełniasz pani samobójstwo.

— O nie, nie—krzyknęła tonem tak błagalnym, że litość mną owładnęła. Pan nie zrobisz tego, nie powiész. To nie może być.

— Ależ... ja muszę. To mój obowiązek, pomyśl pani sama,—ale zakryj się przedewszystkiém—czyż mogę postąpić inaczéj.

Wyciągnęła do mnie ramię. Nie rozumiejąc tego ruchu przybliżyłem się do łóżka a wtedy ona pochwyciła moję rękę w swoje rozpalone dłonie i ściskając ją mocno, szeptała błagalnym tonem.

— Panie—nie znam pana, pierwszy raz widzę pana, ale pan jesteś uczciwym człowiekiem, i nie będziesz mógł odmówić jedynéj, ostatniéj prośbie umierającego człowieka. Zachowaj to przy sobie.

Spojrzała mi w oczy a widząc, iż się waham podniosła moją rękę do ust. Wyrwałem ją ale zapóźno już. Pocałowała.

— Ależ pani—rzekłem naprawdę wzruszony—stawiasz mnie w dziwném położeniu. Moje sumienie nakazuje mi powiedzieć wszystko rodzinie pani.

— Nie.... nie.... ja pana przekonam. Usiądź pan tu... ja panu powiem wszystko... Czy chcesz pan być moim przyjacielem?

— Wszak jestem tu po to, żeby panią ocalić.

— Ach...

Chciała mówić daléj, ale zabrakło jéj tchu. Opuściła głowę na poduszkę, przymknęła oczy i otworzyła usta aby zaczerpnąć powietrza. Po chwili zerwała się znowu, chcąc mówić. Ale ułożyłem ją napowrót.

— Nie męcz się pani—rzekłem—uspokój się, odpocznij. To ci szkodzi.

Smutny, bolesny uśmiéch pojawił się na jéj ustach. Odpoczywała jednak przez parę minut.

— Już jestem spokojną—odezwała się wreszcie—czuję się nawet mniéj chorą... choć myślałam, że tam, przy oknie—padnę... i... już nie wstanę.

— Biédne dziecko—rzekłem—chcesz umrzéć a jeszcze żyć nie zaczęłaś. Powiédz mi pani co ci dolega. Widzisz—ja mam siwe włosy i córkę prawie w twoim wieku. Ja panią zrozumiem i może przekonam.

Wysunęła z pod kołdry rączkę, aby mi ścisnąć dłoń.

— ....Nie... nie przekonasz mnie pan... To ja pana przekonam. Ja żyć nie mogę. Jestem—zhańbiona.

Umilkła i zakryła twarz kołdrą. Wreszcie po chwili głosem łagodnym, słodkim ale stanowczym mówić zaczęła jakby do siebie

— ...Czyż nie powinnam umrzéć? czy mam dożyć do téj chwili.. O, nie, nie... To niepodobna. Zresztą ja .. mniejsza o mnie. Ale mój ojciec...

...Pan nie znasz mojego ojca. On wygląda surowo, ale to najlepszy na świecie człowiek. A jak on mnie kocha. To téż... on będzie cierpiał skoro ja umrę—a ja muszę umrzéć—będzie bardzo cierpiał... Ale potém będzie wspominał o mnie, często, codziennie i kochać mnie będzie zawsze, zawsze...

....Gdyby się dowiedział o t é m... znienawidziłby mnie... i cierpiał by okropnie, stokroć więcéj. Ja go znam... Może nie przeżył by tego.

....Mój ojciec jest dumnym, ale nie dla ludzi, nie dla świata... on z każdym wieśniakiem pomówi.... Dumę chowa dla siebie, dla nas... Pragnąłby, abyśmy wszyscy byli szlachetni, bez skazy. Tego nasz ród wymaga... Nasi pradziadowie odznaczali się już w dwunastym wieku i potém ciągle, ciągle... mieliśmy w rodzie hetmanów, kasztelanów, prymasów... Zapewnie widział pan portrety ich w sali... Ja jedna tylko wyrodna...

....Gdyby ojciec dowiedział się... przeklął-by mnie. A jeżeli nie formalnie... on taki dobry... to wyrzekłby się mnie w swojém

sercu. I co by go pocieszyło potém... nic, nic... To plama na całym rodzie, na całą przyszłość... umarłby w zgryzocie i ze zgryzoty.

....Jeżeli umrę... cóż za szkoda? Pozostaną bracia, siostry. Oni go pocieszą w nieszczęściu... I nikt nigdy nie dowié się o hańbie... klejnot pozostanie czysty, jak dotąd, do końca świata.

.... Ja winna jestem... ja jedna! Zapłacę to śmiercią i nie padnie wina na nikogo oprócz mnie...

.... Muszę umrzéć, muszę. O czém pomyślę—zaraz staje mi przed oczami konieczność śmierci... Mania,—prawda jaka ona miła? Czy wié pan o tém, że ona jest już narzeczoną. Tak... wkrótce wyjdzie za mąż, za księcia W... To jeszcze doda blasku naszemu rodowi... Pomyśl pan... gdybym żyła jeszcze parę miesięcy—ona nie wyszłaby za mąż... Była by nieszczęśliwą przez całe życie... Wszyscy byli by nieszczęśliwi—przezemnie.

.... Brat mój najstarszy jest już kapitanem... a nie ma jeszcze trzydziestu lat... i przytém ma order za waleczność. Mówią, że dojdzie do stopnia jeneralskiego... tak jak nasz dziad i pradziad... Obadwaj byli jenerałami.

...Wszyscy, wszyscy szlachetni—ja jedna tylko ich niegodna.

...To téż zrozumiałam, że muszę umrzeć... Onegdaj... pomodliłam się szczerze, długo... byłam wtedy zupełnie zdrową... i potém—stanęłam w otwartém oknie, tak jak dziś, i stałam tam od północy do rana. Nikt mnie nie dojrzał... Zziębłam... ale rano już byłam chorą.

... Wczoraj pielęgnowała mnie Mania, ale udało mi się wyprawić ją nad ranem do siebie... powiedziałam, że czuję się zdrową... i znowu stanęłam w oknie... Dziś pan... przeszkodziłeś mi... ale to nic nieszkodzi... ja i tak umrę... czuję to... umrę...

... Śmierci się nie lękam... o, wcale. Wiem, że umierać z własnéj woli—to grzech, grzech ciężki, śmiertelny... Ale Bóg widzi, iż nie może być inaczéj... On—wielki, sprawiedliwy, dobry—zlituje się nademną... i ukarze mnie, ale nie na wieki... Będę cierpiała... długo—bom na to zasłużyła; ale potém gdy odcierpię swoję winę, on przyjmie mnie do siebie... i zobaczę się tam z ojcem, z matką, z braćmi i siostrami i już nie rozłączę się z nimi nigdy, nigdy...

. . . .

. . . .

. . . .

To otworzenie okna—ciągnął wuj daléj po chwili milczenia—okazało się śmiertelnym ciosem.

Nazajutrz już poprosić musiałem panny Maryi o chwilę rozmowy.

— Jest... źle—rzekłem jéj krótko...

— Czy bardzo?—zapytała.

— Tak.

W jednéj sekundzie zbladła jak trup, ale się nawet nie zachwiała.

I w takiéj chwili — wyobraź sobie — miała tyle siły nad sobą, że wyciągnęła do mnie rękę i zmienionym, ale dosyć silnym głosem rzekła:

— Dziękuję panu za szczerość.

Tego dnia chora w nocy umarła.

Wincenty Kosiakiewicz.





WRAŻENIA LITERACKIE.

— **Na placówkach życia** *przez Feliksa Ehrenfeuchta. Powieść społeczna, wyróżniona na konkursie „Kuryera Warszawskiego“ w m. maju* 1888. (Warszawa, 1889, str. 207). Autor chciał widocznie roztoczyć przed czytelnikami szeroki obraz społeczny, wprowadzając do niego kilka ważnych czynników życia, jak prasę, sztukę, finanse, zabiegi i szwindle ekonomiczne; ale do należytego odmalowania go zbrakło mu i rzeczywistego talentu powieściopisarskiego i cierpliwości. Pan E. nie ujawnił w swym utworze, ani bystrości spostrzegawczéj, ani zdolności od odtwarzania plastycznego ludzi i rzeczy, ani téż daru analizy psychologicznéj: figury przezeń nakreślone pojawiały się już nieraz w naszém powieściopisarstwie, a jeżeli nawet są względnie nowe np. dziennikarz Ostrobrzeski (plotkarz, zaprzedaniec, tchórz), lub aferzysta Rolski, to są skreślone raczéj publicystycznie niż artystycznie. Sytuacye są prawie wszystkie dobrze już oklepane; a sposób, w jaki zostały czytelnikom przedstawione, nie zdołał ich uczynić zajmującemi, bo autor nie okazał dowcipu ani umiejętności chwytania rysów charakterystycznych i uwydatniania ich za pomocą wyrazów znamiennych. Tyle co do talentu; a co do cierpliwości w wykonaniu osnutego pomysłu, to widoczna jest różnica pomiędzy pierwszą a drugą połową książki — i to bardzo znaczna. Z początku wprowadza autor wielką liczbę osób, każdą stara się opisać szczegółowo, dać poznać jéj usposobienie, przyzwyczajenia, poglądy, tak że czytelnik spodziewa się, iż w dalszym ciągu znajdzie te osoby wciągnięte w akcyą i ukazujące w działaniu te właściwości, które poznał w opisie. Tak np. aferzysta Rolski, przedstawiony szczegółowo w rozdziale IV, mógłby stać się bardzo interesującą i ważną w akcyi postacią, a tymczasem w dalszym ciągu o tyle tylko działa, że zabiera pieniądze cudze i ucieka. Na los bohatera szlachetnego dziennikarza Stanisława wpływa wprawdzie ta „akcya“ Rolskiego, bo go pozbawia możności ożenienia się z powo-

du zabranych przez łotra funduszów, ale ta jedna okoliczność nie jest dostateczném zaspokojeniem wymagań artystycznych, które raz wprowadzonéj i szeroko opisanéj figurze narzucają konieczność odegrania roli ważniejszéj. Podobneż uwagi możnaby zrobić co do obrazu stosunków dziennikarskich, Towarzystwa przyjaciół przemysłu, finansisty Goldlanda, rzeźbiarza Sempera, aktorki itd. Wszystkie te postaci lub stosunki, zrazu wprowadzone z naciskiem, z biegiem powieści tracą swoje role, tak że całość przedstawia się jako zbiór szkiców ręką publicysty nakreślonych, ale nie złączonych artystycznie i nie rozwiniętych. Uczucia i myśli wypowiedziane przez autora lub uosobione w postaciach dodatnich są szlachetne i rozsądne, ale zalety świeżości nie posiadają; z całéj książki da się zapamiętać jedno chyba zdanie, które jakkolwiek nie nowe, ale trafne i warte częstego przypominania, zacytuję tu na zakończenie téj oceny: „U nas jest tak: gdy się sześciu zobowiąże do przybycia na posiedzenie, przyjdzie jeden tylko, lecz za to zaraz po posiedzeniu zbiorą się prawie wszyscy, ażeby wypić zdrowie za pomyślność sprawy“ (str. 122).

= *K. Secrétan.* **O prawach kobiet.** *Przełożył Fr. Rawita* (Warszawa, Centnerszwer, 1889, str. 62). Główném dążeniem autora jest wykazanie, że dla dobra społeczeństwa wogóle kobiety powinny być dopuszczone nie tylko do wszystkich dziedzin pracy, do których okażą się uzdolnione, ale i do używania praw politycznych, gdyż bez ich udziału w prawodawstwie żadna kwestya dotycząca ich bytu, wychowania, ukształcenia, pracy nie może być należycie postawioną i rozwiązaną. Wychodząc z zasady, że klasa pozbawiona „regularnego“ (zapewne: prawidłowego, uprawnionego) sposobu wpływania na własne położenie prawne, nie jest wolną, uważa dzisiejszą sytuacyą kobiet w społeczeństwie za niewolę, gdyż „prawodawcy płci męskiéj uregulowali los płci żeńskiej we własnym swoim interesie“. Dlatego też wstrzymuje się Secrétan od formułowania wymagań, jakieby płeć żeńska postawić powinna, i oczekuje téj chwili, gdy kobiety, otrzymawszy prawa polityczne, same głos skuteczny zabiorą i pragnienia swe wypowiedzą. Tymczasem wysuwa tylko naprzód pewne zagadnienia, jak stanowisko prawne kobiety w społeczeństwie, kwestyą małżeństwa, kwestyą zarobkowania, i stara się wykazać ujemne strony dzisiejszego stanu rzeczy. Rozbierając stosunek interesu mężczyzn do interesu kobiet, autor dochodzi do przekonania, że jeżeli tylko mężczyzni naprawdę dbają o dobro całości społeczeństwa, to powinni się stać zwolennikami równouprawnienia kobiet, ażeby przyszłe pokolenia były zdrowsze, rozumniejsze, sumienniejsze, szczersze, pełniejsze poczucia godno-

ści. Zbyt rozległe wziął sobie zadanie Secrétan a zbyt mało na rozwinięcie go poświęcił miejsca, ażeby mógł zupełnie przekonywająco wyłożyć swoje poglądy i usunąć wątpliwości, które przy czytaniu jego rozprawy się nasuwają; ponieważ zaś starał się rzecz przedstawić zwięźle, popadł w ogólnikowość i oschłość, jakkolwiek przyznać mu potrzeba jasność i konsekwencyą. Dla nas praca ta może mieć tylko znaczenie akademickie; nie szkodzi się zapoznać ze sposobem, w jaki kwestya kobieca stawiana jest w Europie. Tłómaczenie stosunkowo dość jest dobre, chociaż bynajmniéj niewolne od błędów stylowych i językowych. Takie wyrażenia jak: „Ażeby pozwolił kobiecie spełnić *przeznaczenie* miłości, do którego zdaje się ona być *przeznaczoną...*“ (9); „*jakieby nie były* powody (str. 61) i t. p. nie są rzadkością w téj książce. Wydanie jest ładne.

— Rozpoczęte w roku 1880 wydawnictwo **Słownika geograficznego**, podjęte przez *Filipa Sulimierskiego*, *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego*, a po zgonie pierwszego z nich, prowadzone wytrwale przez dwóch pozostałych członków redakcyi rozpoczęło już druk 10-go tomu. Każdy z wyszłych dotąd olbrzymich woluminów zawiéra najmniéj po 960 stron wielkiego formatu. Ile tu zdołano skupić ciekawych wiadomości, skądinąd wcale nieznanych—tego w pobieżnéj wzmiance niniejszéj wykazać niepodobna. Dość będzie powiedziéć, że pożyteczne i staranne to wydawnictwo znajdować się powinno w każdéj publicznéj i prywatnéj bibliotece. W najświeższym zeszycie „Słownika“, a z porządku oznaczonym liczbą 111, obszernością swoją zwracają uwagę następne artykuły: Rzeżyca, Rzgów, Rzyszczów, Ryga, Sachnówka, Sadogóra, Sadki, Sambia, Sambor.

OGŁOSZENIE.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém ogłasza niniejszém, iż w m. październiku r. b. urządzona będzie w lokalu Towarzystwa wystawa konkursowa dzieł sztuki ornamentacyjnéj i dekoracyjnéj, a mianowicie: miniatur, emalii, malowania na szkle, porcelanie i fajansie, sztychów i akwafort, drzeworytów, litografii i wszelkich reprodukcyj ręcznych, niemniéj wszelkiego rodzaju ornamentacyi. Przyjmowanie deklaracyi od 1-go do 10-go października; otwarcie wystawy 15-go października. Komitet wyznaczył dla téj Wystawy sześć nagród pieniężnych, z których trzy po rub. 100 i trzy po rub. 50 za dzieła bezwarunkowo odznaczające się. Obok tego wydawane będą listy pochwalne.—Regulamin szczegółowy konkursu wydaje, na żądanie, kancelarya Towarzystwa.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Kwartale I-szym 1889 r.

1. *H. Spencer.* **Zasady socyologii.** (Wydawnictwo Redakcyi „Głosu“), Zesz. IV. (str. 321—398 i LXXVII.)
2. **Rocznik zarządu Akademii umiejętności w Krakowie.** Rok 1887. 8-o, str. 178.
3. **Sprawy Wojenne Stefana Batorego**, dyjaryjusze, relacyje, listy, akta z lat 1576—1582. Kraków, 1887, wielkie 8-o, str. XXXI i 430.
4. **Lauda sejmików ziemi Dobrzyńskiej.** (Akta histor. do objaśnienia rzeczy polskich służące. Tom X). Kraków wyd. Akademii umiejętności 1887, 4-o, str. VI i 466.
5. **Rad jugoslavenske Akademije** znanosti i umjetnosti. Knjiga XCIII. Razredi filologičko-historički i filosofičko-juridički. XXIII. U Zagrebu 1888, 8-o, str. 235.
6. **Szkic historyczny** umysłowego i artystycznego rozwoju ludzkości od zawiązku pierwszych społeczeństw do początków sztuki chrześciańskiej. Ozdobiony przeszło 600 ilustracyami. Napisał *Antoni Narkiewicz-Jodko.* Lwów, Gubrynowicz i Schmidt; Warszawa, Maurycy Orgelbrand, 1889, wielkie 8-o, Tom I, str. VIII, 402 i LI; Tom II, str. 481 i VII; Tom III, str. 492 i IX.
7. **Sprawozdanie**, z czynności zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1888.—Lwów, 1888, 8-o, str. 131.
8. **Triginta documenta** ecclesiae cathedralis Plocensis. 30 dokumentów katedry Płockiej (1230—1317) wydał *Dr. Wojciech Kętrzyński*, Dyr. zakł. narod. im. Ossol. Lwów 1888, 8-o, str. 64.
9. *Ferdynand Bostel.* **Sądownictwo ziemskie** Oświęcimskie i Zatorskie od r. 1440—1565. Lwów, 1888, 8-o, str. 83.
10. *Stanisław Bełza.* **Odgłosy Szkocyi** (z 9 illustracyami). Kraków, Gebethner i spółka, 1889, 8-o, str. 315.
11. **Gramatyka polska** w ćwiczeniach. Przez *Wiktorynę Korwinównę.* Kraków i Odessa, nakł. księgar. Bolesława Koreywy, 1888, 8-o, str. 200.
12. **Bukiet dramatyczny.** Zbiór scen, monologów, dyalogów, fragmentów, monodramów humorystycznych i dramatycznych oraz poezyj i wierszy do deklamacyi dla użytku kierowników scen, artystów dramatycznych, recytatorów i amatorów deklamacyi zebrał i ułożył *Karol Hoffman* przy pomocy *Józefa Głodowskiego.* Radom, 1889, 8-o, str. 136 (cena rs. 1 kop. 25.)
13. **Ucieszne przygody** dziada Florka i chłopca Beldonka w drodze do Częstochowy. Opowiedział *A. Dygas*, (z rysunkami F. Kostrzewskiego). Warsz. 1889, 8-o, str. 93.
14. **Rocznik Towarzystwa Ogrodniczego** Warszawskiego za rok 1888 (rok IV). Warsz. 1889, 8-o, str. 87.
15. **Kanały Marsa.** Napisał *Aleksander Pełczyński.* Warsz. 1889, 8-o, str. 8.
16. *A. Schroot.* **Życie i zdrowie człowieka.** Hygiena popularna dla wszystkich. Tłumaczył z upoważnienia autora i opracował *Dr. med. A. Fabian*, (wydawnictwo Księgarni T. Paprockiego i S-ki). Warsz. 1889, 8-o, Zeszyt 2 (str. 113—192).
17. **Czego pan Wincenty jeździł do Zielonogrodu**, i z czem powrócił. Kartka z podróży I. Wydał *W.* . . . . Kijów, 1889, 8-o, str. 69 (cena 50 k.)
18. **Sprawozdanie** zarządu stowarzyszenia wzajemnej pomocy subjektów handlowych miasta Łodzi za rok 1888 (Rok drugi). Łódź, 1889, 8-o, str. 13.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1889, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 22 Марта 1889. г.